

KS. JACEK PRUSAK
Zło w kościelnych
domach pomocy

PAN POŁOŻNIK
Męska czułość
na porodówce

KABARET ROSJA
Putin w butach
cara Piotra

SCENA OTWARTA
Jak polski teatr
walczy o mniejszości

ROCH SULIMA
Nowe obyczaje,
stara magia

Kraków 26 czerwca 2022 nr 26 (3807)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

Czym nas kuszą małe miasta



MALTA FESTIVAL POZNAŃ

WORLD
HELD TIGHT

ŚWIAT
W UŚCISKU

СТИСНУТИЙ
СВІТ

PORTRET
ARTYSTY

2/07/2022
12:00

MALTA-FESTIVAL.PL

LUK NTGent PERCEVAL

TRYLOGIA „CAŁY SMUTEK BELGII”,
CZARNY, ŻÓŁTY, CZERWONY

prezentacja trzech spektakli w formie
całodniowego performansu teatralnego

27/06–03/07/2022

TO BILET.PL

REKLAMA

Poddajcie się buntowniczej mocy tekstów zebranych w tej książce – każdy z nich będziecie smakować niczym mistrzowskie danie, które zachwyca geniuszem prostoty i wyrafinowania. Bravo, uważny i wrażliwy na sprawy społeczne, widzi w jedzeniu klucz do zrozumienia sensu istnienia człowieka, obnaża absurdy decyzji polityków i powierzchownych mód – efektownych, lecz pustych w środku niczym beza. „Półki z książkami to siedlisko sił nieczystych” – pisze przewrotnie Paweł Bravo. Niech jak najwięcej półek zapełnia się takimi książkami jak ta.

DARIA PAWLEWSKA
REDAKTORKA NACZELNA MAGAZYNU KUKBUK

Specjalna oferta dla czytelników „Tygodnika Powszechnego” *



* Dodatkowy rabat z kodem Bravo2022 na stronie wydawnictwa Wysoki Zamek www.wysokizamek.com.pl



20 Nigdy nie zdejmuję butów
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Wszczynając protesty, pracownicy socjalni włączyli przycisk SOS – podobny do tego, jaki miewają w biurach na wypadek zagrożenia. Podobna jest też reakcja: mało kogo to obchodzi.



27 Mikołaj dla najmniejszych dzieci
MAŁGORZATA NOCŃ
Mikołaj Sokołowski stoi przed szafą z dziecięcymi ubrankami. Przegląda stosiki bielizny i pajacyków, które mieszczą się w całości w jego dłoni. Niemożliwe! – pomyślała Monika. Facet-połozny?

32 Liczyło się dzieło, nie ludzie
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM, PSYCHOTERAPEUTĄ:
Za patologią ujawnioną w Domu Pomocy Społecznej w Jordanowie stoi problem systemowy, który dotyka wielu żeńskich zgromadzeń w Polsce.



42 Kabaret Rosja
ANNA ŁABUSZEWSKA
Od czterech miesięcy Putin prowadzi zbrodniczą wojnę przeciw Ukrainie. Czy przyniesie mu upragnione laury władcy odzyskującego imperium, czy może przyczyni się do jego upadku?

64 Spartakus tańczący
DARIUSZ KOŚCIŃSKI
Polski teatr od trzech dekad walczy o prawa mniejszości. Nie mogąc zmienić rzeczywistości, zaczął wytwarzać własną.



76 Gdzie diabeł siano roztrząsa
ROZMOWA Z PROF. ROCHEM SULIMĄ, KULTUROZNAWCĄ:
W naszej naturze leży chęć bycia „gdzie indziej”. To „gdzie indziej”, czyli prowincja, ma dziś standardy życia bliskie miastu.

6 Czas decyzji
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

75 Tygodnik Czytelników

■ ■ **KRAJ**

20 Nigdy nie zdejmuję butów
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

24 Sądy chore na long covid
PIOTR SOŁOWIJ:
Pomimo końca pandemii wymiar sprawiedliwości nadal tkwi w czasach zarazy. Budynki sądów przypominają twierdze

27 Mikołaj dla najmniejszych dzieci
MAŁGORZATA NOCŃ

■ ■ **WIARA**

32 Liczyło się dzieło, nie ludzie
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM

36 Duchowość zabieganych
TOMASZ P. TERLIKOWSKI:
Zapracowani nie mają jednej duchowości, tak jak nie mają jej pustelnicy, mnisi czy księża

39 Katecheza na zakręcie
KAROL KLECZKA:
Po ponad trzech dekadach obecności religii w szkole biskupi szykują się na poważne zmiany

■ ■ **ŚWIAT**

42 Kabaret Rosja
ANNA ŁABUSZEWSKA

46 Zła passa
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU:
Podróże izraelskich uczniów do Polski szlakiem Zagłady nie wrócą po covidowej przerwie

TEMAT TYGODNIKA

12 Życie widać znakomicie

MAREK SZYMANIAK

Drożące mieszkania w metropoliach i coraz powszechniejsza praca zdalna to szansa dla mniejszych miejscowości. Wygrają te z atrakcyjną ofertą i dla nowych, i dla starych mieszkańców.



■ **DODATEK** ■

72 NAGRODA LITERACKA GDYNIA

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA 41 ZUZANNA RADZIK

59 TOMASZ STAWISZYŃSKI

74 JAN KLATA

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

48 Weekend nad Gardą

PAWEŁ BRAVO: *Włoscy działacze społeczni ostrzegają, że sytuacja w dzielnicach imigranckich coraz bardziej przypomina getta francuskich banlieues*

49 Wszystkie plagi Libanu

MARCIN RYCHŁY Z BEJRUTU
o pogrążonym w kryzysie państwie i walczących o przetrwanie Libańczykach

■ ■ **HISTORIA**

52 Zmącona perła w koronie

ROZMOWA Z SEBASTIANEM ROSENBAUMEM, HISTORYKIEM:
Sto lat temu przyłączenie Górnego Śląska zmieniło oblicze międzywojennej Polski. Bez niego byłaby krajem głównie rolniczym

■ ■ **NAUKA**

56 Co kręci gupiki

KATARZYNA DZIADOWICZ:
Dzięki eksperymentowi polskiej badaczki dowiedzieliśmy się, że preferencje seksualne u zwierząt nie muszą być wrodzone

■ ■ **KULTURA**

60 Nim wejdą zwierzęta

PIOTR PAZIŃSKI:
Leo Lipski, uwięziony w chorym ciele, drążył je i rozdłubywał, oddawał w języku najintensywniejsze doznania

64 Spartakus tańczący

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

68 Długa droga donikąd

JAKUB MAJMUREK
o serialu „Zadzwono do Saula”

70 U nas na dzielni

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Paryż, 13. dzielnica”

■ ■ **ZMYŚŁY**

76 Gdzie diabeł siano roztrząsa

ROZMOWA Z PROF. ROCHEM SULIMĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Program, który boi się wyłączenia**

Tworząc wokół sztucznej inteligencji uludę rozumności, otwieramy się na manipulację – piszą **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** i **AGATA KAŹMIERSKA**
| powszech.net/lamda

➔ **Miesiąc w Nauce [Podkast Powszechny]**

Czy technologia uratuje świat przed globalnym ociepleniem i co słyszeć na Marsie? – opowiada **ŁUKASZ ŁAMZA**
| tygodnikpowszechny.pl/podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



CZAS DECYZJI

Waży się przyszłość Europy Wschodniej.
W tym także cena, jaką Ukraina będzie płacić za niepodległość
– bo do tego sprowadza się kwestia dostaw zachodniej broni.

WOJCIECH PIĘCIAK

ROMAN RATUSZNYJ PIERWSZY RAZ ZDERZYŁ się z historią, mając 16 lat. Dosłownie: 30 listopada 2013 r. został ranny, gdy ludzie, którzy jak on protestowali pokojowo na kijowskim Majdanie przeciw decyzji ówczesnego prezydenta – pod presją Kremla odrzucił on umowę o stowarzyszeniu Ukrainy z UE – zostali zaatakowani policyjnymi pałkami.

Ci, którzy go znali, mówią, że miał zwykłe marzenia, jak wielu z jego pokolenia: żyć w normalnym europejskim kraju, wolnym także od korupcji. Gdy potem jedni jego rówieśnicy szli na front doniecki, a inni emigrowali, on stanął na czele ruchu miejskiego i podjął walkę o Protasiw Jar – zielone tereny pod Kijowem, gdzie deweloperzy chcieli stawiać wieżowce. Jar ocalił, choć grożono mu śmiercią. Niepokorny, rzucał wyzwanie politykom, także z ekipy obecnego prezydenta.

Po 24 lutego wraz z przyjaciółmi z ruchu miejskiego utworzył oddział ochotniczy. Brońił Kijowa, potem poszedł na front w Donbasie. Zginął 9 czerwca pod Izjumem jako żołnierz zwiadu 93. Brygady Zmechanizowanej. Pogrzeb Romana w minioną sobotę był mani-

*Pożegnanie trzech
żołnierzy ze Lwowa,
którzy zginęli
na froncie.
Greckokatolicki
kościół garnizonowy
świętych Piotra
i Pawła, Lwów,
18 czerwca 2022 r.*

festacją: determinacji, ale – poza dźwiękami trembit, które mu towarzyszyły, poza słowami o poświęceniu – także rozpacz. Bo Ukraina ponosi coraz większe ofiary. Wykrwawia się nie tylko najmłodsze pokolenie – choć to szczególnie ból, gdy rodzice muszą chować swoje dzieci.

Ofiar będzie jeszcze więcej, jeśli determinacji Ukraińców – to jeden warunek przetrwania ich kraju – nie będzie towarzyszyć determinacja zachodnich polityków, by szybko i radykalnie zmienić charakter dostaw broni dla Ukrainy. To warunek drugi, od którego zależy jeśli nie wprost przetrwanie państwa, to wysokość ceny, jaką płacą Ukraińcy. Bo, jak ujął to obrazowo pewien ekspert: nie mając czołgów, nie mają pancerza, za którym mogliby się chronić, i za ten muszą wystarczyć mury miast. Albo okopy. Przy wielkiej przewadze, jaką ma w polu rosyjska artyleria i lotnictwo, ta cena staje się z tygodnia na tydzień coraz wyższa.

Tymczasem do tej pory większość krajów Zachodu przekazuje głównie broń lekką – ciężki sprzęt w liczącej się skali posyła głównie USA, Polska i inne kraje Europy Środkowej. Jest go nadal za mało. Opublikowane w ubiegłym tygodniu przez Pentagon zestawienie pomocy z USA – m.in. 126 haubic, 200 wozów pancernych, 700 dronów kamikadze itd. – robi wrażenie do chwili, gdy spojrzymy na mapę: aktywny ukraińsko-rosyjski front liczy 1000 km. W tym kontekście dostawy z Francji i Włoch (po paręnaście armat) to głównie polityczny piar, a obietnice z Niemiec (kilka wyrzutni rakiet i armat) to symbol zaniechania.

Broniąca się od czterech miesięcy armia traci sprzęt, zniszczony lub zużyty, którego nie ma czym zastąpić; kończą się zapasy amunicji posowieckich kalibrów. Za chwilę Zachód stanie wobec decyzji: jeśli nie zacznie zbroić Ukrainy na poważnie, czyli w istocie przezbierać jej armię w sprzęt typu zachodniego (pancerny i artyleryjski, a także przeciwlotniczy, by utrudnić Rosjanom bezkarnie dziś demolowanie kraju rakietami), ukraińskim żołnierzom pozostanie głównie broń lekka. Obietnica statusu kraju kandydującego do Unii, którą przywieźli do Kijowa przywódcy Francji, Niemiec i Włoch, nie zastąpi czołgów. Jak to spuentował pewien polityk opozycyjnej niemieckiej chadecji: jeśli Ukraina ich nie dostanie, wkrótce może nie być Ukrainy, która by kandydowała do Unii.

W czwartek 23 czerwca rusza maraton międzynarodowych spotkań: najpierw szczyt Unii, potem szczyt G7, wreszcie od 28 czerwca szczyt NATO w Madrycie, gdzie ma być przyjęta nowa strategia Sojuszu na wschodniej flance. Czego dowiemy się po tym maratonie? © P

DPS to nie miejsce dla dzieci

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



MUSIMY W STU PROCENTACH STAĆ zawsze po stronie słabszych, po stronie ofiar” – powiedział Mateusz Morawiecki po ujawnieniu przez Wirtualną Polskę horroru w Domu Pomocy Społecznej z Jordanowa, gdzie zakonnice miały się znęcać nad upośledzonymi i niepełnosprawnymi mieszkańcami – także dziećmi. Słowa premiera były jedynie słuszną reakcją na wypowiedź małopolskiej kurator oświaty Barbary Nowak, która zmarnowała kolejną szansę, by pozostawić swoje twitterowe konto w trybie uśpienia – wezwała, by nie ferować wyroków, gdyż mieszkańcy jordanowskiego Domu „w szkole nie wykazywali lęku czy negatywnych emocji”. Ale wypowiedź szefa rządu może też być myląca: gdyby państwo polskie zawsze i „w stu procentach” dbało o słabszych, dzieci nie byłoby nie tylko w jordanowskim DPS-ie, ale w żadnym.

Bo DPS to nie jest miejsce dla dziecka. Nawet gdyby pracował tam anielski personel, nie da dzieciom tego, czego każde z nich potrzebuje do normalnego życia – trwałych więzi. Musi o tym zresztą wiedzieć sam premier, skoro jego rząd 7 czerwca przyjął „Strategię rozwoju usług

społecznych”, która za główny cel uznaje odchodzenie – w odniesieniu do dzieci, ale także osób z niepełnosprawnościami czy seniorów – od sprzyjającej patologiom opieki instytucjonalnej na rzecz tej świadczonej w środowisku rodzinnym. Kolejny dokument oczywiście niczego nie załatwi: podobne powstają od lat, a nadal tysiące dzieci są w domach dziecka, zakładach opiekuńczo-leczniczych czy DPS-ach. I tak będzie nadal, bo rząd i duża część samorządów nie robią prawie nic, by zwiększyć liczbę rodzin zastępczych (to lepsza wersja opieki dla sierot społecznych) oraz by realnie wesprzeć rodziców dzieci z niepełnosprawnościami czy upośledzeniami (to jedyny sposób, by rodzice nie musieli – jak jedna z matek w Jordanowie – oddawać dziecka do DPS-u).

Bardzo potrzebne (prowadzone też w tym numerze „TP” przez ks. Jacka Prusaka) rozważania o tym, jak rodzi się zło, i czy wśród ważnych czynników jego powstawania jest specyfika działania zakonów, nie powinny prowadzić do wniosku, że z jednej strony jest patologia taka jak w Jordanowie, a z drugiej „dobre DPS-y dla dzieci”. Takie w ogóle nie istnieją. © P

Rząd dorzuci nam do pieca

TEJ ZIMY TONA WĘGLA ma kosztować nie więcej niż 966 zł 60 gr dzięki państwowym dopłatom. Ustawa, którą przedstawiła minister Anna Moskwa, ma szansę wejść w życie pod koniec lipca. Przedsiębiorcy, którzy zdecydują się przez kilka miesięcy sprzedawać węgiel, pelet lub brykiet po ustalonej przez rząd cenie, w styczniu 2023 r. będą mogli zgłosić się po rekompensatę. Państwo do tony węgla dopłaci maksymalnie 750 zł, a limit sprzedaży to 3 tony opału na jedno gospodarstwo domowe (do monitorowania zakupów powstanie specjalna baza danych). Na tańszy węgiel mogą liczyć tylko te gospodarstwa, w których główne urządzenie grzewcze jest opalane węglem i zgłoszone do centralnej ewidencji emisyjności budynków.

Państwo po raz kolejny (po np. zezwoleniu na zbieranie chrustu) wysyła sygnał, że troszczy się o te budżety domowe, które mogą nie wytrzymać kryzysu energetycznego. Tylko że rządowe dopłaty mogą niewiele zmienić. Budżet programu to 3 mld zł z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 – wystarczy na dopłaty dla 1,3 mln gospodarstw. Tymczasem w Polsce węgiel jest podstawowym źródłem ciepła w 3,8 mln domów. Co jeśli węgla z dopłatami sprzedaje się więcej, niż ustawa przewiduje? Ryzyko ponoszą pośrednicy i producenci, którzy dostaną wtedy mniejsze rekompensaty. Już teraz ceny węgla w portach i składach często przekraczają 1900 zł (ustalona przez rząd cena plus dotacja daje sprzedawcy 1716,60 zł). Szybko może się okazać, że przedsiębiorcy po prostu nie będą zainteresowani rządowymi dopłatami, zwłaszcza jeśli ceny opału nadal będą rosły.

© P KRZYSZTOF STORY

Frankowicz to też obywatel

MAREK RABIJ



POGARSZAJĄCA SIĘ SYTUACJA POSIADACZY KREDYTÓW hipotecznych w złotówkach sprawiła, że z oczu straciliśmy ok. 300 tys. polskich frankowiczów. Tymczasem decyzja Narodowego Banku Szwajcarii, który 16 czerwca nieoczekiwanie podniósł stopy procentowe, i wywołana przez to zwyżka kursu franka sprawiły, że obciążenia spłacających kredyty w tej walucie wzrosną o co najmniej 7 proc. To wciąż niewiele w porównaniu z ciężarem, jaki dźwigają teraz zadłużeni w polskim złotym, ale trzeba pamiętać, że wskutek wzrostu kursu szwajcarskiej waluty przeciętna rata kredytu frankowego tylko w ostatnich pięciu latach wzrosła o 20 proc.

Szwajcarski bank centralny zapowiada, że na jednej podwyżce w tym roku na pewno nie poprzestanie. Tymczasem polski rząd, który w ramach tarcz antyinflacyjnych próbuje pomóc kredytobiorcom złotówkowym, przyznając m.in. prawo do rozszerzonych wakacji kredytowych, jakoś nie kwapi się do zaoferowania takich samych praw posiadaczom hipotek frankowych. Podobnie jak wcześniej konsekwentnie odmawiał udzielenia im systemowego wsparcia w sporze o legalność umów frankowych – mimo że w kampanii wyborczej w 2015 r. walczący o władzę PiS mamił elektorat taką obietnicą. Zaraz po wygranej Jarosław Kaczyński bezceremonialnie odprawił frankowiczów, mówiąc im, by sprawiedliwości szukali przed obliczem Temidy.

Niewykluczone, że zachęta prezesa znowu podziąła i do sądów trafiać wkrótce kolejne pozwy – tym razem przeciw państwu polskiemu, które obywatele w potrzebie różnicuje na mniej i bardziej godnych wsparcia. W dodatku wyłącznie w oparciu o symbol waluty kredytu. ©P

Chmury nad panelami

NOWE ZASADY ROZLICZANIA samodzielnie produkowanej energii chwilowo wyhamowały rozwój na rynku fotowoltaiki. Do tej pory prosumenci, którzy zainstalowali na swoim dachu panele o mocy mniejszej niż 10 kWp, oddawali nadwyżki do sieci, a później mogli za darmo odebrać 80 proc. zmagazynowanej energii.

Nowy system, czyli net-billing, jest mniej korzystny. Nadwyżkę energii sprzedamy do sieci po średniej cenie hurtowej z poprzedniego miesiąca. Za to w pochmurne dni kupimy prąd po normalnej cenie detalicznej, ze wszystkimi marżami i opłatami.

Nowe przepisy dotyczą instalacji przyłączonych po 1 kwietnia. Ich właściciele już od lipca mogą się spodziewać wyższych opłat. Nic dziwnego, że kto mógł, chciał zdążyć przed kwietniem, a firmy miały stopy zamówień. Efektem jest tymczasowe wyhamowanie: w marcu sama spółka PGE założyła 40 220 instalacji (4 razy więcej niż rok wcześniej), w kwietniu – tylko 648. To spadek o 98 proc.

©P KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

TEGO WIRUSA TRZEBA SIĘ BAĆ

Mateusz Morawiecki powiedział w podkaście „Przygody przedsiębiorców”, że COVID-19 może wrócić jesienią, i zadeklarował, że w ciągu najbliższych kilku tygodni przyjmie czwartą dawkę szczepionki. Do dziś w pełni zaszczepiono ok. 22,5 mln Polaków.

O TYM POMNIKU NIE WIEMY

„Królom być równy” – powiedział abp Marek Jędraszewski o pochowanym na Wawelu Lechu Kaczyńskim. W dniu 73. urodzin obu braci Jarosław odsłonił pomnik Lecha w Tarnowie, ale w uroczystości nie wziął udziału prezydent miasta, wyjaśniając, że „zarówno fakt budowy pomnika, jak i miejsce jego usytuowania celowo utrzymano w tajemnicy” przed radą miasta.



ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

TEN WYWIAD SZYBKO ŚLEMY

W internecie pojawiają się kolejne maile wyciekające ze skrzynki min. Michała Dworczyka. Z najnowszych wynika, że przez ręce szefa Kancelarii Premiera przechodził „wywiad-gotowiec” opublikowany na portalu wpolityce.pl, a wymierzony w środowisko sędziowskie.

TEJ PARTII NAM NIE ŻAL

„Rzeczpospolita” informuje, że na skutek niezłożenia sprawozdania finansowego zdelegalizowana zostanie partia Kukiz'15. Jej lider nie widzi w tym problemu, bo „założyć chcieli ją działacze”, a on sam „nie przykładał do niej większego znaczenia”.

Balans na linie przy śliwowicy

ZNÓW ZAISKRZYŁO pomiędzy premierem a ministrem sprawiedliwości. Tym razem Zbigniew Ziobro zaofiarował Mateuszowi Morawieckiemu śliwovicę za wskazanie, w którym miejscu przyjętego przez rząd projektu KPO jest zgoda na opodatkowanie polskich właścicieli samochodów spalinowych. Niczego takiego tam nie ma, bo dokument jest efektem zgniłego kompromisu w koalicji i przez to musiał być bardzo ogólny. Dziś stał się wygodną bronią dla Ziobry i czytelnym dowodem jego strategii.

Przy samodzielnym starcie w wyborach Solidarna Polska nie może liczyć na sukces, więc trzyma się PiS-u, ale z drugiej strony nie ma żadnej pewności, czy Ziobro dogada się z Kaczyńskim przy tworzeniu list. Musi więc stale zaznaczać swoją „osobność” na wypadek rozpadu koalicji. To nie jest dobry scenariusz także dla Jarosława Kaczyńskiego. Nawet gdyby SP nie przekroczyła progu, to na antyunijnej retoryce może odebrać PiS-owi tyle głosów, że straci on władzę.

©P MAREK KĘSKRAWIEC

Żurek ma rację

EUROPEJSKI TRYBUNAŁ PRAW CZŁOWIEKA w Strasburgu orzekł, że Polska naruszyła prawo sędziego Waldemara Żurka do rzetelnego sądu i swobody wypowiedzi. Żurek zarzucał naszym władzom złamanie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka w zakresie prawa do sprawiedliwego procesu.

ETPC uznał, że głoszona przez Żurka krytyka reformy sądownictwa miała duże znaczenie dla interesu publicznego. Taka postawa jest zgodna z wytycznymi Rady Europy, według których sędziowie są odpowiedzialni za ochronę niezawisłości sądów.

Sędzia Waldemar Żurek jest rekordzistą pod względem zarzutów dyscyplinarnych. Ma ich aż 64, z czego w sprawie 21 toczą się postępowania. Trybunał uznał, że środki podjęte przez władze wobec Żurka to szkodliwy majace na celu zniechęcenie do krytyki reform środowiska sędziowskiego.

©P JACEK TARAN



MASSIMO PINCA / REUTERS / FORUM

FALA UPAŁÓW ogarnęła w miniony weekend Europę; najwyższą temperaturę notowano w Biarritz na południu Francji: 42,9 stopnia. W Hiszpanii i Niemczech płonęły lasy: w hiszpańskiej prowincji Kastyli-León był to najgorszy leśny pożar od stulecia, z kolei w Brandenburgii ewakuowano część ludności miasteczka Treuenbrietzen po tym, jak zapłonął las na pobliskim dawnym poligonie, gdzie leży dużo amunicji. W północnych Włoszech niedobór wody doprowadził już do mniejszych zbiorów. Na zdjęciu: koryto wyschniętej rzeki Sangone, dopływu Padu, gdzie susza jest najgorsza od 70 lat. 19 czerwca 2022 r. © WP / DPA, FAZ

Francja: Macron traci większość



SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

POMIMO ZWYCIĘSTWA W WYBORACH PARLAMENTARNYCH obóz prezydenta Emmanuela Macrona stracił bezwzględna większość we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Na główną siłę opozycji awansował szeroki blok lewicy pod wodzą radykała Jeana-Luca Mélenchona. Według oficjalnych wyników, koalicja Macrona Ensemble! (Razem!) zdobyła 245 mandatów w liczącej 577 członków izbie niższej parlamentu. Drugie miejsce zajął blok lewicy Nupes, czyli Nowa Unia Ludowa Ekologiczno-Socjalna (131 deputowanych), trzecie nacjonalistyczna prawica pod wodzą Marine Le Pen (89 deputowanych), a czwarte tradycyjna prawica, tj. Republika nie (61 deputowanych).

„Policzek dla Macrona”, „Groźba paraliżu”, „Nupes wdzierza się do parlamentu” – to niektóre tytuły prasowych komentarzy. Liberalny dziennik „Le Monde” podkreśla, że koalicja prezydencka jest odległa od bezwzględnej większości w izbie niższej, wobec czego pojawia się ryzyko całkowitego impasu politycznego. Według gazety w obozie Macrona słychać już głosy, że za rok trzeba będzie rozwiązać parlament i rozpisać nowe wybory.

Komentatorzy nad Sekwaną zwracają też uwagę, że wobec braku większości pre-

zydent będzie miał związane ręce, a planowane przez niego reformy – w tym podwyższenie wieku emerytalnego z 62 do 65 lat czy modernizacja instytucji państwa – stoją pod znakiem zapytania. Podobne kłopoty może mieć Macron w polityce zagranicznej. Tym bardziej że główne siły opozycyjne – zarówno Mélenchon, jak i Le Pen – sprzeciwiają się obecnemu kursowi prezydenta, tj. wzmocnieniu NATO oraz politycznemu i militarnemu wspieraniu Ukrainy w konflikcie z Rosją.

Wyборы są niewątpliwym sukcesem Mélenchona, któremu po kwietniowych wyborach prezydenckich udało się zjednoczenie ogromnie podzielonej lewicy. Pytanie tylko, czy stworzony naprędce sojusz radykałów, socjalistów, komunistów i zielonych przetrwa próbę czasu.

Zasługą lewicy jest to, że do kampanii przebił się wreszcie kluczowy temat walki z emisją gazów cieplarnianych. O jego aktualności niech świadczy fakt, że w wyborczy weekend cała Francja i kraje sąsiednie spływały potem: na francuskim południu temperatury przekroczyły 40 stopni Celsjusza. Ta kanikuła może w pewnej mierze usprawiedliwiać niską frekwencję – 19 czerwca do urn poszło tylko 46 proc. uprawnionych. ©

Sąd nad reliefem z Wittenbergi

ANTYZYDOWSKA RZEŹBA z fasady kościoła farnego w Wittenberdze może zostać na miejscu – orzekł niemiecki Sąd Najwyższy, rozpatrując pozew, w którym żądano jej usunięcia. Wyrok ma znaczenie także w odniesieniu do innych podobnych miejsc w Niemczech.

Relief, kamienna kompozycja, pochodzi z ok. 1300 r. i ukazuje motywy zwany kiedyś *Judensau* (żydowska świnia): to maciora, u której wymion wiszą postacie w spiczastych czapkach, a do odbytu świni, zwierzęcia wedle tradycji żydowskiej nieczyste, zagląda karykaturalna postać rabina. Motyw *Judensau* pojawiał się na kościołach w średniowiecznych Niemczech i zdaniem badaczy miał być też sygnałem, że w takim mieście Żydzi nie powinni się osiedlać. W czasie Reformacji obraźliwy charakter reliefu podkreślono, dodając opis nawiązujący do antyżydowskiej książki Marcina Lutera, który głosił kazania w tym kościele.

W 1988 r., w 50. rocznicę tzw. „nocy kryształowej”, gdy naziści zorganizowali pogromy Żydów, Kościół ewangelicki, właściciel świątyni, umieścił w trotuarze przed reliefem płytę wskazującą na jego antysemitki charakter; potem doszła tablica informacyjna. Pewien Niemiec, który przeszedł na judaizm, uznał, że to za mało, i w 2018 r. złożył pozew, domagając się usunięcia reliefu. Sprawa przeszła kolejne instancje, aż trafiła do Sądu Najwyższego. Ten orzekł w minionym tygodniu, że relief jest w oczywisty sposób antysemitki i nienawistny, ale za sprawą tablic zmienił swój charakter z „miejsca hańbiącego” (*Schandmal*) na „miejsce przestrogi” (*Mahnmal*). Miejscowy biskup ewangelicki zapowiedział po orzeczeniu, że ten charakter będzie jeszcze wzmacniany.

Wyrok jest precedensowy; antyżydowskie motywy sprzed kilkuset lat są obecne w wielu miejscach Niemiec (m.in. w katedrach w Kolonii i Ratyzbonie). Powód zapowiedział, że zwróci się teraz do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, a może także do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

© WP / DPA, KNA, DOMRADIO

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

TRZECH PAPIEŻY?

O ewentualności swojej rezygnacji z powodu stanu zdrowia Franciszek wspomniał podczas zamkniętego spotkania z włoskimi biskupami 23 maja – ujawnił kard. Gerhard Müller. Gdyby jednak abdykował i pozostał w Watykanie, tak jak Benedykt XVI, „stworzyłoby to jeszcze gorszą sytuację niż obecna” – uważa były prefekt Kongregacji Nauki Wiary.

KOBIECE FATWY

Egipskie ministerstwo dotacji religijnych pozwoliło pierwszym czterem kobietom udzielać fatw (porad) religijnych dla kobiet. Do tej roli od 2017 r. przygotowują się 144 kaznodziejki.

BEZ HONORÓW

Zakon Maltański potwierdził doniesienia Onetu, że od lutego abp Sławoj Leszek Głódź przestał być członkiem tej prestiżowej organizacji charytatywno-religijnej. W marcu ub.r. hierarcha został ukarany przez Watykan m.in. za zaniedbania w sprawach wykorzystywania nieletnich przez księży.

ŚWIĘTOPIETRZE

Watykan po raz pierwszy podał listę krajów wpłacających najwięcej na świętopietrze (fundusz charytatywny papieża). Najwięcej – 13 mln euro – wpłynęło z USA, ale w przeliczeniu na jednego katolika najhojniejsze okazały się Czechy – 0,6 mln euro (0,6 euro na osobę). Polska znalazła się poza rankingiem. Zobacz więcej na powszech.net/swietopietrze.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Rzymski pałac dla mas

PALAZZO DELLA ROVERE nie będzie już luksusowym hotelem. Renesansowa kamienica przy Via della Conciliazione, dwa kroki od Watykanu, z dwupoziomowym dziedzińcem i freskami Pinturicchia, ma być dostępna dla przeciętnego turysty-pielgrzyma, zatrudniać osoby z niepełnosprawnościami i imigrantów oraz prowadzić kuchnię dla ubogich. Tak postanowił zakon bożogrobców, właściciel obiektu, w porozumieniu z papieżem Franciszkiem.

Pałac wybudowany w 1490 r. na rodzinnej rezydencji kard. Dominika Della Rovere w połowie XVII w. został wykupiony przez zakon penitencjarzy. Po II wojnie światowej przejęli go bożogrobcy, oddając jedno skrzydło na hotel, popularny wśród kardynałów, artystów, polityków i przedstawicieli świata finansów. Zamknięto go w 2018 r., na czas remontu, a obecnie zaczęły się poszukiwania nowego dzierżawcy, który spełni nietypowe warunki właścicieli. Rzymski dziennik „Il Messaggero” podaje, że największe szanse ma jedna z hotelarskich firm Billa Gatesa. © © EA

Niemcy: raport o skali zła

KOLEJNY DOWÓD na wszechobecną kulturę milczenia w Kościele. W Niemczech opublikowano trzeci – po Kolonii i Monachium – diecezjalny raport dotyczący wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych. W opracowaniu dotyczącym Münster uwzględniono 610 poszkodowanych i 196 oskarżonych w latach 1945–2020 (4,1 proc. wszystkich księży). 40 proc. oskarżonych to wielokrotni przestępcy. Dzieciom na dziesięciu oskarżonych nie poniosło żadnych konsekwencji karnych. Niektórzy ze sprawców zostali przeniesieni do innych diecezji lub za granicę. W procedurze tuszowania przestępstw uczestniczyli wszyscy nieżyjący już biskupi, sprawujący władzę w diecezji po II wojnie światowej. Oskarżenie w jednym przypadku dotyczy także obecnego biskupa Essen, Franza-Josefa Overbecka, który wcześniej był biskupem pomocniczym w Münster. Sprawujący władzę w diecezji od 2009 r. bp Felix Genn nie podał się do dymisji (raport zarzucił mu opieszałość w reagowaniu na zgłaszane przypadki), ale obiecał, że pozostałą część kadencji poświęci zaangażowaniu w ochronę małoletnich i w reformę sprawowanej przez siebie władzy.

Od dnia ogłoszenia raportu (13 czerwca) zamknięta została krypta katedry w Münster, gdzie pochowani są trzej biskupi oskarżeni w raporcie o ukrywanie przestępstw seksualnych księży. Rzecznik kurii zapowiedział, że będzie tak do czasu, aż diecezja znajdzie sposób na odpowiednie upamiętnienie ofiar.

© © ARTUR SPORNIANIK

Franciszek centralizuje Kościół



PIOTR SIKORA

15 CZERWCA ZOSTAŁO OGŁOSZONE ZARZĄDZENIE papieża, zgodnie z którym „zanim biskup diecezjalny eryguje – dekretem – publiczne stowarzyszenie wiernych z zamiarem przekształcenia go w instytut życia konsekrowanego lub stowarzyszenie życia apostołskiego na prawie diecezjalnym, musi uzyskać pisemne zezwolenie Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszenia Życia Apostołskiego”. Jest to kolejny krok cichej, a trwającej od kilku lat centralizacji w kwestii zakładania uznanych prawnie katolickich wspólnot.

Kodeks prawa kanonicznego wprowadzony w 1983 r. wymagał tylko, by biskup diecezjalny konsultował się z Rzymem przed prawnym ustanowieniem takiej wspólnoty. W 2016 r. Franciszek doprecyzował, że brak takich konsultacji czyni akt biskupa nieważnym. W 2020 r. wydał *motu proprio* „*Authenticum charismatis*” zmieniający prawo – dotychczas obowiązujące kon-

sultacje zamienił na „pisemną zgodę” Watykanu, ale dotyczyła ona tylko wspólnot o charakterze zakonnym. Teraz konieczność zgody została rozszerzona na wszelkie wspólnoty, które w przyszłości mogą nabrać takiego charakteru (czyli *de facto* zgoda Rzymu potrzebna jest już na najwcześniejszych etapach tworzenia nowego zakonu).

Prawne działania Franciszka nie zgadzają się z retoryką decentralizacji, którą papież posługuje się w swoich wystąpieniach i dokumentach duszpasterskich – co zauważają krytycy obecnego pontyfikatu. obrońcy papieża tłumaczą, że chodzi o zapobieganie nadużyciom, które – co ostatnio wychodzi na jaw – miewają miejsce w wielu nowych wspólnotach. Przykład Legionistów Chrystusa pokazuje jednak, że aprobaty Watykanu też nie chroni przed aberracjami. Wątpliwe, by centralizacja była właściwym sposobem naprawy Kościoła. © ©

KULTURA W SKRÓCIE

W FILMIE

Połscy filmowcy wracają z nowojorskiego festiwalu Tribeca z dwiema nagrodami.

Aktorka Dorota Pomykała wyróżniona została za główną rolę w filmie Anny Jadowskiej „Kobieta na dachu”.

Z kolei nagroda za najlepszy fabularny film międzynarodowy trafiła do twórców i twórczyń polsko-litewsko-łotewskiej koprodukcji „Styczeń”.

W LITERATURZE

Rozstrzygnięto 15. edycję Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Wśród wyróżnionych znalazła się powieść „Przewóz” Andrzeja Stasiuka, tomik „O, tu jestem” Tomasza Bąka, książka dla dzieci „Tkaczka chmur” Katarzyny Jackowskiej-Enemu i Marianny Sztymy.

„Wstecz. Historia Warszawy do początku” Błażeja Brzostka oraz komiks „Twarz, brzuch, głowa” Wandy Hagedorn i Oli Szmidy. Tytuł Warszawskiego Twórcy otrzymał Piotr Sommer.

W MUZEUM

30 czerwca, w setną rocznicę urodzin Mirona Białoszewskiego, w stołecznym Muzeum Woli otwarta zostanie wystawa „Białoszewski nieosobny”. „Chcemy zerwać z silnym mitem Białoszewskiego jako poety osobnego i przekierować uwagę na jego przyjaciół oraz pokazać, jak wiele sztuka Białoszewskiego zawdzięcza wspólnym inspiracjom” – mówią kuratorzy wystawy, którą będzie można oglądać do połowy grudnia.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



JACEK TARAN

ZOBACZ: BRYTANIA – zdjęcia dokumentalne najwybitniejszych brytyjskich fotografów możemy oglądać w krakowskim Muzeum Fotografii. Prace blisko 40 artystów pokazują Wielką Brytanię od lat 60. XX w., poprzez epokę Margaret Thatcher, aż po brexit i epidemię COVID-19. Wśród klasyków fotografii, np. Martina Parra czy Mike’a Abrahamsa, znaleźli się tutaj także Sandra Mickiewicz i Czesław Siegiada. To największy pokaz brytyjskiej fotografii dokumentalnej poza Wyspami i pierwszy tak obszerny w Polsce. Wystawa czynna jest do 18 września. ©P JT

Wiemy, skąd nadeszła czarna śmierć

NAJBARDZIEJ KRWAWE ŻNIWA pałeczka dżumy (*Yersinia pestis*) zebrała w latach 1346-1353 – wywoływana przez nią choroba zabiła dziesiątki milionów osób, w tym połowę populacji Europy. Była to najstraszniejsza ze wszystkich pandemii, które dotknęły ludzkość, ale dzięki badaniom prowadzonym w ostatniej dekadzie wiemy, że niejedyna wywołana przez ten patogen. 800 lat wcześniej ta sama bakteria spustoszyła Bizancjum (nie był to jej początek – najstarsze ślady *Y. pestis* mają 5 tys. lat). Ogniska choroby pojawiały się także w czasach nowożytnych, a po raz trzeci dżuma najsilniej dała o sobie znać w połowie XIX w., gdy w Azji zmarło z jej powodu kilkanaście milionów osób.

Naukowcy od lat starali się zlokalizować region, w którym XIV-wieczna czarna śmierć rozpoczęła straszliwy pochód przez Eurazję. Powstało wiele hipotez, a podejrzania padały m.in. na tereny Kirgistanu w pobliżu jeziora Issyk-kul, któregoś przebiegał Jedwabny Szlak. Zespołowi Johannes Krausego z Wydziału Archeogenetyki Instytutu Maxa Plancka w Lipsku właśnie udało się tę hipotezę potwierdzić.

Ślady pałeczki dżumy zostały znalezione na szczątkach kilkorga osób zmarłych – jak głosiły inskrypcje nagrobne – „na zarazę” w latach 1338-1339, pochowanych na dwóch cmentarzach w tamtym regionie. Badaczom udało się też udowodnić, że za chorobę odpowiadał szczep bakterii, od którego wywodzą się wszystkie późniejsze.

©P ŁK

Brat do zjedzenia

TRUCIZNA obecna w gruczołach skórnych drzewołazów niebieskich może sparaliżować drapieżnika. To skuteczne przystosowanie, ale nie zapewnia tym południowoamerykańskim żabom ochrony przed przedstawicielami własnego gatunku. A taka mogłaby się przydać – szczególnie gdy kijanki są umieszczane przez ojców w sadzawkach, gdzie znajdują się osobniki różnych rozmiarów. Często dochodzi tam do walk, które eskalują do aktów kanibalizmu.

Czasem ofiarami padają nawet krewni, co pozwala sądzić, że kanibale czerpią z tego znaczące korzyści, np. poprzez skrócenie czasu do metamorfozy. Badacze zaobserwowali, że kiedy kijanki umieszczane są w parach, to rodzeństwo walczy ze sobą niemal o połowę rzadziej niż pozostali (wliczając w to rodzeństwo przyrodnie). Pokrewieństwo jednak nie zawsze daje taryfę ulgową – kiedy różnica w wadze jest duża, to bracia i siostry są atakowani znacznie szybciej, niż byliby zaatakowani obcy o podobnych gabarytach. Rozpoznanie i ocena krewnych wpływa więc na podejmowane przez drzewołazy agresywne zachowania.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

ŻYCIE WIDAĆ ZNAKOMICIE

Drożejące mieszkania w metropoliach i coraz powszechniejsza praca zdalna to szansa dla mniejszych miejscowości. Wygrają te z atrakcyjną ofertą i dla nowych, i dla starych mieszkańców.

TEKST **MAREK SZYMANIAK** | ILUSTRACJA **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”



ROBERT MACIASZEK, BURMISTRZ CZTERDZIESTOTYSIĘCZNEGO Chrzanowa (woj. małopolskie) przeszedł typową dla rocznika '82 ścieżkę: wyjazd na studia do dużego miasta, kariera w korporacji. Mieszkał w Krakowie i Warszawie. Ale postanowił wrócić.

– Nie mogłem się pogodzić z tym, że Chrzanów znalazł się na liście miast, którym grozi zapaść – mówi. Potencjał rodzinnej miejscowości zauważył w dogodnej lokalizacji między Krakowem a Kato-

wicami, przy autostradzie A4. – Uznałem, że mamy szansę przyciągać inwestorów i mieszkańców, którzy mogliby u nas żyć, a pracować albo zdalnie, albo w Krakowie czy w Katowicach. Tyle tylko, że brakowało mieszkań – od lat nie budowało się nowych. Samorząd skupiał się na remontowaniu lokali socjalnych i komunalnych w kamienicach w centrum, a deweloperzy długo nas omijali. Powstawały tylko domy jednorodzinne.

Zielone osiedle

Tę słabość Maciaszek postanowił przekuć w atut. Na początek udało się znaleźć dewelopera, który wybudował 176 mieszkań. – Sprzedały się na pniu. Zobaczyliśmy, że potrzeby są ogromne. Dziś mamy ponad pół tysiąca mieszkań w budowie, niektóre zostały już oddane – podkreśla burmistrz. Kolejnych 500 jest projektowanych.

Jego zdaniem to zapotrzebowanie pokazało, że Chrzanów jest atrakcyjnym miejscem do życia. – Mamy rozbudowaną infrastrukturę społeczną: żłobki, przedszkola, szkoły, w tym muzyczną i sportowo-rekreacyjną. Mamy piękne tereny zielone, a wokół miasta lasy i jezioro Chechło. Nie będziemy mieli opery, ale taką potrzebę można zrealizować w dużych aglomeracjach, do których będzie się dało szybko dojechać – mówi.

W ten schemat wpisuje się największa inwestycja, którą planuje. Chce stworzyć coś na kształt ekologicznego osiedla, które odmieni cały kwartał miasta w ścisłym centrum. Przebudowany zostanie rozległy teren między rynkiem a dworcem kolejowym. Ta lokalizacja jest kluczowa, bo umożliwi szybkie dojazdy do Krakowa i Katowic tym, którzy od czasu do czasu będą musieli pojawić się w biurze czy zaczerpnąć wielkomiejskiej kultury. →



→ – Linia kolejowa jest właśnie modernizowana. Dojazd do centrum obu miast zajmie 35-40 minut – zapewnia burmistrz.

Dziś w miejscu planowanej inwestycji jest stare, składające się z blaszanych budek targowisko i parking. Po zmianach stanie tu dzielnica mieszkalna z funkcjami publicznymi. Powstanie miejska szklarnia, gdzie mieszkańcy będą uprawiać warzywa. Mówi się o biurze co-workingowym i klubie seniora. Zachowana zostanie też – choć mniejsza niż obecnie – przestrzeń dla kupców. – Będzie tu 200 mieszkań w energooszczędnych kamienicach z podziemnymi garażami, a między budynkami place zabaw i cztery niewielkie parki – opowiada Robert Maciaszek.

W opracowaniu koncepcji rewitalizacji tego obszaru samorządowcom pomagali eksperci z Europejskiego Banku Inwestycyjnego, który dodatkowo je sfinansował. Pierwsza łopata pod budowę osiedla może zostać wbita pod koniec 2023 r.

Wszędzie blisko

Rozwiązanie problemu mieszkaniowego stanowi też kluczową część mozaiki, którą burmistrz Arkadiusz Ptak układa w Pleszewie. To 17-tysięczne miasto w Wielkopolsce od czterech lat realizuje ideę „miasta piętnastominutowego”.

– U nas w kwadrans jazdy rowerem można załatwić wszystkie życiowe sprawy – przekonuje Ptak i pokazuje film na YouTube, w którym dziewczyna na rowerze odwiedza w tym czasie urząd, park, zakład pracy, planty i dom kultury. – Wszystkie żłobki, przedszkola, szkoły, urzędy czy szpital są w zasięgu 15 minut przejazdu. Zachęcamy, aby po mieście jeździć rowerem i komunikacją publiczną. Tę drugą uruchomiliśmy półtora roku temu, a teraz jeszcze doszło do mieszkalnictwa, bo tego chcą mieszkańcy – dodaje.

Władze miejskie zapytały pracowników firm, którzy codziennie dojeżdżają z innych miejscowości, czy brali pod uwagę przeprowadzkę do Pleszewa. Co piąty odpowiedział, że tak. Ale brakowało mieszkań.

– Opracowaliśmy więc projekty mieszkaniowe, aby z jednej strony pozyskać tych, którzy już tu są od godziny 7 do 15, ale po pracy wyjeżdżają i nie płacą u nas PIT-u, a z drugiej mieć ofertę dla tych, którzy są na miejscu – pracują, ale mimo to nie stać ich na mieszkanie, bo są w tzw.

Trzy czwarte mieszkańców mniejszych miast i wsi deklaruje, że kultura jest dla nich ważna. To także dostęp do niej decyduje o jakości życia.

luce czynszowej. Za bogaci na mieszkanie socjalne czy komunalne i za biedni na kupno czy wynajem lokalu na wolnym rynku – mówi Ptak.

Władze Pleszewa stawiają na kilka „filarów”. Pierwszy to budowa 92 mieszkań na wynajem z opcją własności. Co ważne, 20 proc. tych lokali jest dla osób spoza Pleszewa. Drugi to mieszkania tylko na wynajem. Trzeci – komunalne. A czwarty to wsparcie inwestycji prywatnych, ale – jak podkreśla burmistrz – z guzikiem bezpieczeństwa.

– Sprzedaliśmy grunt inwestorowi, ale w przetargu zamieściliśmy zapis, że w ciągu trzech lat ma powstać tam blok. W przeciwnym wypadku miasto będzie mogło odzyskać własność. Chcieliśmy zabezpieczyć się przed tym, aby ktoś nie potraktował tego terenu jako lokaty kapitału – mówi Ptak i dodaje, że w oparciu o te „filary” powstaje w sumie 213 mieszkań. – Zastosowaliśmy dźwignię finansową. Angażując 7 mln z naszego budżetu, dzięki dotacjom, grantom i udziałowi mieszkańców mamy inwestycje na 57,5 mln zł.

Burmistrz mówi, że mieszkalnictwo to element większego planu. Kiedy bowiem zaspokoimy podstawowe potrzeby – pracy i dachu nad głową – chcemy mieć też dobrą przestrzeń do życia, a także coś, co wypełni nam czas po pracy.

– Zamierzamy nakłonić do powrotu tych, którzy wyjechali do dużych miast, a tutaj mają domy czy mieszkania po rodzicach i dziadkach. Ich można przekonać jakością życia, bliskością natury, brakiem korków, ale i dobrze wyposażonymi przedszkolami czy żłobkami – mówi Ptak.

W Pleszewie też słucha się mieszkańców. Kiedy uznali, że chcą przestrzeni do spędzania czasu, pokolejowe tereny z nową biblioteką i domem kultury zrewitalizowano tak, że Towarzystwo Urbanistów Polskich przyznało projektowi nagrodę główną w konkursie na najlepiej zagospodarowaną przestrzeń publiczną w Polsce. A kiedy mieszkańców zapytano o rozrywkę i kulturę, okazało się, że zamiast kosztownych „Dni Pleszewa” lepiej zorganizować setki mniejszych, czasem niszowych wydarzeń. – W 2021 r. w dwóch instytucjach odbyło się ponad 370 imprez, więcej niż jedna dziennie – chwali się burmistrz.

To pytanie mieszkańców o zdanie, choć w samorządzie wydaje się fundamentem, w praktyce często jest traktowane po macoszemu. Konsultacje społeczne przeprowadza się czasem tak, jakby odhaczano przykry obowiązek i zabezpieczano się na wypadek, gdyby inwestycja jednak się nie spodobała. Tak było choćby w Rypinie w Kujawsko-Pomorskiem, który opisywałem w książce „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast”. Kilka lat temu przeprowadzono tu rewitalizację Nowego Rynku, ale projekt skonsultowano zaledwie z 88 osobami spośród blisko 17 tys. mieszkańców. A gdy efekt modernizacji rynku, czyli jego wybetonowanie, ich nie zachwycił, ówczesne władze tłumaczyły, że projekt... był konsultowany.

Inaczej wygląda to w Dąbrowie Górniczej. Tu zdanie mieszkańców jest kluczowe dla wciąż powstającej Fabryki Pełnej Życia, która stawiana jest za wzór udanych rewitalizacji. Jest bowiem tym, czym powinna być – przywróceniem życia martwej przestrzeni.

Chodzi o teren po upadłej w 2015 r. fabryce obrabiarek „Defum”. Licząca 40 tys. metrów kwadratowych parcela leży w sercu miasta. Przez lata była ogrodzona i niedostępna dla mieszkańców.

– Ten mur zburzono w 2016 r. – mówi Wojciech Czyżewski, szef Fabryki Pełnej Życia. Wtedy miasto przejęło działkę i zdecydowało o stworzeniu tu centrum z prawdziwego zdarzenia. Z badań wynikało, że tego właśnie brakowało mieszkańcom.

Czyżewski: – Wielu nie potrafiło wskazać, gdzie jest centrum Dąbrowy Górniczej. Nadarzyła się więc okazja, aby je stworzyć na nowo. Nie chcieliśmy kolejnej galerii handlowej, a taki los często spotykał tereny postindustrialne w latach 90.

i dwutysięcznych, ale aby to miejsce pełniło wiele funkcji. By mieszkańcy mieli gdzie się spotkać, zrobić zakupy, coś zjeść, obejrzeć film, pójść na koncert czy poćwiczyć. Chcieliśmy stworzyć lokalny mikroklimat wielkiego miasta.

To, jak ma wyglądać Fabryka Pełna Życia, konsultowano z mieszkańcami. Urządzano spacerowe badania czy debaty podwórkowe. Zamówiono profesjonalne badania opinii, w których o zdanie zapytano tysiące ludzi.

– Wnioski były właściwie takie same: w mieście brakuje centrum – mówi Czyżewski. – Światowe trendy podpowiadały, że musi to być miejsce odporne na zmiany klimatu, z możliwością powtórnej retencji, przyjazne pieszym i rowerzystom, z wykorzystaniem fotowoltaiki. A oczekiwania mieszkańców okazały się z tym zbieżne. Wskazywali, że powinno to być miejsce pełne zieleni, takie, które nie wyklucza ani starszych, ani młodszych, ani niepełnosprawnych, i wolne

od samochodów – bo inaczej nie będzie ciche i bezpieczne – dodaje.

Choć Fabryka Pełna Życia nie jest jeszcze skończona, przyciąga wielu mieszkańców. Odbывают się tu targi (np. dla zwierząt), zajęcia sportowe (joga), warsztaty dla dorosłych (pszczelarstwo, majsterkowanie, układanie bukietów) i dla dzieci (plastyczne), zjazdy food trucków, degustacje win czy piwne festiwale. Są spektakle teatralne, pokazy filmów i koncerty, których nie powstydziłyby się Warszawa czy Kraków.

– Grali u nas m.in.: Organek, O.S.T.R., Fisz Emade, Krzysztof Zalewski. To przekonuje młodych, że tu jest coś dla nich i nie muszą tego szukać w wielkim mieście – mówi Wojciech Czyżewski. Dodaje, że Fabryka Pełna Życia wciąż się rozwija. Ostatnio powstał punkt widokowy. – Nie taki zwykły, na który się wchodzi i ogląda to, co jest dookoła, lecz taki, z którego widać wewnątrz jednej ze starych hal produkcyjnych. Uczymy historii, budujemy tożsamość i wzmacniamy więź z miejscem i miastem.

Kamień w bucie

„Tu nic się nie dzieje” – mówią często mieszkańcy mniejszych miejscowości. Niezależnie, czy to opinia prawdziwa, czy nie, pewne jest, że dostęp do kultury i rozwój stanowi o jakości życia. Może być też jednym z powodów do wyjazdu. Jeśli nawet mamy cztery kąty, niezłą pracę, a nie mamy co robić po pracy – ten brak może uwierać jak kamień w bucie.

Według GUS ponad trzy czwarte mieszkańców mniejszych miast i wsi deklaruje, że kultura jest dla nich ważna lub bardzo ważna. Dlatego, aby mniejsze ośrodki zatrzymywały mieszkańców i przyciągały nowych, muszą oferować łatwy do niej dostęp. Najlepiej na poziomie nieodstającym od metropolii.

Niewykonalne? Nie dla żółtodziobów, którzy nie wiedzą, że może im się nie udać. Tak o sobie mówi Bartosz Świerkowski z Augustowa na Podlasiu. To położona wśród jezior miejscowość przyciągająca latem tysiące turystów, która po wyjeździe letników zastyga.

Świerkowski jeszcze dekadę temu pracował w branży AGD, ale od zawsze kochał kino. W młodości, kiedy mieszkał z rodzicami, zapraszał do domu znajomych. Oglądali, rozmawiali, sprzeczali się, a potem włączali kolejne filmy. Kiedy zaczęło się dorosłe życie, kino ciągle mu



Bezpieczeństwo i kontrola

OKIENKO POGODOWE

dla mniejszych miast otworzyła pandemia, kiedy normą dla setek tysięcy ludzi stała się praca zdalna. Badania portalu Pracuj.pl pokazują, że aż 86 proc. Polaków, którzy zaczęli pracować zdalnie lub hybrydowo, chciałoby pracę kontynuować w tej formie; dane GUS pokazują zaś, że zdalnie pracują głównie mieszkańcy największych miast. Wielu z nich to osoby, które do metropolii przyjechały z mniejszych ośrodków. W ciasnych mieszkaniach, często dzielonych z partnerami i dziećmi, niektórzy traktują myśl o powrocie w rodzinne strony jako rozsądną opcję, zwłaszcza że wysokie ceny mieszkań, rosnące stopy procentowe,

inflacja i topniejąca zdolność kredytowa komplikują marzenia o poprawie sytuacji na miejscu. Joanna Erbel, socjolożka, działaczka miejska i ekspertka ds. mieszkaniowych, a przy tym autorka książki „Wychylone w przyszłość. Jak zmienić świat na lepsze”, zauważa jednak, że nie wszystkie mniejsze miejscowości mają równe szanse.

– Wygrają te, które będą potrafiły zaspokoić potrzeby trudne do zrealizowania w dużych miastach, czyli po pierwsze: konserwatywnego odruchu potrzeby bycia blisko rodziny, co szczególnie istotne w niepewnych czasach,

kiedy ważne jest bezpieczeństwo. A po drugie potrzebę poczucia własności, kontroli nad terytorium, własnym miejscem, mieszkaniem – mówi Erbel. Chodzi też o pokazanie, że te pamiętane z dzieciństwa miejscowości zmieniają się na lepsze. Na to nie ma jednak jednej recepty. – Każda musi odnaleźć swój potencjał i pomysł na siebie – zauważa socjolożka. Kiedy zaś zmiana zacznie się materializować, będą wracać jednostki aktywne, bardziej społeczne, odważne, z wiedzą i potencjałem intelektualnym, co korzystną transformację jeszcze wzmocni.

© MAREK SZYMANIAK



Miasto w kwadrans

„BĘDĘ ŻYŁ 30 MIL

od mojego biura – pod sosną; moja sekretarka będzie żyła również 30 mil od biura, ale w innym kierunku – pod inną sosną. Oboje będziemy posiadać samochody. Będziemy zużywać opony, ścierać nawierzchnię dróg oraz skrzynie biegów, konsumować ropę i benzynę. Każda z tych rzeczy będzie wymagać wielu nakładów pracy... ale one wystarczą dla wszystkich” – pisał w 1935 r. Le Corbusier w książce „La ville radieuse” (fr. Promienne miasto). Cztery lata przed wybuchem II wojny światowej pomysł połączenia uroków wiejskiego życia z szybkim tętnem wielkomiejskiej codzienności wydawać się mógł nie tylko kuszący,

ale także możliwy w realizacji. Współczesne miasta muszą rozwijać się podług odmiennego paradygmatu, którego podstawą jest przekonanie, że zasoby planety mają charakter ograniczony. Przestrzeń, którą Le Corbusier chciał ujarzmić kosztem czasu mieszkańców, coraz częściej staje się zaś pułapką. Firma doradcza Deloitte szacowała w 2016 r., że w siedmiu największych miastach Polski mieszkańcy tracą co miesiąc w korkach po osiem godzin i 52 minuty. W wielomilionowych aglomeracjach sytuacja jest jeszcze gorsza. Odpowiedzią na tego typu problemy ma być jednak koncepcja „piętnastominutowego miasta” autorstwa prof. Carlosa Moreno z paryskiej Sorbony, który

w swoich pracach postuluje taką organizację miejskiej przestrzeni, by jej użytkownicy większość kluczowych funkcji społecznych (zamieszkiwanie, praca, zakupy, ochrona zdrowia, edukacja, rozrywka) mogli łatwo osiągnąć w nie dłuższej niż kwadrans. Zdaniem Moreno jakość życia w mieście jest odwrotnie proporcjonalna do czasu potrzebnego na przemieszczanie się, zwłaszcza autem, dlatego stawia na komunikację zbiorową i rowery. Cechą charakterystyczną „piętnastominutowego miasta” ma być również inkluzywność, osiągnięta za sprawą łączenia różnych typów architektury, co pozwala zapobiec podziałowi na tzw. złe i dobre dzielnice.

© © MAREK RABIJ

→ towarzyszyło. Brakowało mu jednak miejsca, gdzie miałby kontakt z innymi widzami. Zimą 2013 r. zaryzykował i skontaktował się z właścicielami lokalnego kina. Zaproponował stworzenie dyskusyjnego klubu filmowego.

– Nie sądziłem, że to dla mnie jakaś szansa na zmianę, ale wyszło fajnie, ludziom się podobało, więc to powtórzyliśmy. A potem znowu i znowu. Może to było szczęście nowicjusza, który nie wie, że czegoś nie da się zrobić albo nie wypada prosić o pieniądze? Nie byłem z tej branży, więc po prostu uznałem, że trzeba próbować i można prosić nawet o 200 zł albo nocleg dla naszego gościa, reżysera czy aktora. I tak tę imprezę od gabinetu do gabinetu wychodziłem. Nigdy mi nie odmówiono – opowiada Bartosz Świerkowski.

Dziś augustowski „Kinochłon”, bo tak się nazywa stworzony przez niego DKF, to ogólnopolska marka, którą dwukrotnie docenił Polski Instytut Sztuki Filmowej, przyznając nagrodę dla najlepszej takiej inicjatywy w kraju. A Świerkowski branżę AGD zamienił na kulturalną. Jest menedżerem kina, ale zajmuje się też organizacją koncertów, spotkań autorskich czy zajęć dla dzieci.

– Przeważa miejscowa publiczność, wśród której większość stanowią kobiety. Widzowie przyjeżdżają też z Elku, Suwałk, Raczek, ale marzy mi się, aby docierali i z dużych miast, jak do Zwierzyńca, Szczecznieszyna czy Kazimierza Dolnego – mówi Świerkowski i dodaje, że kluczowe jest dostosowywanie oferty do młodych osób. – Nie można oczekiwać, że będą podziwiał Janusza Gajosa, bo ty go podziwiasz. Trzeba wiedzieć, co ich interesuje. A skoro młodzież kręca filmy anime, to trzeba im je dać – dodaje.

Czy da się wygrać z „nic się nie da”?

Człowiekiem z zewnątrz jest też w jakimś sensie Maciej Sienkiewicz, który



Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA



z Warszawy przeniósł się do 10-tysięcznego Łobza w Zachodniopomorskiem. Po wojnie osiedlili się tu jego dziadkowie, urodził jego ojciec, ale on sam przyszedł na świat w stolicy. Pracował w branży muzycznej, pisywał do czasopism, był kuratorem w Centrum Sztuki Współczesnej. I choć życie w Warszawie było dobre, było też drogie. Stojąc z żoną na życiowym rozstaju, chcieli odpocząć od zgiełku. Na dwa wakacyjne miesiące przenieśli się do domu po dziadkach w Łobzie. I już zostali.

Nie porzucili jednak myśli o działalności kulturalnej. Początkowo chcieli założyć klubokawiarnię z artystycznym programem, ale wtedy – jak mówi Sienkiewicz – zderzyli się z lokalnym „nic się nie da”. Nie poddali się i zorganizowali pchli targ połączony z występami artystycznymi. To był zaczątek, z którego w 2020 r. wyrósł multidyscyplinarny festiwal „Karambol w Kosmosie”, w ramach którego odbywają się spotkania z pisarzami, koncerty, przedstawienia teatralne, wycieczki turystyczne, wieczory planszówek czy kiermasz płyt i książek.

Początek nie był łatwy, bo impreza odbywała się w szczycie pandemii, więc występy zorganizowano pod dachem hali sportowej, w ostrym reżimie sanitarnym. W plener można było wyjść dopiero drugiej edycji. Do małej miejscowości udało się ściągnąć m.in. O.S.T.R., Baascha, DJ Steeza czy nazwiska ze świata literatury: Olę Dreńde, Natalię Fiedorczuk, Jakuba Zulczaka.

– Czy czujemy wsparcie lokalnych władz? – powtarza pytanie Sienkiewicz i na dłuższą chwilę się zamyśla. – Traktując nas trochę jak zło konieczne, trochę jak nieszkodliwych wariatów, ale wspierają. Rok temu miasto udostępniło nam dużą plenerową scenę na zrewitalizowanym boisku i mniejszą w domu kultury. Do tego zapłaciło za sprzątnięcie terenu, ochronę i profesjonalne nagłośnienie, więc tym samym stało się oficjalnym współorganizatorem imprezy. Jak będzie w tym roku? Zobaczymy.

Widać powroty?

Sienkiewicz nie ma jednak złudzeń, że jego wydarzenie zatrzyma młodych czy przyciągnie dawnych mieszkańców do Łobza. – Jeden festiwal w roku to za mało, aby ożywić życie kulturalne. Mieliśmy tu takiego świetnego chłopaka, pasjonata muzyki, kolekcjonera płyt winylowych. Wyjechał po maturze, jak wszyscy – mówi.

– Ludzie wyjeżdżają z rodzinnych miast, aby się kształcić i robić karierę, ale na kolejnym etapie życia, kiedy zakładają rodzinę, chcą mieć większe mieszkanie, a na to czasem ich nie stać. To jest ta szansa – dodaje Wojciech Czyżewski z Dąbrowy Górniczej. – Jeśli się nie zmodernizujemy, nie stworzymy nowoczesnej przestrzeni, która zatrzymywałaby i przyciągałaby ludzi, to ją tracimy.

– Znam co najmniej jedną osobę, która jeszcze przed pandemią pracowała

w Warszawie. W czasie lockdownu wróciła do nas i już została. Jest miłośniczką filmu i stała bywalczynią naszych imprez. Oferta kulturalna może być jak magnes, choć na pewno nie będzie decydującym czynnikiem. Ważniejsze są praca czy mieszkanie – podkreśla Bartosz Świerkowski z Augustowa.

– Wśród mieszkańców przełamano beznadzieję, poczucie, że to małe miasto, więc nic się nie da i nic się nie dzieje. Zostaliśmy dostrzeżeni na forum ogólnopolskim, międzynarodowym. Mieszkańcy czują, że mają coś wartościowego, czego nie ma nawet w dużych miastach – mówi Arkadiusz Ptak z Pleszewa. – Dla mnie już zatrzymanie odpływu mieszkańców będzie sukcesem. A to, przy inwestycjach i nowych zameldowaniach, jest już realne.

Powroty nie tylko z dużych miast, ale i zagranicą widzi Robert Maciaszek z Chrzanowa, choć przyznaje, że statystyki tego jeszcze nie pokazują. – Ale jestem spokojny. Mamy pół tysiąca mieszkań w budowie, w których zamieszka co najmniej tysiąc osób, a pewnie więcej. Część z nich to będą nowi mieszkańcy. Jak porozmawiamy za rok albo dwa, będzie widać różnicę – kończy.

© MAREK SZYMANIAK

Autor jest reporterem, autorem książek „Urobieni. Reportaże o pracy” oraz „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast” – ta druga otrzymała nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego i do nagrody Grand Press za reporterską książkę roku.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Włara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rąbaj,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Dziesięcina



WPRAWDZIE PRZYKAZANIE DOTYCZĄCE ODdawania dziesięciny pojawi się dopiero w Księdze Liczb, jednak już zamykające wersy Księgi Kapłańskiej informują nas, jak mamy postąpić, gdybyśmy chcieli ją wykupić. Czy ta wiedza ma dziś dla nas

znaczenie praktyczne? To oczywiście zależy od odpowiedzi na pytanie, czy dziesięcinę mamy płacić również współcześnie.

Przyjrzyjmy się tej kwestii od Patriarchów. Zapewne zaskoczy nas odnotowany przez Biblię fakt, iż Abraham – odniósłszy militarne zwycięstwo nad królami, którzy napadli na miasto, gdzie mieszkał jego bratanek Lot – oddał dziesiątą część łupów Melchizedekowi, kapłanowi Boga Najwyższego (zob. Rdz 14, 18-20). Z kolei uciekający przed rozsierzdzonym bratem bliźniakiem Jakub zadeklarował: „Jeżeli będzie Bóg ze mną, a strzedz mnie będzie na drodze tej, którą idę, i da mi chleb na pokarm i suknię na odzienie, a powrócę w pokoju do domu ojca mojego (...) z wszystkiego co mi dasz, dziesięcinę zaofiaruję Tobie” (Rdz 28, 20-22; Cyllkow).

A jak sprawa się ma z przebywającymi na pustyni Izraelitami? Teraz manna jest ich chlebem powszednim, ale po wejściu do Ziemi Obiecanej trzeba się będzie zatroszczyć o apro wizację kapłanów i lewitów, którzy nie dostaną tam działu ziemi. Najwyższy anonsuje Aaronowi: „Synom zaś Lewiego oto oddałem wszelką dziesięcinę w Izraelu w dziedzictwie, za służbę ich, którą sprawują, posługując przy przybytku zboru” (Lb 18, 21). To jest tzw. pierwsza dziesięcina, z której z kolei lewici oddziela dziesiątą część i oddadzą kapłanom, jako dodatek do przynależnych im części ofiar oraz do tego, co potomkowie Aarona otrzymują jako dar od rolników.

Drugą dziesięcinę oddziela się z płonów, pozostałych po oddaniu pierwszej, oraz darów dla kapłanów. Ma ją spożytkować sam Izraelita wraz ze swoją rodziną w Jerozolimie. Jeśli mieszka daleko lub z innych przyczyn nie jest mu wygodnie podróżować ze zbyt dużym prowiantem, może przywieźć do Świętego Miasta ekwiwalent pieniężny i zaopatrzyć się w wik tualia na miejscu. W trzecim i szóstym roku siedmioletniego cyklu zwieńczonego rokiem szabatowym druga dziesięcina zmienia nazwę na dziesięcina (dla) ubogich i trafia do potrzebujących – także jerozolimskie wczasy pod gruszą niekoniecznie powtarzają się rokrocznie. W siódmym roku, kiedy i tak wszyscy mogą nieodpłatnie korzystać z tego, co wyda ziemia, oczywiście nie ma obowiązkowych danin.

Przykazania „rolnicze” obowiązują tylko w samym Izraelu. Mnogość rabinackich opinii sprawia, że tylko niektórzy sprawdzają przed kupnem izraelskich warzyw i owoców, czy została z nich oddzielona dziesięcina. A 10 proc. z naszych przychodów finansowych? To już inne zobowiązanie i niezupełnie inna historia. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Bogu podobni



JEZUS W DRODZE DO JEROZOLIMY POSTANOwił zanoćować w pewnym samarytańskim miasteczku. „Nie przyjęto Go jednak”. Nic dziwnego, między Samarią i Jerozolimą trwała przez wieki pogłębiania nienawiść. „Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli:

Panie, czy chcesz, a powiemy, żeby ogień spadł z nieba i zniszczył ich?”. Ta dyskretna sugestia też dziwić nie może. Skoro nadarza się okazja, żeby pokazać wrogom, po czyjej stronie stoi Bóg, czemuż nie skorzystać? Przecież Jezus sam powiedział: „kto Mnie przyjmie, przyjmuje Tego, który Mnie posłał”.

„Lecz On odwróciwszy się zabronił im”. To ostatnie zdanie wiele rękopisów uzupełnia, np. w Lekcjonarzu mszalnym mamy „odwróciwszy się, zgromił ich”, albo „skarcił ich”, albo że powiedział: „nie wiecie, jakiego ducha jesteście”. Nie pierwszy to raz i nie ostatni Jezus tak ostro reaguje na pomysły apostołów. Kiedyś Jan z nieukrywaną nutką samochwalstwa zagadnął Jezusa: „Mistrzu, widzieliśmy kogoś, jak w imię Twoje wypędzał złe duchy, i zabranialiśmy mu, bo nie chodzisz z nami. Lecz Jezus mu odpowiedział: »Nie zabraniajcie; kto bowiem nie jest przeciwko wam, ten jest z wami«”.

Warto tę Jezusową wypowiedź przywołać, gdy najdzie nas ochota na uwiarygodnianie „naszej wiary” umiejętnościami egzorcyzmowania, a nawet wskrzeszania umarłych, czy też gdy zapagniemy z Jezusa uczynić „wieźnia miłości” i dla własnego bezpieczeństwa trzymać Go pod kluczem w pozłocistych tabernakulach i monstrancjach, a Jego pole działania ograniczymy murami kościołów. Nie bez powodu przed laty papież Franciszek mówił, że Jezus łomocze w drzwi świątyń, ale nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz, gdyż chce wyjść na świat.

Wygląda jednak na to, że od tamtego czasu coś się zmieniło i Jezus ma podwójny kłopot. Nie dość, że nie może wyjść z kościołów, to i wejść do nich nie ma jak. Obstawiliśmy drzwi kościołów z obu stron i nie chcemy Go ani wypuścić, ani wpuścić, i tak naśladujemy Samarytan i Judejczyków. Siedzimy okraciem na progach naszych Tradycji i przekrzykujemy się w myśl przysłowia: „Kaźda srocza swój ogonek chwali”. A Duch Boży robi swoje i pokazuje, że Bogiem nie da się nijak kierować, nawet po dobroci, ani czymkolwiek przekupić, zwłaszcza modłami, ani ujarzmić. Nie ma się też co przechwalać, że np. ogrom pomocy dla Ukrainy jest sukcesem duszpasterskim akurat naszego Kościoła. Nie, jest to sukces Bożego Ducha, Ducha Jezusowego Człowieczeństwa, który z równym powodzeniem współdziała z ludźmi religijnymi i z ateistami. „Wiatr wieje, gdzie chce – mówi Jezus – i nie wiesz, skąd przychodzi oraz dokąd zmierza, słyszysz tylko jego szum. Tak też jest z każdym, który zrodził się z Ducha”. Ta właśnie ludzka dobroć najlepiej świadczy, że wciąż jeszcze jesteśmy podobni do Boga. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Dwa polecenia

*Nie próbuj wytworzyć
w sobie Jego obrazu,
ale skupiaj się na wołaniu
do Niego.*

ABBA MAKARY



*Czego szukasz,
szuka ciebie.*

RUMI



LITURGIA UROCZYSTOŚCI Bożego Ciała przyniosła nam dwa polecenia Chrystusa Pana: „To czyńcie na moją pamiątkę!”

(zob. 1 Kor 11, 24 i 25) oraz „Wy dajcie im jeść!” (Łk 9, 13). W Boże Ciała trzeba usłyszeć obydwie te polecenia – są one bowiem w myśli Jezusa głęboko ze sobą powiązane: my, którzy bierzemy ze stołu Pana Chleb i Wino, by się Nimi karmić – jakim prawem moglibyśmy odmówić pożywienia tym, którzy go nie mają?

Są także nierozzerwalne i współprzyczynowe: przypomina mi się tu historia opisana przez dwóch biskupów Liverpoolu (anglikańskiego i rzymskokatolickiego), którzy prowadzili wspólnie rekolacje akademickie. Część słuchaczy stanowili studenci-wolontariusze posługujący bezdomnym. To właśnie im biskupi postawili pytanie, które z dwóch naczyń jest dla nich bliższe i cenniejsze: kielich mszalny czy metalowy kubek, w którym podają wodę potrzebującym. „Kielich mszalny!” – zdecydowanie odpowiedzieli studenci (raczej wbrew powszechnemu oczekiwaniu): „Bez Niego stracimy motywację i siłę, by wychodzić na ulice z metalowym kubkiem”.

Czynne miłosierdzie („Wy dajcie im jeść!”) jest jasnym sprawdzianem prawdziwości naszego kultu Eucharystii („To czyńcie na moją pamiątkę!”). Tymczasem stosunkowo dość łatwo przychodzi nam się zwolnić z wypełnienia owego zobowiązania. Tak jak wtedy apostołowie (!), wi-

dzimy problem („Odpraw tłum, niech idą do okolicznych wsi i zagród, gdzie znajdują schronienie i żywność...” – w. 12); nie zamierzamy się jednak sami angażować.

Po pierwsze, łatwo przychodzi nam wskazać innych – „okoliczne” miejscowości to w gruncie rzeczy nie tylko „wsie i zagrody”: tradycja zapamiętała miejsce wydarzenia (Tabga); wystarczy przejść się trochę wzdłuż brzegu Jeziora Galilejskiego, by trafić do Kafarnaum lub do Tyberiady (wcześniej – w czasach Jezusa – do wielotysięcznej Magdali) – wszyscy przyznają, że wypowiedź apostołów brzmi jak głos rozsądku. Niech idą do ludzi, którzy zaradzą ich problemom – i łatwiej, i skuteczniej! Zupełnie tak, jak „rozsądnie” brzmią wypowiedzi niektórych proboszczów i rad parafialnych: „U nas problemy z biedą załatwia skutecznie i kompletnie MOPS (albo GOPS)”. Do tego dochodzi druga apostołowska wymówka: „Mamy tylko pięć chlebów i dwie ryby...” (w. 13). Czytaj: sami jesteśmy biedni i potrzebujący; to, co mamy, nie wystarczy nawet dla nas; cóż dopiero, by nakarmić taki tłum. Także i ona brzmi znajomo...

Jezus nas wzywa do miłosierdzia, a więc do tego, by się dzielić z tego, co niewystarczające i ubogie, a nie do sprawiedliwości (jaką – wedle odwiecznej nauki Kościoła – jest dzielenie się z tego, co mi zbywa i co mam ponad przeciętną – tzw. *superflua*). On sam dzieli się z nami ze swego ubóstwa (które wybrał jako stan życia) i może właśnie dlatego daje nam siebie w najprostszej i najskromniejszej postaci Chleba. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 VI – 3 VII)

13. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 16b. 19-21;
Ps 16; Ga 5, 1. 13-18; Łk 9, 51-62;
Poniedziałek: Am 2, 6-10. 13-16; Ps 50; Mt 8, 18-22;
Wtorek: Am 3, 1-8; 4, 11-12; Ps 5; Mt 8, 23-27;
Środa, uroczystość świętych apostołów
Piotra i Pawła: Dz 12, 1-11; Ps 34;
2 Tm 4, 6-9. 17-18; Mt 16, 13-19;

Czwartek: Am 7, 10-17;
Ps 19; Mt 9, 1-8;
Piątek: Am 8, 4-6. 9-12;
Ps 119; Mt 9, 9-13;
Sobota: Am 9, 11-15; Ps 85; Mt 9, 14-17;
14. niedziela zwykła: Iz 66, 10. 12-14c;
Ps 66; Ga 6, 14-18; Łk 10, 1-12. 17-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

NIGDY NIE ZDEJMUJĘ BUTÓW

Wszczynając protesty, pracownicy socjalni włączyli przycisk SOS – podobny do tego, jaki miewają w biurach na wypadek zagrożenia. Podobna jest też reakcja: mało kogo to obchodzi.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

DWA TYSIĄCE TRZYSTA SZEŚCZDZIESIĄT trzy złote na rękę miesięcznie. Sto dwanaście dziennie (tak wychodzi w czerwcu, bo ma on 21 roboczych dni). Czternaście na godzinę – coś jak minimalna stawka pomocnika murarza.

Z takimi wyliczeniami idę do Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Rzeszowie. Jednego z miejsc, gdzie trwają płacowe konflikty pracowników socjalnych z pracodawcą. Albo – jak w Rzeszowie – będące na etapie sporu zbiorowego, albo (jak w Łodzi) wręcz strajku.

– Pięć lat studiów, piętnaście stażu, masa kursów i szkoleń. Po tym wszystkim wychodzi mi trochę więcej, choć większość koleżanek zarabia tyle, ile pan wy-

liczył, czyli minimalną krajową. Ja w tym miesiącu dostałam na konto trzy tysiące sto dwa złote – prostuje Anna Uluszczak-Woźny z zespołu terenowych pracowników socjalnych. Obliczamy, że to na dzień sto czterdzieści siedem, a na godzinę osiemnaście złotych (tyle właśnie wynosi minimalna stawka murarza).

– Studia wyższe, jak wszyscy. Długi staż, II stopień specjalizacji, czyli najwyżej, jak się da. Egzamin państwowy zdany z wyróżnieniem. Trzy tysiące na rękę – przyznaje Anna Chobel z sąsiedniego wydziału zajmującego się przeciwdziałaniem przemocy w rodzinie. Liczymy: sto czterdzieści dwa dziennie, trochę ponad siedemnaście na godzinę.

Uluszczak-Woźny: – Gdy pracowałam w Warszawie, koleżanka po południu dodatkowo zarabkowała, robiąc paznokcie. Ja dorabiałam jako kelnerka w Marriotcie.

Chobel: – Zarabiam na ratę kredytu. Niemal dokładnie.

Przyjechałam do Rzeszowa, by usłyszeć, co za swoje 112-140 zł dziennie musi przeżyć i zrobić polski pracownik socjalny.

Interwencje? Jakie interwencje?!

Jest ich w Polsce niecałe dwadzieścia tysięcy. Za mało: NIK ustalił w 2019 r., że większość ośrodków pomocy społecznej nie spełnia ustawowego wymogu zatrudnienia jednego pracownika na 50 rodzin (niektórzy mieli ich nawet po 150).





MICHAŁ DYJUK / REPORTER

Podwórko starej kamienicy w Warszawie, kwiecień 2011 r.

istnieje dopiero od kilku lat – mówi Maczyński. – Coraz więcej osób wstępuje też do związków. Tylko do nas zapisało się ponad trzy tysiące, co stanowi 15 proc. przedstawicieli zawodu.

Protestuje – bądź wkrótce może zacząć – Chełm, Głucholazy, Jarosław, Kołobrzeg, Mikołów, Opole, Piotrków Trybunalski, Lublin, Warszawa, Skarżysko-Kamienna i Kudowa-Zdrój. Najpoważniej jest w Łodzi – tu od dwóch miesięcy trwa strajk. Odbyło się już blokowanie urzędu miasta, ulic, rond, obrzucanie radnych papierem toaletowym. 120 pracowników nie przychodzi do biur, inni poszli na zwolnienia. A Łódź jest szczególnie – mieszkańców ma z grubsza tyle co Wrocław, za to klientów pomocy społecznej jest prawie czterokrotnie więcej.

– Bywa, że nasi podopieczni nie dostają już zasiłków. W zasadzie można powiedzieć, że w Łodzi nastąpił paraliż pomocy społecznej – przyznaje Tonderys.

– A interwencje, np. w razie przemocy domowej? – pytam.

– Jakie interwencje?! Do MOPS-u nie idzie się teraz dodzwonić. Mail może ktoś odczyta, ale i tak będzie problem z realizacją, bo nie ma pracowników.

Łódzcy socjali chcą pensji na poziomie krajowej średniej. Miasto nie chce o tym słyszeć. Trwa impas.

Dzień jak co dzień, część I

Scena pierwsza, ósma rano. Stara kamienica bez dopływu gazu, za to z butlami w mieszkaniach. I z piecykami na węgiel.

– To był wywiad środowiskowy – opowiada Anna Ułuszcak-Woźny. Jest w środku dnia pracy: po powrocie z terenu, a przed papierologią.

– Rodzina, u której byłem – kontynuuje – pobiera zasiłek stały, trzeba ich regularnie odwiedzać. Pani jest niepełnosprawna, a i tak trzyma rodzinę w ryzach. Nie może iść na etat, ale udało jej się załatwić prace społecznie użyteczne. Za ponad 9 zł od godziny, 40 godzin miesięcznie.

Scena druga: 10-piętrowy blok z mieszkaniem socjalnym. Kilka minut pieszo od pięknie prezentującego się centrum miasta. – Czasami się mówi: drugi Rzeszów albo drugie dno Rzeszowa. Ludzie, którzy tu mieszkają, raczej nie chodzą do restauracji na rynek – mówi Ułuszcak-Woźny.

Wchodzą do domów, w których często czuć stęchłą i wódkę. Namawiają na odwyk. Organizują miejsce w DPS gąsnącym staruszkom. Ratują dziecko, którym ojciec albo konkubent godzinę temu rzucił o ścianę. Walczą z wykluczeniem: bezdomnych, samotnych, ubogich, chorych, uzależnionych, byłych więźniów, uchodźców. Wypełniają papiery – tony papierów, z których część nie ma sensu. Nikogo to jednak nie rusza. Jeśli media zainteresują się pracownikami socjalnymi, to tylko wtedy, gdy dojdzie do tragedii w którejś z rodzin i trzeba szybko znaleźć winnych.

Tymczasem troje na czworo zarabia minimalną krajową. Polska Fede-

racja Związkowa Pracowników Socjalnych i Pomocy Społecznej podaje, że w zeszłym roku średni zarobek wyniósł 3180 zł brutto. – Bywało, że pracownica socjalna zgłaszała się po pomoc do własnej pomocy społecznej – mówi szef Federacji Paweł Maczyński.

– Gdy zaczynałem w 2006 r., pensja była dwukrotnością minimalnej – wspomina Sylwester Tonderys, przewodniczący Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Socjalnych z siedzibą w Łodzi. – To tak, jakbym dzisiaj brał sześć tysięcy brutto.

Bunty tliły się już w poprzednich latach. Ale teraz jest inaczej. – Mamy lepszą koordynację, jedna branżowa centrala

→ Na miejscu zastaje po kolei: tabliczkę „zakaz spożywania alkoholu i palenia tytoniu”; drzwi wejściowe otwarte, bo bez domofonu; starą windę, w której jest „jakaś rozlana ciecz”, i ostrą woń papierosowego dymu. Dalej: długi, ciemny korytarz, na nim drzwi do mieszkań, ale też do pryszniców wspólnych dla całego piętra.

– Odwiedziłam mamę dwójki dzieci. Starsze mieszka z nią, młodsze zostało jej odebrane – opowiada kobieta. – Rozmawialiśmy przez próg, szczekał pies sąsiada. A to i tak sukces: pani nie rozmawia z pomocą społeczną, bo uważa nas za wrogów.

Walcząca z domową przemocą Anna Chobel, która z uwagi na natłok zajęć nie mogła się ze mną spotkać w Rzeszowie, opowiada mi przez wideokomunikator o jednym z wybranych dni mijającego tygodnia.

O ósmej rano posiedzenie grupy roboczej – dzielnicowy, kurator, przedstawiciel szkoły i pracownik socjalny opracowują plan pomocy rodzinie dotkniętej przemocą.

Punkt drugi: komisariat policji, przesłuchanie. Ale nie w specjalnym pomieszczeniu, tylko przy jednym z wielu stojących na sali biur. – To rozmowa o bardzo intymnych sprawach naszych klientów, więc komfortowo nie jest – zaznacza Chobel. – W dodatku bywa, że przy sąsiednim stoliku jest przesłuchiwany ktoś jeszcze. Trudność polega też na tym, że przesłuchanie dotyczy czegoś, co było np. rok albo dwa lata temu. A podejrzani coraz częściej mają pełnomocników, którzy nas dopytują: „Nie pamięta pani? A dlaczego?”. Kiedyś np. była afera, bo po zdarzeniu napisałam, że sprawca wylał na ofiarę pomidorówkę, a podczas przesłuchania, że rosół.

Okolice jedenastej, Anna Chobel wraca do biura, gdzie czeka wiadomość: pilna interwencja.

– Ktoś zgłosił, że za ścianą jego mieszkania od kilku dni słychać płacz dziecka i wrzaski dorosłych – opowiada. – Jedziemy. Wchodzę do mieszkania z dzielnicowym, a pan gospodarz robi zdjęcia mojej legitymacji, wyciąga telefon, stawia go na statywie i oświadcza, że będzie nagrywał. Robimy wywiad, zbieramy informacje o dziecku, pytamy o lekarza rodzinnego, szczepienia, idę do pokoju dziecięcego. Śladów przemocy nie było,

więc sobie poszliśmy. Ale stres był: traktowali nas jak intruzów, no i to nagrywanie.

Osiem lat po Makowie

Psychika: kolejny, po finansach, wymiar krachu zawodu. Pytam o traumatyczne zdarzenia z terenu.

– Lipiec 2016 r., jestem na zwolnieniu, w ciąży – opowiada Uluszcak-Woźny. – Nagle słyszę w radio, że w Rzeszowie zostało zmasakrowane 6-miesięczne dziecko, i że w wyniku obrażeń zmarło. A za chwilę zdaję sobie sprawę, że ponad miesiąc wcześniej miałam z tym chłopcem kontakt. Byłam tam dwa razy w tygodniu, niczego nie zauważyłam... Formalnie wszystko było okej, ale to zdarzenie wywarło ogromny wpływ na moje życie zawodowe i prywatne.

– 15.29, za minutę kończę pracę – wspomina Chobel. – Dzwoni mama kilkunastoletniego synka, moja podopieczna. Coś się dzieje z jej psychiką: mówi o zbliżających się do niej ścianach. Na zewnątrz mróz. Natychmiast zjawiliśmy się na miejscu, było jasne, że trzeba zabezpieczyć dziecko, tyle że pogotowie nie chciało zabrać kobiety do szpitala. Wreszcie się zgodzili: dziecko poszło tymczasowo do placówki, a ja skończyłam interwencję. Była godz. 22.00.

Najgorsza jest agresja. Wedle przeprowadzonych w 2019 r. ankiet NIK, co trzeci pracownik socjalny doświadcza kilka razy w roku zagrożenia niebezpiecznym narzędziem i niszczenia dokumentów, co czwarty szczucia psem, co piąty popychania, a między 6 a 8 proc. – uderzania, kopania i molestowania seksualnego. Dwie trzecie nie czuje się bezpiecznie w terenie.

Anna Uluszcak-Woźny zapamiętała scenę z czasów, gdy pracowała w Radomiu: – Siedzimy we dwie u klienta. Życzył sobie świadczeń, a gdy sprawy zaczęły iść nie po jego myśli, powiedział, że zaraz sięgnie po siekiere. Faktycznie, leżała pod łóżkiem. Udało się nam wyjść.

Anna Chobel: – Gdy idę do jakiegos mieszkania po raz pierwszy, nigdy nie wiem na pewno, czy wyjdę żywa. Nigdy nie zdejmuję butów. Zawsze siadam blisko drzwi.

Ale i biuro nie jest dla pracownika socjalnego azylem – aż jedna trzecia pytanych przez NIK nie czuje się tam bezpiecznie. Osiem lat temu do GOPS-u w Makowie wtargnął klient

tego ośrodka. Dokonał podpalenia, odcinając drogę ucieczki dwóm pracownikom socjalnym. Zginęły Małgorzata Kowalczyk i Renata Białkowska. – Od tamtej pory wiele razy słyszeliśmy: „Zginiecie jak tamte z Makowa” – relacjonuje Paweł Maczyński.

Do biura Anny Chobel przyszła nie tak dawno kobieta w towarzystwie partnera, podejrzanego o stosowanie przemocy. – On stał za drzwiami, a ona powiedziała, że zaraz tu wpadnie, pobije ją i nas. Na szczęście był akurat na miejscu policjant, więc pan się przestraszył.

– Macie w biurze mityczny przycisk bezpieczeństwa? – pytam Annę Uluszcak-Woźny.

– Mamy. Ale raz, jeszcze w poprzedniej lokalizacji, gdy któraś z koleżanek go przycisnęła, to ochrona dopiero po jakimś czasie zareagowała. I to telefonicznie, z pytaniem, czy wszystko w porządku (*śmiech*). A wesoło nie było: przyszedł do nas pan strasząc, że nas wszystkich pozabija. Pewnie by zdążył.

Psychiczne obciążenia mogliby łagodzić superwizorzy. Tyle że na prawie 20 tysięcy pracowników jest ich... 51. W samym Rzeszowie superwizje były przed 2020 r. Zniknęły wraz z nastaniem pandemii.

– Pracownicy w wielu miejscach już się nawet nie dopominają, choć to ustawowy obowiązek samorządów – mówi Maczyński. – A jak się upomną, to bywa, że słyszą: „Damy superwizję, to nie starczy na pensję”.

Pracownicy muszą więc radzić sobie sami.

– Mąż nie raz mnie prosił, bym zrezygnowała z pracy – mówi Chobel. – Wreszcie kupił mi gaz łzawiący, taki legalny. Noszę go w torebce.

Na podłogę tak, na pensję nie

– Kto jest winny upadkowi tego zawodu: rząd czy samorządy? – pytam Pawła Maczyńskiego.

– Rząd, bo od lat zna nasze zarobki, skalę niezadowolenia i ucieka od pełnej odpowiedzialności. Stworzenie klarowniejszej ścieżki awansu czy podniesienie dodatku terenowego z 250 do 400 zł to działania nieśmiałe, dalece niewystarczające. I robione tylko pod naciskiem.

A samorządy dokładają swoje. – Mówią, że nie mają pieniędzy – kontynuuje Maczyński. – Ale gdy jadę na media, np. do miasta Chełm, to widzę go-

łym okiem, że pieniądze są. Siedzimy, rozmawiamy o tym, że 75 proc. pracowników ośrodka zarabia minimalną krajową, a obok faccji kładą w urzędzie miasta piękną podłogę. Często wytłumaczeniem dla braku podwyżek są kryzysy: covidowy i uchodźczy. Tylko że właśnie w trakcie ich trwania burmistrzowie i prezydenci miast, w których protestują pracownicy socjalni, otrzymali z udziałem radnych najwyższe możliwe podwyżki. Tak było np. w Chełmie, Lublinie, Końskich, Opolu.

– A dobre praktyki?

– Gdańsk zrównał pensje urzędników magistratu i tych z pomocy społecznej, co oznaczało podwyżki o około tysiąc złotych.

Dzień jak co dzień, część II

Pracę przy biurku Anna Uluszczak-Woźny zaczyna zwykle o 11.30. Dzień rozpocznie o godzinę później. Trzeba zadzwonić do domu pomocy społecznej, by jak najszybciej dali miejsce w placówce pani A. Później opis wywiadu środowiskowego – z panią B., bez grosza przy duszy. Panu C. trzeba załatwić orzeczenie o niepełnosprawności.

W międzyczasie telefony, dużo telefonów. Od klientów, z centrali MOPS-u.

– Papierologia jest straszna – mówi Uluszczak-Woźny. – Nawet przy tych dwóch osobach, u których byłem w terenie. Jedno oświadczenie, drugie, trzecie, piąte, siódme. Dwa razy RODO, wniossek. Muszę to wszystko sprawdzić, przypieczętować, dołączyć dokumenty o dochodzie, o sytuacji rodziny. Zaświadczenia, decyzje sądów. Jest 15.30, jadę po dziecko i zawsze wyłączam radio, żeby przez te pół godziny było cicho.

Anna Chobel: – Skończyła się interwencja, było po 13. W biurze musiałam napisać do szkoły, czy zauważyli ślady przemocy. Do sądu, czy nie toczy się przeciw panu, u którego byliśmy, żadna sprawa. Do policji, czy nie było w tym domu wcześniej interwencji. Wszystko na papierze, do koperty...

– Dlaczego nie mailem?

– Takie są zasady. Zresztą mam tylko wewnętrzną pocztę... Jak klient prosi o adres e-mail, podaję ogólny urzędu. Na odpowiedź czekam parę dni, bo urząd musi zadekretować odbiór korespondencji.

„Czy ma Pan/Pani wystarczającą ilość czasu na prowadzenie pracy socjalnej?”

Namawiają na odwyk.
Organizują miejsce w DPS
gasnącym staruszkom.
Ratują dziecko, którym ktoś
godzinę temu rzucił o ścianę.
Walczą z wykluczeniem.
**Troje na czworo zarabia
minimalną krajową.**

– spytały ankieterzy z NIK. Przecząco odpowiedziało 84 proc. Wśród przyczyn takiego stanu rzeczy przygniatająca większość (93,5 proc.) wskazała „nadmiar pracy biurowej”.

Nie pomagają warunki pracy. 14 proc. nie ma swojego komputera. 22 proc. – dostępu do elektronicznych baz z informacjami o klientach. Z kolei tylko 22 proc. potwierdza, że posiada służbowy telefon komórkowy. Rzeszowskich pracowników w tej „elicie” nie ma.

– A samochód służbowy? Choć jeden na biuro? – pytam, trochę naiwnie, Annę Chobel.

– Nie ma. Raz mieliśmy pobitego pana, ofiarę przemocy. Nie chciał szpitala, a patrol odmówił przewiezienia do ośrodka interwencji. No więc my go, zakręawionego, wiozliśmy autobusem do mieszkania. Było mi przed nim wstyd. Mogliśmy mu zaoferować tylko bilet.

– Kupiony za swoje, przypuszczam.

– Dobrze pan przypuszcza.

Od Kuronia do 500 plus

Dr hab. Hubert Kaszyński, socjolog UJ, ale też od lat pracownik socjalny oraz superwizor, opowiada skróconą, subiektywną historię funkcjonowania tej branży w III RP. Pozwala ona zrozumieć jeden z powodów kryzysu.

Pierwsze dziesięć lat tej historii to według krakowskiego badacza entuzjazm napędzany popularnością postaci-symbolu: Jacka Kuronia, który nadał temu zawodowi (i szerzej: pomaganiu) wysoki status. – Czas burzy, naporu, walki o tożsamość. Działą się transformacja, czuliśmy się potrzebni – wspomina Kaszyński.

Dekada kolejna to przejście do profesjonalizacji. I nadanie pracy socjalnej no-

wego wymiaru. – Kuroniową zupełnie zastąpił kontrakt społeczny – mówi Kaszyński. – Otwierano firmy, zakłady aktywizacji. Powstawała aktywna polityka społeczna.

I dekada ostatnia, a jeszcze bardziej ostatnie lata – jazda po równi pochyłej poczucia sensu. Nie tylko z powodu gło-dowych pensji, ale też wypierania aktywnych form pomocy tymi pasywnymi, finansowymi, na czele z 500 plus. – Nie wchodzę w rozważania, który model jest lepszy, chcę tylko powiedzieć, że zmieniony paradygmat musiał się odbić na kondycji pracowników socjalnych – dodaje Kaszyński. – Oczywiście nikt nie powiedział, że skoro mamy transfery, to nie potrzebujemy pracowników socjalnych. Ale dywagacje na temat grup wykluczonych, jak osoby niepełnosprawne czy w kryzysie bezdomności, mogłyby popsuć mit silnego państwa. W tym klimacie musi też spaść znaczenie zajmujących się tymi grupami pracowników. Oraz ich samoocena – mogą się samopiętnować jako „niepotrzebni”.

Paweł Maczyński: – Prowadzę zajęcia z pracy socjalnej na UJ. Drugi rok uzupełniających studiów. Na pytanie, kto planuje pracować w zawodzie, twierdząco odpowiada... jedna osoba. Z kolei wykonujący już tę pracę trzydziesto- i czterdziestolatkowie doszli do granicy i pytają sami siebie: skoro jesteśmy tak traktowani, to może czas przestać karmić głowę ideałami?

Rzeszowskie pracownice socjalne przestać nie zamierzają.

Anna Uluszczak-Woźny: – Jednak lubię tę robotę. I widzę jej sens.

Anna Chobel: – To są momenty, np. gdy wiem, że dzieci są bezpieczne albo ktoś poszedł na terapię. Nawet pan nie wie, jaka to satysfakcja.

Rzeszowscy socjalni chcą m.in. 10 proc. waloryzacji pensji każdego roku. Trwa spór zbiorowy, magistrat na odpowiedź ma czas do 27 czerwca. Jeśli przyjdzie odmowa, będą rokowania i ewentualne mediacje. Na koniec nie da się wykluczyć nawet strajku.

– Nie wiem, co panu powiedziała koleżanka, ale ja jestem na tak – mówi Chobel, gdy pytam o protest. – Zawsze chciałam pomagać, tylko dlatego nigdy nie rzuciłam tej roboty. Inni rezygnują po kilku dniach, my trwamy. Ale ile można tak trwać?

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Zdalna rozprawa sądowa przeciwko Tadeuszowi Rydzykowi. Warszawa, 30 czerwca 2021 r.

Sądy chore na long covid

PIOTR SOŁOWIJ

Pomimo końca pandemii wymiar sprawiedliwości nadal tkwi w czasach zarazy. Rozprawy są niejawne, orzeczenia zapadają w okrojonych składach, a budynki sądów przypominają twierdze. Szybko się to nie zmieni.

GDYBYŚMY MIELI SPOJRZEĆ NA POLSKI wymiar sprawiedliwości jak na pacjenta, to jeszcze przed pandemią koronawirusa dostrzegliśmy szereg niepokojących objawów, świadczących o jego poważnym stanie. System cierpiał na niestabilne i słabej jakości prawo, fatalnie opłacany personel sądowy, a także na niedowład centralnych organów, kluczowych dla porządku prawnego. Trybunał Konstytucyjny i Sąd Najwyższy, zamiast dbać o najwyższe standardy polskiej praworządności, toczyły walkę o przetrwa-

nie i były poddawane eksperymentalnym, a zarazem ekstremalnym terapiom.

Sądy chorują dłużej

Kiedy nadeszła pandemia, a polskie szpitale ugięły się pod ciężarem tysięcy chorych, do sądów wyciągnięto pomocną dłoń. Żeby nie doszło do ich zapaści, musiały się częściowo odizolować od społeczeństwa. Ograniczono dostęp obywateli do budynków, administracja weszła w tryb online, a rozprawy stały się niejawne. Ta sytuacja groziła pogłębieniem

się największej patologii, budzącej frustrację wielu Polaków, czyli jeszcze wolniejszego tempa prowadzenia procesów. Aby temu zapobiec, sądy w szybkim tempie musiały wprowadzić wiele rozwiązań informatycznych. Dla instytucji, w której wciąż królują papierowe akta i która w kwestii cyfryzacji została daleko w tyle za wieloma urzędami państwowymi, było to ogromnym wyzwaniem.

Przepisy wprowadzane stopniowo od marca 2020 r. sprawiły, że podstawą działalności sądów stały się rozprawy zdalne, które pozwalały w bezpieczny sposób prowadzić postępowania w czasie największego zagrożenia epidemicznego. Sędziom umożliwiono też decydowanie, czy proces będzie toczył się jawnie, czy na posiedzeniu zamkniętym, po czym wyeliminowano nawet możliwość składania sprzeciwów wobec takich decyzji. Od tego momentu sądy, w sprawach cywilnych i administracyjnych (rozprawy karne odbywają się zasadniczo według dawnych reguł), powinny w pierwszej kolejności przeprowadzać rozprawy zdalne. Następnie, gdy nie jest to możliwe, skierować

sprawę na posiedzenie niejawne, czyli rozstrzygnąć ją przy biurku, bez udziału stron i publiczności. Przeprowadzenie tradycyjnej rozprawy w budynku sądu jest możliwe jedynie wtedy, gdy sędzia uzna to za konieczne i nie będzie to stanowiło zagrożenia dla niczyjego zdrowia. Decyzja jest podejmowana przez sędziego jedynie na podstawie własnego uznania i nie podlega weryfikacji.

– Proszę też zauważyć, że przepisy covidowe przewidują orzekanie na posiedzeniach niejawnych w składzie jednoosobowym czy też wyłącznie w systemie zdalnym, nie tylko w stanie epidemii i stanie zagrożenia epidemicznego, ale także do roku od ich odwołania – zauważa sędzia Sądu Apelacyjnego w Krakowie Paweł Rygiel.

Obecnie obowiązuje ten drugi stan i nie wiadomo, kiedy zostanie zniesiony. Mamy więc sytuację, w której nie musimy już nigdzie nosić maseczek, ale sądy wydają się tkwić w innej rzeczywistości. I potrwa to jeszcze długo. Zdaniem sędziego Rygla, jeśli rząd odwoła również zagrożenie epidemiczne, nie będzie już dla takiego stanu rzeczy żadnego uzasadnienia – zwłaszcza dla jednoosobowych składów, które zastąpiły w pandemii składy wieloosobowe. Podobnego zdania jest rzecznik praw obywatelskich, który na początku czerwca wystąpił do ministra Zbigniewa Ziobry o zniesienie tych ograniczeń.

Chaos w wersji zdalnej

Nie wszystkie założenia były złe, szczególnie idea przeniesienia dużej części rozpraw do wirtualnej rzeczywistości. – Widzę to zwłaszcza w sądach administracyjnych, których mamy w Polsce kilkanaście. Jeśli ktoś mieszka w małej miejscowości, to wyjazd do miasta wojewódzkiego na, w porywach, 25-minutową rozprawę się nie opłaca, jeśli z sądem można połączyć się zdalnie – tłumaczy warszawski radca prawny dr Bartosz Wilk.

Również sami sędziowie doceniają korzyści z tej formy orzekania. – Niezwykle ułatwia to życie, oszczędza czas, pieniądze i zdrowie uczestnikom postępowania – mówi sędzia Sądu Rejonowego w Gorzowie Wielkopolskim Olimpia Barańska-Małoszek.

Postępem w cyfryzacji wymiaru sprawiedliwości było również wprowadzenie w okresie pandemii elektronicznego doręczania pism sądowych w sprawach

cywilnych radcom prawnym i adwokatom. Digitalizacja korespondencji sądowej pozwala przyspieszyć jej obrót, a to w przyszłości może wpływać na krótszy czas rozpoznania sprawy. Niestety, nie wszystko działa jak należy, na co zwraca uwagę wrocławski adwokat Izabela Antkowiak: – Zdarza się, że życie nie nadąża za regulacjami prawnymi. Dotyczy to także dostosowania sądów do prowadzenia tzw. rozpraw zdalnych. Nierzadko zdarzają się problemy techniczne, nie słychać uczestników postępowania i w najgorszym wypadku rozprawy muszą być z tego względu odwoływane.

Potwierdzają to doświadczenia sędziów. – Nie dalej jak wczoraj rozprawę przeprowadzaliśmy w taki sposób, że pełnomocnik połączył się z sądem ze swojej kancelarii. Widzieliśmy go na ekranie, ale nie słyszeliśmy, więc równocześnie musieliśmy używać telefonu. Nie sprzyja to prawidłowemu przebiegowi rozprawy, jak też nie buduje autorytetu sądu – uważa sędzia Rygiel.

Takie sytuacje wynikają z braku koordynacji we wdrażaniu rozwiązań. Każdy sąd samodzielnie decyduje, w jakim programie będzie prowadził rozprawy zdalne. Sprawilo to, że co sąd, to inne rozwiązanie: Microsoft Teams, Jitsi, Avaya Scopia, Zoom czy Webex Cisco. A to nie jedyne programy, z których korzystają.

– W sądach cały czas prowadzimy akta papierowe, dokumenty tworzymy w programach Sędzia 2 albo Currenda, oprócz tego korzystamy z ReCourt, służącego do nagrywania rozpraw, a do tego jeszcze mamy programy do rozpraw zdalnych. W dodatku te systemy ze sobą nie współpracują. Kiedy na sali mamy czasami po 4-5 ekranów, to trudno skupić się na rzeczach ważnych, gdy trzeba opanować sprawy techniczne – tłumaczy sędzia Barańska-Małoszek.

Jawność istotą praworządności

Dobrze funkcjonujący wymiar sprawiedliwości nie może istnieć bez dwóch fundamentów. Pierwszym jest nieskrępowany dostęp do budynku sądu i jego administracji, a drugim – ważniejszym – możliwość rozstrzygnięcia spornej sprawy w sposób jawny.

Dwa duże białe namioty na stałe wpięły się w krajobraz przed kompleksem krakowskich sądów. Pierwszy z nich prowadzi do biura obsługi. Pod jego sklepieniem znajdziemy automat wydający nu-

merki, budkę, w której siedzi ochroniarz, a także skrzynię, do której wrzuca się dokumenty zaadresowane do sądu. Czekać na swoją kolej, można przysiąc na jednej z kilku ławek. Drugi z namiotów prowadzi do stanowiska, gdzie za osłoną z pleksi siedzi dwoje ochroniarzy. Sprawdzają, czy dana osoba znajduje się na liście upoważnionych do wejścia na teren sądu. Aby zostać wpuszczonym, trzeba mieć powód, choć przed pandemią do sądu bez problemu mógł wejść każdy – wystarczyła rutynowa kontrola bezpieczeństwa. W efekcie korytarze tej instytucji stanowiły ogólnodostępną przestrzeń, skracając dystans między obywatelami a Temidą, publiczność zaś mogła swobodnie obserwować wiele procesów.

Damian Błaszka, student prawa i wolontariusz Fundacji Court Watch Polska, wielokrotnie uczestniczył w rozprawach jako obserwator i widział w praktyce, jak funkcjonują sądy podczas pandemii. – Niedawno oskarżona przyprowadziła do sądu swoją mamę. Nie trzeba już było nosić maseczek, większość obustrzeń została zdjęta. Ale ta pani miała duży problem z wejściem do budynku. Ostatecznie ją wpuszczono, ale na zasadzie: „no dobrze, to pozwolimy, tak w ramach wyjątku” – opisuje zaobserwowaną scenę, w której prawo obywatela zamieniło się w łaskę ochroniarza.

O swoich doświadczeniach w tej materii opowiada też kolejny wolontariusz Fundacji Court Watch Polska, Daniel Wydmuch. Miał okazję odwiedzać sądy w różnych miastach. W Lublińcu i Częstochowie nie było większych trudności z wejściem do ich budynków. Niecodziennej obserwacji dokonał w Opolu.

– Załatwiałem inne sprawy, ale postanowiłem odwiedzić również tamtejszy sąd okręgowy – opowiada. – Okazało się, że oni w ogóle publiczności nie przyjmują. I tyle. Strażnik nawet nie próbował argumentować, że jakaś przepustka jest potrzebna. Stwierdził tylko, że u nich publiczność nie wchodzi, więc „proszę nie przeszkadzać”.

Zasady wejścia do takich budynków określone są w specjalnych zarządzeniach prezesów i dyrektorów sądów. Duża ich część została przez nich zniesiona wraz z likwidacją ogólnokrajowych obustrzeń pandemicznych. Jednak w niektórych sądach zostały utrzymane lub odwołane tylko w pewnym zakresie. Ogranicza to dostęp do rozpraw dla publiczności →

→ (co jest istotą demokratycznego wymiaru sprawiedliwości), nie pozwala też bliskim stronom, by towarzyszyli w sądzie ludziom, dla których uczestnictwo w procesie jest ogromnym stresem. Problem z wejściem mają niekiedy nawet same strony postępowań czy też wezwani świadkowie.

Ale najgorsze jest to, że przepisy covidowe wpłynęły fatalnie na jawność toczących się spraw. W związku z kolejną nowelizacją prawa (w maju 2021 r.), to posiedzenia niejawne – w przypadku niemożności przeprowadzenia rozprawy zdalnej – stały się domyślnym sposobem rozstrzygania postępowań. Mecenas Izabela Antkowiak tłumaczy, jak wyglądało to w praktyce sądów administracyjnych (analogiczne regulacje funkcjonują w sprawach cywilnych, choć są wykorzystywane z mniejszym natężeniem): – Posiedzenie niejawne wiąże się z tym, że strony nie są zawiadamiane o terminie, nie mają możliwości podniesienia nowych okoliczności, przedstawienia aktualnego stanowiska, nie mają bezpośredniej interakcji z sądem, tylko za pomocą pism. Choć teraz już trochę się to zmieniło: sądy zawiadamiają, kiedy odbędzie się posiedzenie niejawne, i coraz częściej informują o możliwości przedstawienia dodatkowego stanowiska na piśmie. Wcześniej, kiedy ta regulacja była świeża, zdarzało się, że sądy administracyjne wysyłając wyrok, zaskakiwały tym strony postępowania.

Sędzia Rygiel z Krakowa zwraca z kolei uwagę na to, jak fundamentalną wartością jest jawność wymiaru sprawiedliwości i jakie rodzaje ryzyka wynikają z jej ograniczania: – Jeżeli mam wydać wyrok na jawnej rozprawie i powiedzieć komuś w oczy, że nie ma racji i przegrywa sprawę, to wymaga ode mnie innego rodzaju namysłu, połączonego czasami ze stresem. Wiąże się to również z koniecznością wytłumaczenia się z podjętej decyzji. To trudniejsze niż niejawny wyrok na podstawie samych akt. W gabinecie będę miał tylko takie refleksje, jakie wynikają z dokumentów. Jeżeli kogoś zobaczę na sali, ten ktoś się odezwie, zadam mu pytanie, to zawsze jest szansa, że dowiem się czegoś więcej – tłumaczy sędzia.

Co trzy głowy, to nie jedna

W pandemii została wprowadzona jeszcze jedna istotna zmiana. Obecnie w sprawach cywilnych w pierwszej i drugiej

Z powodu pandemii w sądach cywilnych wyeliminowano składy trzyosobowe, które gwarantowały odpowiedni namysł przed wyrokiem.

Ograniczały też prawdopodobieństwo sądowej pomyłki.

instancji sąd rozstrzyga spory w składzie jednoosobowym. Wyeliminowano składy wieloosobowe, gdzie trzech sędziów lub sędzia wraz z ławnikami wspólnie decydowali o wyroku.

W uzasadnieniu nowelizacji przepisów, przygotowanej przez Ministerstwo Sprawiedliwości, można przeczytać: „Z tych samych względów konieczne jest również przyjęcie jako zasady rozpoznawania spraw przez sąd w składzie jednego sędziego. Podyktowane jest to oczywiście zagrożeniem epidemiologicznym, jakie stwarzają sobie nawzajem trzy osoby zasiadające wspólnie w składzie sądu. Nie ma bowiem znaczenia, czy w sprawie orzeka jeden czy trzech sędziów. Nie ma obiektywnych i sprawdzalnych danych pozwalających na przyjęcie, że wyrok wydany w składzie jednego sędziego jest mniej sprawiedliwy niż wydany w poszerzonym składzie, czy też, że sprawa została mniej wnikliwie zbadana przez jednego sędziego niż trzech. Pojawiające się w tym zakresie supozycje są głęboko krzywdzące dla sędziów i świadczą jedynie o braku znajomości metodyki pracy sędziego. Oznaczałoby to również swoiste votum nieufności dla wiedzy i umiejętności ciężko pracujących sędziów w sądach pierwszej instancji, którzy *de facto*, mając mniejsze doświadczenie i w założeniu wiedzę niż ich koledzy z wyższej instancji, muszą rozpoznać daną sprawę równie rzetelnie i wnikliwie”.

To pismo jest zadziwiające. Ministerstwo, w ostatnich latach toczące regularne boje ze środowiskiem sędziów, w tym przypadku zadbało o komfort ich pracy. Jednocześnie deprecjonuje podstawową zasadę wymiaru sprawiedliwości, by trudne sprawy rozstrzygać w kilka

osób, korzystając z ich wiedzy i doświadczenia, które pozwalają na odpowiedni namysł i zminimalizowanie prawdopodobieństwa pomyłki.

Sędzia Olimpia Barańska-Małoszek: – To jest poważny problem. Stowarzyszenia sędziowskie podnoszą, że należy wrócić do składów trójkowych przy rozpoznawaniu odwołań, zażaleń, apelacji. Składy jedynkowe powodują utratę zaufania do sądów i rodzą zarzut braku transparentności. Po to właśnie jest druga instancja, złożona z kilku sędziów, by skład kolegielny dawał nam gwarancję sprawiedliwości i wszechstronnego rozpoznania sprawy. Co trzy głowy, to nie jedna. Każdy z sędziów może zwrócić uwagę na inny aspekt, odbywa się dyskusja, głosowanie.

Żeby być sprawiedliwym, trzeba przyznać, że zarówno sędziowie, adwokaci, radcy prawni, jak też sami obywatele dostrzegają również korzyści mogące płynąć z mniejszych składów i ograniczenia jawności. Przede wszystkim chodzi o przyspieszenie rozpatrywania spraw. Czas postępowań od kilku lat wydłużał się bowiem systematycznie.

– Sześć lat temu rozpoznawałem apelacje od wyroku wydanego mniej więcej sześć-osiem miesięcy wcześniej. Dzisiaj z reguły wychodzę na salę, rozpoznając apelację od wyroku wydanego mniej więcej dwa lata temu i trzy miesiące – relacjonuje sędzia Rygiel.

Samo ministerstwo w przytaczanym już uzasadnieniu odwoływało się przede wszystkim właśnie do tego problemu. „W ocenie projektodawcy szybkość postępowania jest również wartością, którą należy się w tym przypadku kierować, w szczególności, że nie wpływa ona negatywnie na prawa strony do rzetelnego rozpoznania sprawy”.

Resort twierdzi, że liczba spraw załatwionych w polskich sądach powolutku wzrasta, czas trwania procesów zaś zaczyna się skracać. Wielu ekspertów podaje w wątpliwość te dane. Ale nawet jeśli są prawdziwe, to czy wszystko odbywa się metodami gwarantującymi polskim obywatelom praworządność?

© PIOTR SOŁOWIJ

Autor jest pracownikiem Fundacji Court Watch Polska, działającej na rzecz jawnego i sprawiedliwego dostępu do wymiaru sprawiedliwości.



JACEK TARAN

Położnik Mikołaj Sokołowski, Kraków, 19 maja 2022 r.

Mikołaj dla najmniejszych dzieci

MAŁGORZATA NOCUIŃ

Postawny mężczyzna stoi przed szafą z dziecięcymi ubrankami. Przegląda stosiki bielizny i pajacyków, które mieszczą się w całości w jego dłoni. Niemożliwe! – pomyślała Monika. Facet-położny?

CÓRKA MONIKI OD KILKU DNI PRZEBYWAŁA na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie. Dziewczynka przyszła na świat jedenaście tygodni przed terminem porodu, ważyła 1080 gramów. Przy inkubatorach krzątały się położne. Podawały dzieciom jedzenie (tym najmniejszym przez sondę, większym butelką), leki. Myły je i przebierały. Mężczyzna także podszedł do inkubatora. Uchylił okienko, włożył dłonie do środka. Sprawnym ruchem zdjął zabrudzone ubranka, pieluszkę. Obmył dziecko mo-

krymi chusteczkami, przewinął. Ubrał w czyste śpioszki. Mikołaj Sokołowski jest jednym z czterdziestu mężczyzn wykonujących w Polsce zawód położnego. Na oddziale towarzyszą mu wyłącznie położne. Mężczyźni są jedynie wśród lekarzy neonatologów, ale też nieliczni.

Muśnięcie

Skrajne wcześniaki (urodzone przed 29. tygodniem ciąży), którymi najczęściej opiekuje się Sokołowski, ważą po przyjściu na świat kilkaset gramów. Mieszczą się na dłoni. Niekiedy rodzą się w zamar-

twicy i otrzymują jeden punkt w skali Apgar, za pojedyncze uderzenia serca. Bywa też, że wymagają natychmiastowej reanimacji, a przez długie tygodnie oddycha za nie respirator. Z takim noworodkiem matka nie może się przywitać. Wziąć na ręce, przytulić. Jego skóra jest cienka jak pergamin. Powieki zamknięte. Kolejne tygodnie rozstrzygną, czy wygra walkę o życie.

– W tych okolicznościach kobieta musi poczuć, że została matką – mówi Sokołowski. – Dlatego zawsze staram się umożliwić jej kontakt z dzieckiem, choćby kilkusekundowy. Podjeżdżam inkubatorem jak najbliżej stołu operacyjnego, bo porody wcześniaków często odbywają się przez cesarskie cięcie. Uchylam boczne okienko. Jeśli tylko mama ma siłę, może musnąć dziecko koniuszkami palców. Albo choć chwilę na nie popatrzeć.

Podczas tych kilku sekund matki zawsze płaczą. Te pierwsze łzy płyną ze wzruszenia. Może nawet ze szczęścia. Przez wiele następnych tygodni będą płakać z bólu, lęku, niepewności...

Noworodek trafia na oddział intensywnej terapii, a matka na salę pooperacyjną. Kolejny raz zobaczy dziecko dopiero po

→ kilkunastu godzinach. Noworodek leży już wtedy w inkubatorze, otoczony kabelkami, rurkami, na dłoniach i głowie ma wkłucia. Aparatura medyczna jest głośnie i wydaje niezrozumiałe dźwięki. Matce wydaje się, że każdy zwiastuje śmierć. Ten widok bywa drastyczny. Matki nie są w stanie zduśnić rozpacz.

Sokołowski: – To jeden z trudniejszych momentów. Muszę poprosić mamę o odejście na bok. „Tu może pani płakać. Proszę też głęboko oddychać. Wyciszamy się. Wyciszamy... Za chwilę po-dejdziemy do inkubatora raz jeszcze”. Nauczyły mnie tego koleżanki-położne. Matka musi opanować emocje, by mogła uczestniczyć w terapii dziecka i być dla niego wsparciem. Noworodki wyczuwają nastrój rodziców.

I dlatego Sokołowski podczas pierwszej rozmowy tłumaczy im znaczenie komunikatów wydawanych przez respirator, pulsoksymetr, pompy aplikujące leki. Opowiada, do czego służą kable i rurki wspomagające funkcje życiowe ich dziecka i umożliwiające podawanie pokarmu. Matki osuwają się z aparaturą medyczną. Powoli przestaje budzić w nich lęk.

Rodzice wcześniaków i chorych (niekiedy paliatywnie) noworodków ze względów bezpieczeństwa nie mogą brać swoich dzieci na ręce, karmić ich. To sprawia, że czują się rodzicami drugiej kategorii. Sokołowski opowiada: – Wymyślamy im wtedy różne zadania. „Córka już podrosła. Może przyniesie jej pani pierwsze ubranko? Przymierzmy je”; „A może będziemy pani synka w inkubatorze okrywać? Proszę kupić bawełnianą pieluszkę” – mówimy.

Rodzice idą potem do sklepu. Wybierają najmniejsze śpioszki, kaftaniki. Te zajęcia pozwalają zapanować nad uporczywymi myślami, wczuć się w rodzicielstwo, być chociaż przez chwilę jak „zwykli” rodzice.

Skóra do skóry

Sokołowski wprowadzał w świat intensywnej terapii Magdalенę, matkę Ani. Przez pierwsze dni mąż woził ją do inkubatora na wózku inwalidzkim, bo rana po cięciu cesarskim nie pozwalała się wyprostować. Kobieta mocno krwawiła i nie mogła opanować lęku.

Magdalena z każdym dniem w towarzystwie położnego Mikołaja lepiej panowała nad emocjami. Przystawała winić się za przedwczesne przyjście Ani na świat.

Poczułam, że ta sesja
zdjęciowa, którą
zapropoNOWAŁ pan Mikołaj,
jest mi potrzebna.

Fotografia Antka stoi na regale w naszym domu.

Jego już nie ma.

„Cóż, jedna na dziesięć ciężarnych rodzi wcześniaka, padło na mnie”. Najtrudniej było jej patrzeć na ważącą ledwie kilogram córkę. Bała się, że dziewczynka odczuwa ból, że się boi – przecież nie wie, gdzie jest, co się z nią dzieje. Obce dźwięki, chwilami bardzo głośnie, nieznane głosy i światło, które nie gaśnie nawet w nocy.

– A może zrobimy pani sesję zdjęciową z Anią? – Kilka dni po porodzie Sokołowski zwraca się do Magdaleny.

– Sesja zdjęciowa? Na oddziale? – Magdalena nie od razu rozumiała jego słowa. Przecież Ania walczy o życie. Jej oddech wspomaga respirator, a z ust wystaje rurka, przymocowana plastrem do kącika ust. W nosie tkwi sonda. A w pępku kilka rurczek zakończonych koreczkami. Najmniejsza pieluszka – w rozmiarze zero – sięga prawie pod szyję.

Sokołowski ustawił fotel do kangurowania wcześniaków (czyli utrzymywania matki i dziecka w bliskim kontakcie) w nasłonecznionym miejscu. Magdalena przyjęła pozycję półleżącą. Zdjęła bluzkę, a dziecko tuliło się skóra do skóry. Położny wyjął Anię z inkubatora, ułożył ją na piersiach mamy. Magdalena się bała. Dopiero co uczyła się dotykać córki, a teraz już trzyma ją na rękach. – Proszę ją przytulić – usłyszała. – Przytulić? Jak? Przecież to kilogramowe dziecko! – Okryć jej ciało dłonią.

Magdalena: – Była taka krucha. Calineczka. Jej skórę pokrywał delikatny meszek. W jednej chwili zaczęłam czuć, że jestem mamą. Że Ania naprawdę żyje! I można jej dotknąć. Można jej zrobić zdjęcie.

Fotografia, zwłaszcza górską, jest pasją Sokołowskiego. Pewnego dnia pomyślał: „Dlaczego nie dokumentować pobytu naszych pacjentów na oddziale?”. Zdjęcie pozwalało przecież rodzicom zobaczyć, jak ich dziecko rośnie, zmienia się, zaczyna uśmiechać – one budują wspo-

mnienia. Tyle że na „intensywnej” o takich rzeczach się nie myśli, a czasem myśli się, że nie wypada zajmować się tak przyziemnymi kwestiami jak fotki dziecka, w czasie gdy ono cierpi. Potem przez lata rodzice żałują braku zdjęć.

Obecność Sokołowskiego pozwoliła Magdalence lepiej radzić sobie ze stresem, ale wychodząc z oddziału młoda matka nie mogła opanować wyrzutów sumienia. Zostawiała dziecko w otoczeniu troskliwych osób, ale to jednak byli obcy ludzie. Bała się, że w każdej chwili może stać się coś złego. W tramwaju wciąż wyciągała komórkę i otwierała folder z sesji zdjęciowej. Przeglądała ujęcie po ujęciu. A w domu kładła telefon na stole i nie odrywała wzroku od córki.

– Na oddziale pokarm odciąga się łątwo. Dziecko jest tuż obok, można na nie spojrzeć, dotknąć. To wycisza – opowiada mama Ani. – W domu wzrasta się lęk, przychodzi kryzys laktacyjny. Za radą Mikołaja przystawiałam więc laktator do piersi, a widok Ani na fotografii mnie koł. Myślałam: „Jutro cię tym mlekiem nakarmię”.

Ładny chłopiec

Syn Kai miał umrzeć zaraz po urodzeniu. Podczas badań prenatalnych zdiagnozowano u niego liczne wady genetyczne. „To kwestia dni” – powiedzieli lekarze, kiedy USG wykazało rozległy wylew krwi do mózgu. Pamięta też słowa oddziałowej psycholożki: „To absolutne zachwianie porządku świata. Pani dziecko urodziło się, by umrzeć”. Ale Antoś nie umierał, tylko jego głowa robiła się coraz większa, bordowo-siną i miękką. Położne mówiły, że Kaja powinna zapamiętać go jako ładnego chłopca – przecież to jej pierwotny syn.

– Może Mikołaj zrobi wam zdjęcia? – zapytała jedna z nich.

„Po co mi to?” – pomyślała Kaja. „Po co mi zdjęcia umierającego dziecka?”. Antek co prawda przeżył wylew, ale lekarze mówili, że zrobił to na przekór medycynie. „Może to ja go przy sobie trzymałam?” – zastanawiała się Kaja. Modliła się, by był z nią jak najdłużej, ale prosiła też Boga, żeby nie cierpiał. – Powoli godziłam się z losem. Poczułam też, że ta sesja zdjęciowa jest mi potrzebna. Fotografia Antka stoi dziś na regale w naszym domu. Jego już nie ma.

Rodzicom umierającego dziecka zapewnia się w szpitalu intymność – in-

kubator otacza parawan, mama i tata mogą trzymać na rękach noworodka. Niedawno Sokołowski zapytał płaczącą mamę, której syn był w stanie krytycznym: „A może poczyta mu pani bajkę?”. Tłumaczył, że chłopczyk będzie czuł, że nie jest sam, że mama jest tuż obok, że jest bezpieczny. Położył noworodka na jej rękach. Kobieta zaczęła czytać. Wyciszyła się. A on powolutku odchodził.

Część rodziców traktuje jak relikwie każdą rzecz, która należała do ich nieżyjącego dziecka. Inni wręcz przeciwnie – nie chcą pamiętać. Wypierają śmierć. Chcą zapomnieć.

Angelika: – Szymon był na świecie zaledwie kilkanaście dni. Uczylałam się go dotykać. Wkładałam dłoń przez okienko inkubatora, kładłam ją na jego nodze, ramieniu i na plecach, kiedy spał na brzuchu.

– Będę zmieniał prześcieradełko w inkubatorze pani synka – zwrócił się do Angeliki Sokołowski. – Może mi pani pomóc? – położny wyjął ważącego niecałe dwa kilogramy Szymka z inkubatora. Oddech chłopca wspomagała maszyna. „Potrzymaj go pani?”. Ułożył na rękach przestraszonej matki dziecko. Angelika zamarała. Płakała. To dziwne, ale dziś mówi, że to jedno z jej najpiękniejszych wspomnień z pobytu na oddziale.

Wcześnieśki często zapadają na retinopatię. To choroba siatkówki, która w skrajnych przypadkach prowadzi do utraty wzroku. Zabiegi, które temu zapobiegają, wykonuje się zaledwie w kilku miastach. Pacjentów przewozi się wtedy nawet kilkaset kilometrów.

Katarzyna: – Stałam na szpitalnym dziedzińcu. Płakałam, aż nie mogłam złapać oddechu. Patrzyłam, jak inkubator z moją córką znika za drzwiami karetki. Bałam się, że podczas drogi coś się stanie. Dominice zatrzyma się serce, a karetka utknie w korku. Wyciszyłam się, kiedy zobaczyłam, że do środka wchodzi pan Mikołaj. „Jest dobrze. Dominika pojedzie z kimś, kogo zna. Będzie bezpieczna”.

Kiedy dzieci jadą na zabieg, matki zostają same albo towarzyszą im mężowie. O nich zazwyczaj niewiele się mówi, ale ojcom niekiedy jest trudniej niż matkom. Mają mniejsze poczucie sprawczości, choćby dlatego, że nie mogą odciągać mleka i nakarmić dziecko.

– Ich lęk przed zrobieniem dziecku krzywdy jest większy – opowiada Sokołowski. – Są silniejsi, więc boją się, że samym dotykaniem wyrządzą krzywdę. Ni-

gdy ich nie pytam: „Czy chce pan zmienić dziecku pieluszkę?”. Zamiast tego mówię: „A teraz będzie pan przewijał dziecko”.

Położny stoi obok. Instruuje: „rozpinamy śpioszki, przytrzymujemy pupę, wyciągamy zabrudzoną pieluszkę”. Na równi z matkami uczy dotykać, przytulać, karmić butelką. Podobnie jest podczas porodu: wspiera nie tylko kobietę, ale i jej partnera. Uczy go, jak towarzyszyć rodzącej, jak sprawić, że będzie odczuwała mniejszy ból.

Ten pan/ta pani

W debacie na temat praw kobiet podnosi się problem fizjologicznych różnic pomiędzy płcią żeńską i męską. Kobiety miesiączkują, zachodzą w ciążę, rodzą dzieci i karmią je piersią. Mężczyzna nigdy nie doświadczy procesów zachodzących w kobiecym organizmie i nie rozumie towarzyszących im uczuć.

Pytam Sokołowskiego, dlaczego został położnym? Jak się okazuje, zaczęło się banalnie: podkładał siostrze lalki i misie. Lubił robić im zastrzyki, operacje. Być może dlatego, że jego dziadkowie byli lekarzami.

Sokołowski przyznaje: „Tak, nie mam macicy i nigdy nie odczuję skurczów porodowych. Nie mam piersi i nie nakarmię nimi dziecka”. Ale w doznania kobiety można się wczuwać. We „wczuwaniu się” pomaga Sokołowskiemu jego druga specjalizacja: ratownictwo medyczne. – Nigdy nie przeszedłem udaru mózgu, wylewu, zawału serca, a jednak umiem udzielić pomocy i towarzyszyć ludziom doświadczającym tych stanów.

Położny prosi koleżanki o pomoc w jednej sytuacji: podczas przystawiania dziecka do piersi matki. – To mnie wciąż krępuje. Zwłaszcza jeśli obok siedzi tata. – Dlaczego? – pytam. – Nie wiem! Myślę jednak, że moje koleżanki, szczególnie ab-

solwentki kursów laktacyjnych, zrobią to na pewno lepiej. Ja potrafię przekazywać techniczną wiedzę na temat pobudzania laktacji, odciągania pokarmu.

Położny lubi opiekować się skrajnymi wcześniakami. Trzeba być wtedy uważnym, skrupulatnym. Obserwować, czy dziecko więcej śpi, czy jest niespokojne. Jeśli parametry na respiratorze zaczynają się zmieniać – może to świadczyć o zbliżającym się kryzysie. Zupełnie innej opieki wymagają dzieci, które już podrosły i trafiły do łóżeczek. One potrafią przekazywać emocje i potrzeby, najczęściej sygnalizują to płaczem. Chcą być też przytulane, noszone.

Nocami to położne (i jeden położny) zastępują im rodziców. Ci ostatni mają tego świadomość. Wiedzą, jak wielka jest rola ludzi ze szpitala, i czasem rodzą się z tego nawet przyjaźnie. Po kilku tygodniach spędzonych przy inkubatorze do rodziców dociera, że ktoś podał im noworodka do potrzymania albo poprosił o jego przewinięcie, i to nie dlatego, że potrzebował pomocy. Chciał ich czymś zająć. Pomóc im zrobić coś więcej, niż tylko spoglądać na dziecko zza plastikowej szyby. Umożliwić im stanie się prawdziwymi rodzicami, których nie paraliżuje lęk.

Te niby banalne i zwykłe czynności sprawiają, że silne obawy matek i ojców zastępuje dojrzała troska i działanie. I dlatego takich troskliwych położnych i położne rodzice pamiętają do końca życia. Przychodzą na oddział z dużymi już dziećmi i mówią do nich: „Zobacz, kiedy nie mogłam/nie mogłem być przy tobie, ta pani/ten pan cię tulił. Kołysali do snu. Zastępowali mnie. To twoi bliscy”.

© MAŁGORZATA NOCŃ

Imiona niektórych bohaterów tekstu i ich dzieci zostały zmienione

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 658/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia zabudowanej nieruchomości gruntowej o pow. 0,0864 ha stanowiącej działkę ewidencyjną numer 4 z obrębu 2-08-07, położonej w Warszawie, dzielnicy Włochy, przy ulicy Koziorożca 11, posiadanej przez Miasto Stołeczne Warszawa Zakład Gospodarowania Nieruchomościami w Dzielnicy Włochy m.st. Warszawy.

Sąd wzywa, aby osoby zainteresowane w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd może orzec zgodnie z wnioskiem posiadacza rzeczy tj. Miasta Stołecznego Warszawy Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami w Dzielnicy Włochy m.st. Warszawy.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście
rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego

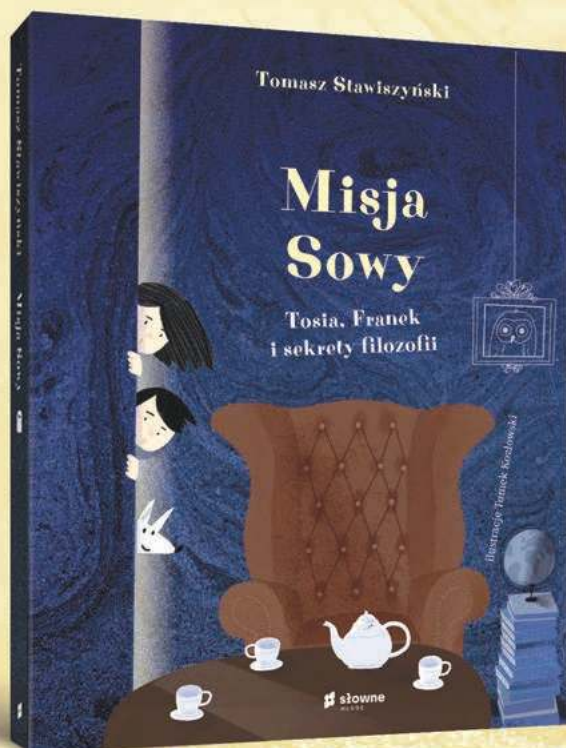


PATRONITE



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA



Przygody, o których się nie śniło nawet filozofom...

Bardzo Dziwny Sklep,
rodzeństwo w tarapatkach,
gadatliwy pies Berti
i pewna mądra Sowa.
Przed wami MISJA,
od której zależą losy świata!
Odważcie się otworzyć książkę?



**Pierwsza książka
dla dzieci
autorstwa filozofa
Tomasza
Stawiszyńskiego**

**słowne
MŁODE**

DOROTA

Masłowska: Śmiech miast



KTOŚ NAPISAŁ NA MOIM FACEBOOKU NIE-nawistny komentarz. Zdarzało mi się to ostatnio na tyle często, że przeglądałam je pobieżnie i hurtem, jednak nad tym jednym zatrzymałam się na chwilę. Autor, chcąc zranić mnie i pognębić, drwił z niewielkiego miasta, z którego pochodzę, szczęśliwie lub nieszczęśliwie, nie wiem, bo nie wybierałam; nie przypominam sobie z życia prenatalnego momentu, by pokazywano mi jakąś mapę, a ja zawiązką paluszka wskazywałabym „tu”. Osoba ta jednak, pragnąc utrafić mnie w samo serce, szydziła ze mnie i mojego miasta najokrutniej. Pochodząc z tego samego regionu, mieszkała w większym mieście, znała więc doskonale sprawę. Nie wahała się obnażyć prawdziwego stanu rzeczy: w tym większym mieście wszyscy się z tego mniejszego miasta ogromnie śmieją. Całymi dniami chodzą, trzymając się za brzuchy, gdy jedni przestają się śmiać, bo już nie mogą, zaczynają śmiać się drudzy, i tak w koło Macieju. Całymi dniami ciągną się te sztafety, maratony śmiechu, całymi dniami śmiejący śmieją się, rozsmakowując się w większym rozmiarze swojego miasta i mniejszym mojego, delektując się tą podległością, zależnością, podrzędnością, służalczym zapażeniem mniejszego w większe, obracając to beznadziejne poddaństwo w największy swój rarytas i słodycz.

Po przeczytaniu tego stosunkowo mało wiłam się z bólu, zaledwie kilka pomniejszych spazmów. Myślałam jednak, że zostały zadane mi ciosy standaryzowane, w których celność autor intuicyjnie ufał, które wyprowadził jako pewniaki. I myślałam, jak ciekawy jest ten tożsamościowy „śmiech miast z innych miast”, najbardziej z tych „niedużych, położonych blisko dużych”, ale też „całkiem dużych, leżących obok bardzo dużych”. Im większe duże miasto, obok którego położone jest to mniejsze, gorsze, tym bardziej nerwowo to śmiech. Jest w nim tak dużo składników, jak w co najmniej

coca-coli i żelkach haribo, i we wszystkim co pyszne, choć niezdrowe. Jest tam irracjonalny lęk przed wsią „słomą z butów” i „psami szczekającymi dupami”. Jest paniczny rechot tych, którym udało się zwiać i jeszcze dyszą, niepewni swego. Jest też poczucie wyższości, jednak takie awaryjne, zapasowe. Gdy naprawdę nie ma już z czego, poczucie potęgi i doniosłości swojego istnienia można w ostateczności zaczerpnąć z rozmiaru otaczającego nas miasta, może ktoś się na nie nabierze.

Myślałam o tym, udając się pociągiem Kolei Mazowieckich z ośrodka dużego do mniejszego. Pociąg mknął przez słoneczne zagajniki, jakiś bobas gaworzył biegle po angielsku, a ja łapałam się na myśli „jak to?”, jego matka jadła chipsy, internet rwał się. Ani się obejrzałam, a już byłam w jakimś świecie zarazem obcym i doskonale sobie znanym jednocześnie. Zalane słońcem rynki i deptaki zdawały się opustoszałe, sennie.

Wśród klombów lśniły świeżo ulane pomniki różnych osób, mające jakby doludnić ulice. Restauracje były jeszcze puste, a z kolei afisze zachwalające chemię z Niemiec – już wypływały. Wiele lokali z szumnymi szyldami było zamkniętych, a inne, czynne, ale zaklejone czarną folią, zanęcały tylko skromnymi bieda-neonkami „24h”. Odpicowane na błysk kamienice jak wymuskane prymuski pyszniły się na tle kamienic-menelek, zeżartych przez czas, nowotwory dobudówek i garażyków. „Zobacz, jaka ty jezdeś zgrabna!” – wykrzyczał mi entuzjastycznie w twarz ogorzały dziadziś, który wyszedł jakby wprost z przeszłości, i złapałam się na zdziwieniu, że mówi po polsku, gdyż od dłuższej chwili tkwiłam w poczuciu zagubienia w miejscu i czasie. Rozchełstane duchologiczne światy obnażały się przede mną jak niespełnieni perwersi, na których nikt nie zwraca tu już uwagi. Było w tej całej niespójności, niezgrabności coś anarchicznego, niedającego się, mimo ewidentnych starań, ujarzmić i sformtować. Psy szczekały do mnie dupami radośnie, ciesząc się, że ktoś podziwia tę ich niezwykłą umiejętność. Diabły krzyczały mi dobranoc i machały, gdy odjeżdżałam.

Pociąg zatrzymuje się. Wychodzę w szklane wieżowce, tłumy ludzi, zachód słońca, smród spalin. Wiem, że wyczerpałam już na dziś pulę niezwykłości i wszystko będzie zwyczajne. No, może hotel Sobieski nadrabia trochę jak skapcianały, przybrudzony tort. Mniejsze miasto będzie błąkać się jeszcze po głowie jak sen, tracić kontury, a potem zupełnie zniknie.

©



Serwisy specjalne: patrz szerzej

OCHRONA ZDROWIA W POLSCE

Czy system da się wyleczyć?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/OCHRONA-ZDROWIA



LICZYŁO SIĘ DZIEŁO, NIE LUDZIE

JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA:

Za patologią ujawnioną w Domu Pomocy Społecznej
w Jordanowie stoi problem systemowy,
który dotyka wielu żeńskich zgromadzeń w Polsce.



ARTUR SPORNIAK: Przychodzi zakonnica do psychoterapeuty Jacka Prusaka i...

JACEK PRUSAK SJ: Pytam, co ją skłoniło do przyścia lub kto ją przysłał, bo te informacje są ważne. Najczęściej zakonnice trafiają do mnie na konsultacje bądź na terapię z powodu problemów związanych z miejscem pracy albo ze współpracą z zakonnicą, a zwykle i z tym, i z tym. Dopiero potem odkrywamy głębsze przyczyny przedstawionych objawów.

A jakie to zwykle objawy?

Cierpienie najczęściej manifestuje się różnymi symptomami lękowymi i obniżonym nastrojem, czyli depresją. Siostry są wyczerpane próbą poradzenia sobie z sytuacją, w której tkwią i z której nie widzą wyjścia, albo przysyłają je przełożone, bo sobie z nimi „nie radzą”. Tu wiele zależy od motywacji samej siostry do pod-

jęcia terapii, a z drugiej strony – od motywacji przełożonej, na ile jest otwarta. Niektóre z przełożonych mają taką fantazję, że przysła siostry, żebym ja je „naprawił” i z powrotem uczynił „trybikiem” w zakonnej „maszynie”. Nie widzą problemu w systemie, który wywołuje te objawy. Z perspektywy terapeuty najlepsza jest sytuacja, kiedy siostra ma motywację do pracy nad sobą, a nie tylko do dopasowania się do dysfunkcyjnego środowiska, zaś przełożona w problemach zakonnicy widzi więcej niż indywidualne uwarunkowania – dostrzega też trudności systemowe.

Te trudności w skrajnym przypadku prowadzą do takich wydarzeń jak w Jordanowie?

Tak. W świecie sióstr zakonnych pięć spraw wygląda inaczej niż w świeckiej rzeczywistości. Gdy patrzymy na Jordanów, widzimy Dom Pomocy Społecznej. Tymczasem siostry, gdy mówią o DPS-ie, nie mówią o instytucji prowadzonej przez samorząd, tylko o dziele religijnym, za które są odpowiedzialne i w ramach którego się uświęcają, spełniając z ich punktu widzenia wolę Pana Boga.

Gdzie tu niebezpieczeństwo?

Bardziej chodzi o inność. To inna wizja tego, jak taki ośrodek ma funkcjonować, dla jakich celów i z jakimi zasobami.

Po drugie – my będziemy pytać o kompetencje sióstr opiekujących się niepełnosprawnymi dziećmi. A siostry będą mówić o charyzmacie do takiego dzieła. Jeśli to dzieło jest wpisane w charyzmat zakonu, to funkcjonuje założenie, że każda zakonnica z tego zgromadzenia się do tego nadaje. Kategorie religijne są ważniejsze od profesjonalnych, co oczywiście nie oznacza, że to się musi wykluczać.

Po trzecie – my myślimy, że osoby pracują w DPS-ie, bo chcą pomagać zawodowo. Tymczasem siostry chcą pomagać, by się poświęcić najuboższym, w których powinny widzieć Jezusa. Nie tyle zatem pomagają, co służą.

Po czwarte – my będziemy pytać o mechanizmy kontroli: kto tu kim zarządza, z jakiego szczebla i z jakimi kompetencjami. Dla zakonnicy ważne będzie, kto tu jest przełożoną, a kto podwładną. Nie będzie pytać o asertywność, tylko o posłuszeństwo. Nie o sprawczość, tylko o uległość. Z tym związana jest ściśle ostatnia kwestia: przemoc we wspólnocie czy

dziele będzie oceniana w kategoriach niesienia krzyża, a nie jako mobbing.

Jeśli potwierdzą się oskarżenia wobec Jordanowa, to wynikać one będą także z tej pięciopunktowej, innej niż świecka perspektywy.

Od początku klasztoru to był odrębny świat, ze swoim odrębnym językiem i patrzeniem na rzeczywistość.

I tak nadal jest. To, że siostry zatrudniają świeckie osoby, nie znaczy, że mówią „świeckim” językiem. Gdy rozmawiają między sobą, mówią językiem religijnym. Widzę to w terapii.

W czym zatem tkwi problem – w istnieniu zakonów?

Nie. Chodzi o to, by osoby zakonne zrozumiały, że nie prowadzą dzieła, tylko instytucję. Jeśli w zakonnym charyzmacie jest pomaganie ubogim, chorym, to zakon będzie prowadził takie dzieła, gdzie ten charyzmat może być realizowany...

Ale do żadnego zakonnego charyzmatu nie należy agresja, wsadzanie dzieci do klatki czy przywiązywanie ich do łóżka.

Oczywiście! Zakonnicy powierzone zostały dzieci wymagające profesjonalnej opieki, ale ona nie radzi sobie. Do czego się odwołuje? Prawdopodobnie do własnych wspomnień z dzieciństwa. Pamięta, jak sama była traktowana. To się teraz zmienia, ale starsze pokolenie zakonnic wywodziło się głównie z rodzin wielodzietnych z terenów wiejskich i małomiasteczkowych, w których wychowywane były, żeby służyć i żeby się nie skarżyć. W ośrodkach takich jak w Jordanowie przebywają dzieci, które nie potrafią same zadbać o swoje potrzeby. Opiekująca się nimi siostra myśli, że jedyne, co jest jej potrzebne, to cierpliwość, bo niczego więcej nie potrzeba, żeby nakarmić, przebrać, umyć, zaprowadzić z jednego miejsca do drugiego i przypilnować, żeby światło było w nocy wyłączone. Do tego nie trzeba – zdaniem niektórych sióstr – żadnej wiedzy. Wystarczy chęć poświęcenia się dla dobra innych.

Z jakiego powodu cierpliwość i dobre chęci się kończą?

Z przestęgi – w przypadku sióstr miejsce pracy jest także miejscem życia. Życie prywatne nie jest oddzielone od pracy. ➔

→ One są w domu, będąc cały czas w pracy. To po pierwsze. A po drugie w miejscach takich jak Jordanów, gdzie podopieczni wymagają stałej opieki, trzeba się liczyć z tzw. wypaleniem zawodowym, zwłaszcza gdy pod opieką są osoby po traumatycznych przeżyciach albo z dużymi upośledzeniami. To całodobowa praca, która zlewa się z życiem zakonnym, od którego nie ma wolnych godzin. Z pewnością będąc u mnie w terapii siostrą, która w podobnym dziele pracowała, mogłem kontaktować się dopiero po 21.30. Od wczesnego rana do późnego wieczora była w pracy.

Co nie sprzyja zdrowiu psychicznemu.

Siostry zakładają, że ponieważ jest to ich powołanie i charyzmat, to Pan Bóg da im nadludzkie siły.

Mamy zatem Avengersów w habitach. Religijne nieliczenie się z ludzką naturą to herezja monofizytyzmu. Ta herezja dotyka żeńskie zakony w Polsce?

To już wiemy od ojca monastycyzmu zachodniego, żyjącego w VI w. św. Benedykta, że ludzie, którzy spędzają całe życie w jednym miejscu, muszą mieć dzień podzielony na różne segmenty. Reguła św. Benedykta wymaga od mnichów 8 godzin pracy, 8 godzin modlitwy i 8 godzin odpoczynku. Zakonnice pracujące we własnych dziełach nie mają takiego komfortu. Ich praca ma być modlitwą, ich modlitwa ma je uzdalniać do pracy, a pracować mają cały dzień, przez siedem dni w tygodniu.

W zdrowej teologii duchowości łaska szanuje naturę („działa na naturze”), uświęcając ją. W chorej – religia zastępuje rzeczywistość.

To wynika z ascetycznego ideału, który nakazuje: masz się spalać! Ślubowałaś nieść krzyż, a nie odpoczywać! Siostry błędnie zakładają, że zadbanie o siebie jest komfortem, nie zaś koniecznym dla dobra ich samych i ich podopiecznych wy-mogiem higieny pracy.

Czyli jeżeli przychodzi do Ciebie przepracowana i znerwicowana siostra, mówisz jej: musicie zmienić rozumienie swojego charyzmatu, najlepiej przy pomocy Reguły św. Benedykta?

To nie jest takie proste. Ja tym siostram nic nie nakazuję. Najwyżej poka-

To okrutny paradoks:
chcąc poświęcić swoje życie
innym, siostry zakonne
weszły w system,
który uczynił je ofiarami,
a próbując sobie z tym radzić,
same stały się oprawcami.

zuję inną perspektywę i razem szukamy rozwiązań. A nie jest to proste, gdy to, co robisz, traktujesz jako swoją tożsamość, która uwiarygodnia cię przed Panem Bogiem.

One mają różną świadomość funkcjonowania tych mechanizmów. Spotkałem zakonnice, które się na ten system zbuntowały albo buntują. Niektóre próbują reform, inne uważają, że żadna reforma się nie uda, ponieważ musiałaby to być reforma zakonu, a nie dzieła. A nikt zakonu w pojedynkę nie zreformuje.

Siostry, które zarządzają dziełami realizującymi zakonną charyzmat, same kiedyś w nich pracowały, ale w innych czasach. I one o obecnych sytuacjach myślą tak, jak w przeszłości: wtedy dawałyśmy sobie radę, teraz wy też dacie.

Rzeczywiście dawały radę?

Były twardsze psychicznie, a ta twardość wynikała z rozumienia posłuszeństwa – że jeśli to mi nakazuje zakon, to tego chce Bóg.

I to działało?

Jeśli umiały znaleźć w tym równowagę. A jeśli nie, to niszczyło je to tak, jak dziś. Dziś siostry nie mają wypracowanych mechanizmów chroniących siebie, nie mają też żadnych strukturalnych mechanizmów ochrony. Sytuacja jest taka: nie radzę sobie, mam depresję i lęki. Przełożona, kiedy się dowie, ma takie oczekiwania: wróć po terapii do pracy, bo jest nas coraz mniej i nie ma mnie kto zastąpić.

Takie postępowanie niesie jeszcze gorsze skutki. Alternatywa jest następująca: jeśli nie pomógł psycholog, to pomoże psychiatra, dając leki. Leki przywrócą zdolność do pracy. Myślenie, że skoro jakaś siostra ma problemy w tym systemie, to może on wymaga naprawy, jest

bardzo rzadkie. Trzeba byłoby się wtedy zmierzyć z porażką zakonu. Z moich doświadczeń wynika, że w tej chwili w takich wspólnotach panuje atmosfera paniki: jest coraz mniej zakonnice i są coraz starsze, a utrata dochodowych dzieł oznacza kłopoty z utrzymaniem. Zaczyna li-czyć się dzieło, a nie ludzie.

Jaka byłaby wizja optymistyczna żeńskiego zakonu?

Nie mam takiego doświadczenia ze współpracy z zakonnice-mi z Polski, ale mam doświadczenie ze Stanów Zjednoczonych. Przez pół roku byłem na stażu w Bostonie w ośrodku pomocy psychologicznej dla emigrantów i ludzi ubogich założonym i prowadzonym przez zakonnice. Wszystkie te siostry były profesjonalnie przygotowane do pracy terapeutycznej. Pracowały w jednym miejscu, a mieszkaly w innym. I widziałem, że dbały o siebie nawzajem. Nie znaczy to, że nie doświadczały problemów. Ale nie generowały ich w sztuczny sposób i nie uciekały przed nimi. I miały do tego zasoby. Słowem, nie funkcjonowały jak w ulu.

W Polsce siostry są wciąż formowane do życia w „ulu”. Jest „królowa matka”, która zakonem rządzi apodyktycznie, a „robotnice” muszą jej bezwzględnie słuchać. To niebezpieczny model, zwłaszcza wtedy, gdy „królowa matka” jest przekonana, że ma bezpośredni kontakt z Panem Bogiem. Wciąż spotkać można sytuację, kiedy siostra pracująca w jednym miejscu dostaje telefon, że ma się przenieść do innego i to bez dyskusji. Nie ma procesu osobistego rozeznawania z nią tej decyzji. Jest tylko zakomunikowanie powziętego już postanowienia, z podtekstem, że taka jest wola Boża. Te siostry nie mają poczucia zakorzenienia w jakimkolwiek dziele, które prowadzą, bo nie wiedzą, gdzie zostaną za chwilę posłane.

Rozumiem, że pełnią „Bożą wolę” bez np. studiów z oligofrenopedagogiki przygotowujących do pracy z dziećmi upośledzonymi?

Nawet jeśli zakonnice są wysyłane na studia, to nie poświęcają się im w pełni, tylko pracują na drugi etat w zakonie. Żadna zakonnica nie jest w stu procentach studentką.

Studenci świeccy też często dorabiają na utrzymanie.

Dorabianie w sytuacji, gdy zarządzasz swoim czasem i sam kreujesz swoją przyszłość, jest czymś innym niż komunikat: my cię potrzebujemy w DPS-ie, masz zrobić studia z pedagogiki specjalnej, oczywiście jednocześnie wypełniając obowiązki zakonne. Od początku w zakonie mówi się, że powołaniem siostr jest służba, a oceną służby dyspozycyjność. Co to oznacza? Między innymi to, że z podopiecznymi jesteś na dobre i na złe, także wtedy, kiedy nie masz do tego siły i nie radzisz sobie. A z drugiej strony nigdzie nie jesteś u siebie, bo zawsze mogą cię przenieść albo zmienić ci pracę.

Pojawia się frustracja, a jako jej skutek agresja, która potęguje poczucie winy, i spirala się nakręca?

Zakonnice nie są uczone radzenia sobie ze złością, bycia asertywnymi. Złość oznacza brak zakonnej cnoty. Jeśli straciłaś cierpliwość przy podopiecznym, biegnij do kaplicy i przeproś Pana Boga. Tobie nie wolno podnieść głosu ani na przełożoną, ani na świeckich współpracowników, a tym bardziej na podwładnego. Złość jest traktowana jako słabość, a jej ujawnienie jako grzech. Tymczasem złość jest normalną reakcją na poczucie krzywdy albo zagrożenia. Zakonnica, tłumiąc złość, tłumi naturalne mechanizmy do obrony samej siebie. Znam zakonnice – wspaniałe kobiety – które nawet w rozmowie ze mną mówią ściszoną głosem. Przez lata formacji zostały nauczone, żeby głos obniżyć, zmodulować tak, żeby był ciepły i miły.

Wyobraź sobie też, że przez lata dzień w dzień opiekujesz się dziećmi i powiedziano ci w zakonie, że nie wolno ci ich przytulać. Bo jeśli przytulasz dziecko, znaczy, że wyszłaś z roli zakonnicy, znaczy, że uruchomiły się w tobie macierzyńskie instynkty, które powinny być umarzone.

Podobno niektórym zakonnicom, kierowanym do Ciebie, przełożone nakazują przychodzić w habitach – nie wolno im zdjąć go nawet w poczekalni u psychoterapeuty.

To jest problem obustronny. Niektóre same nie chcą go zdjąć. Problem jest też po stronie terapeutów – niektórzy nie zgadzają się przyjmować siostry w habitach i mówić do niej inaczej niż „proszę pani”.



GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK jest jezuitą, doktorem psychologii i psychoterapeutą. Kieruje Katedrą Psychopatologii i Psychoprofilaktyki w Instytucie Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie.

A Ty jak postępujesz?

Zostawiam wolność. Nie chcę jedynie, by zwracano się do mnie „proszę ojca”, bo to od razu ustala relację zależności emocjonalnej. Czasem zachęcam, by potrafiły przyjść na terapię bez habitu albo pozwoliły do siebie mówić „proszę pani” – po to, by zobaczyły, że kobiecość i osobowość nie utożsamia się całkowicie i nie zlewa z ich zakonnością.

A nie na tym pomysł zakonów właśnie polega: by stać się nowym człowiekiem – Zefiryńą, a nie Kaśką?

Pytam wtedy: czy Jezus zmienił imię na chrzcie? Jezuiści nie zmieniają imion po złożeniu ślubów zakonnych. Ja nie chcę z tym walczyć, chcę tylko, by siostry miały wolność i przestrzeń w tej wolności do samoidentyfikacji.

Z drugiej strony nie wolno w terapii zmuszać siostry, by zdjęła habit. Zwróciła mi na to uwagę pewna bardzo otwarta siostra-terapeutka, która uczestniczyła w jakimś szkoleniu, podczas którego nakazano jej zdjąć habit. Czuła się wtedy obnażona – habit mocno oddziałuje na osobowość.

Ale chcę podkreślić, że zagrożeniem w takim czy innym DPS-ie nie jest zakonna habit, tylko zakonna mentalność.

Podsumujmy: czym jest zakonna mentalność?

Masz dbać o innych kosztem siebie. Im więcej cię to kosztuje, tym bliżej jesteś Pana Boga. Jeśli się zaczynasz skarżyć, zdradzasz swoje powołanie. Jeśli masz problemy, bo cię ta praca prze-

ciążała, widocznie za mało się modliłaś albo brakuje ci zakonnej gorliwości. Nie skarż się, tylko się zabierz za siebie. Ale nie szukając pomocy, tylko więcej się modląc. Gdy będziesz się gorliwiej modliła, Bóg na pewno rozwiąże twoje problemy.

W takim podejściu natura znika. A gdy nie da się zignorować, trzeba ją zwalczyć. Trzeba umartwiać ciało, żeby wyzwolić nieśmiertelnego ducha. A za wyzwolenie ducha nagrodą jest niebo. Fałszywy ideał ascetyczny, z którego wynika też sakralizacja przemocy – i w stosunku do podwładnych, i w autoagresji. Ujawniają się elementy masochizmu religijnego związane wręcz z manicheizmem.

Jak mnie boli, to dobrze.

W ten sposób się uświęcasz.

W kontekście Jordanowa najpierw bezwzględnie należy współczuć ofiarom. Ale ja współczuję również siostronom, bo one też są ofiarami – systemu. To oczywiście nie usprawiedliwia tego, co robiły. Mamy do czynienia z okrutnym paradoksem: chcąc poświęcić swoje życie innym, weszły w system, który uczynił je ofiarami, a próbując sobie z tym radzić, stają się oprawcami dla bezbronnych im powierzonych.

Jak to przerwać?

Jeśli zakonnice chcą prowadzić instytucje niezwiązane z ewangelizacją, muszą być nie tylko do tego profesjonalnie przygotowane. Powinny też być odpowiednio przygotowane do zarządzania nimi. Czym innym jest profesjonalna opieka nad dziećmi z niepełnosprawnością umysłową, a czym innym profesjonalne zarządzanie takim domem. Nie da się go porównać z zarządzaniem klasztorem.

W czym się zakonność przejawiała w pracy owych dobrze przygotowanych zakonnice amerykańskich, o których wspominałaś?

W tym, że instytucje, które prowadziły, były zgodne z ich charyzmatem i motywacją religijną, ale jednocześnie one dbały zarówno o swoich podopiecznych, jak i o same siebie. Równoważyły życie zawodowe z życiem zakonnym i życiem indywidualnym. Miały czas dla podopiecznych, dla siostr we wspólnocie i dla siebie. Takiej harmonii nie spotkałem w Polsce.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



Procesja Bożego Ciała. Gdańsk, 3 czerwca 2021 r.

Duchowość zabieganych

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Zapracowani nie mają jednej duchowości, tak jak nie mają jej pustelnicy, mnisi czy księża. Istnieją jednak filary, bez których ta duchowość nie może istnieć.

GDAŃSK I KRAKÓW, KRÓTKO POTEM Wrocław i Elbląg, a na koniec Serpelice – tak wyglądał mój kalendarz w ostatnich dziesięciu dniach, a między tymi miejscami radio i podcast, kilka większych tekstów i kilka mniejszych, i jeszcze książka, którą muszę oddać za kilkanaście tygodni, i dodatkowo reko-lekcje dla małżeństw.

Czy to już oznacza, że jestem zabiegany? Czy fakt, że jestem w ruchu, że wciąż się coś wokół mnie zmienia, że nie znoszę siedzieć w jednym miejscu i robić stale jednej rzeczy, jakoś mnie określa? Czy określenie to ma znaczenie w życiu religijnym i duchowym? Czy jest ono tylko przeszkodą (a że bywa, to rzecz pewna), czy stanowi także szansę na specyficzną drogę duchową? Te pytania stanęły przede mną, gdy usłyszałem propozycję napisania tekstu o duchowości zabieganych. Od tamtego mo-

mentu są ze mną pośród różnych zajęć. I nie mogę powiedzieć, bym był bliżej odpowiedzi.

Turysta czy pielgrzym

A wszystko dlatego, że termin „zabiegany” może być rozumiany na tysiące różnych sposobów. Czy zabiegany to to samo, co zajęty, zapracowany, skoncentrowany na celu? Jeśli tak, to niewątpliwie zabiegany był św. Tomasz z Akwinu czy św. Teresa z Ávili. Ten pierwszy nie tylko zmieniał miejsca pobytu i zaangażowania na polecenie władz zakonnych, lecz także dnie i noce poświęcał na pisanie i myślenie. Jean-Pierre Torrell wskazuje, że w ostatnich latach życia Akwinata pisał (a w zasadzie dyktował) 12 i pół strony znormalizowanego wydruku dziennego, i każde z jego dzieł było głęboko przemyślane. Teresa Wielka, choć prowadziła życie mistyczne, także

nieustannie przemieszczała się, spotykała z ludźmi, organizowała nowe ośrodki. I nawet jeśli wziąć poprawkę na fakt, że ówczesne tempo przemieszczania było o wiele mniejsze niż teraz, to można spokojnie powiedzieć, że oboje byli zajęci do granic możliwości (a czasem poza nimi). Czy jednak oznacza to, że byli zabiegani?

Odpowiedź wcale nie jest prosta, ale jeśli gdzieś jej szukać, to jak się zdaje w baumanowskim rozróżnieniu między pielgrzymem, turystą a włóczęgą. Pielgrzym wie, dokąd idzie, ma świadomość jasno określonego celu, zarówno drogi, którą przemierza, jak i własnego życia. Taką świadomość mieli i św. Tomasz, i św. Teresa. Ich zabieganie, zajęcie, wieczne bycie w drodze prowadziło do zbawienia, do zjednoczenia z Bogiem. Tyle że, wskazuje Zygmunt Bauman, współcześnie takie życie wcale nie jest czymś oczywistym.

„Jak można planować swe życie jako pielgrzymkę do celu, jeśli święte przybytki nie mają stałego adresu, jeśli same się po świecie miotają? (...) Jak inwestować w papiery wartościowe w imię odległych tantiem, gdy o wartościach to tylko wie się na pewno, że jeśli nie jutro, to pojutrze zdewaluują się lub roztopią w inflacji?” – pyta Bauman. A to pytanie staje przed wieloma z nas, wieloma ze współczesnych. Zabieganie pomaga uniknąć zmierzania się z nim, postawienia sobie pytania o cel, o sens, o kierunek, a nie-

kiedy staje się, jak w przypadku „turyści”, wyborem lub jak w przypadku „włóczęgi” – życiowym przymusem, który pomaga uporać się z owym brakiem celu, sensu, zakorzenienia.

Można, co zresztą Bauman przyznaje, także dzisiaj zacisnąć zęby i traktować swoje życie jak pielgrzymkę, można odnaleźć autorytet (może to być instytucja, wspólnota czy charyzmatyczny lider), który sprawi, że pozbedziemy się konieczności nieustannego wybierania, że ktoś nada nam kierunek i jeszcze dodatkowo zaofiaruje jednoznaczne wskazówki pozwalające osiągnąć zaplanowany cel... Tyle że wówczas gdzieś po drodze tracimy wolność, i nie jesteśmy już – by pociągnąć dalej metaforę – pielgrzymami, ale dobrowolnymi niewolnikami zakutymi w doktrynę, osobowość i charyzmę lidera.

Religia (bo i ona może być jedną z form takiego zniewolenia) nie jest wówczas uzupełniona o duchowość. Bóg jest szukany nie dla niego samego, ale dla zachowania integralności światopoglądu. To zaś oznacza, by posłużyć się słowami Mistra Eckharta, że nigdy nie znajdziemy Boga. „Wiedz, że jeśli w jakikolwiek sposób szukasz swego, nigdy nie znajdziesz Boga, bo nie szukasz tylko Jego samego” – wskazywał niemiecki mistyk. Ten radykalizm zaś uświadamia, z czym musi się zmagać ktoś, kto wbrew wszystkiemu chce być dziś bardziej pielgrzymem niż turystą, kto chce swoje zabieganie przeżywać jako drogę, a nie jako ucieczkę.

„Sanktuarium czasu”

To ukierunkowanie – ostrożne, bo jesteśmy wszak ludźmi współczesności, nie jesteśmy w stanie wrócić do przeszłości – ku pielgrzymowaniu określa kierunek, w jakim toczyć się ma nasze życie i postępowanie. Aby to było jednak możliwe, konieczny jest czas, a konkretnie znalezienie czasu na to, by wyskoczyć choć na moment z pędu życia. W tradycji żydowskiej, co niesamowicie ukazuje Abraham Joshua Heschel, takim czasem pozostaje szabat. „Ciągła gonitwa albo bycie pędzonym przez zmienne koleje życia to jedno, a czymś innym jest zatrzymanie się i przyjmowanie momentu wieczności. Szabat jest zawieszeniem broni w okrutnej walce o życie” – wskazuje Heschel i dodaje, że jest on „sanktuarium czasu”. I takiego właśnie sanktuarium, w codziennej pogoni, w zabieganiu, potrzeba,

by zachować choćby minimum duchowego ukierunkowania.

Ten czas trzeba sobie wziąć samemu, wyrwać go z pogoni dnia, wygospodarować. Nie ma życia duchowego, nawet w zagonieniu, bez czasu na modlitwę. „Jeśli nie możecie znaleźć pół godziny na modlitwę, nic z was nie będzie, zupełnie nic” – mówił Pierre Goursat, założyciel Wspólnoty Emmanuel. Jak to zrobić? Wpisać sobie ten czas w kalendarz, i to możliwie w terminie psychicznej i fizycznej przytomności. „Dlaczego tylu ludzi się nie modli? – pytał Goursat. Bo zostawiają modlitwę na ostatnią minutę. A wtedy okazuje się, że są zmęczeni, że wpadła im do rąk jakaś gazeta, i cały czas przeciekał przez palce”. Dzisiaj ten przeciekający czas zagospodarowują media społecznościowe (wiem, co mówię, bo sam mam z nimi problem), czy wciąż napływające informacje. Im – jeśli w codziennym zabieganiu ma być prowadzone życie duchowe – także trzeba powiedzieć stop.

Ten czas – a nie jest to proste dla człowieka nastawionego zadaniowo, mającego listę rzeczy, które dziś trzeba zrobić – nie ma być jednak czasem wypełnienia kolejnego zadania (odmówienia modlitw, realizacji postawionych celów), ale czasem milczenia i słuchania. Zatrzymanie się i zdania na Innego, pozwolenia sobie na odpoczynek. Modlitwa Jezusowa, monotonne powtarzanie tych samych słów, sznur modlitewny w rękach, pozwalają zwolnić, zatrzymać się, wsłuchać w siebie i pozwolić przemieniać przez Słowa. Wejście w ciszę rodzi zaś słuchanie. Pierwsze słowo jednej z dwóch najważniejszych modlitw wierzącego żyda brzmi: „Słuchaj”. „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem – Panem jedynym” – te słowa z Pisma Świętego każdy religijny żyd odmawia dwa razy dziennie, rano i wieczorem. I to wezwanie pozostaje kluczem do życia duchowego.

Tyle że nie da się słuchać Boga, nie słuchając człowieka. „Jeśli by ktoś mówił: »Miłuję Boga«, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi” (1 J 4, 19) – wskazuje św. Jan. Kto nie umie słuchać bliźniego, którego widzi i słyszy, nie jest w stanie słuchać Boga, którego nie widzi i nie słyszy. Słuchanie jest także, o czym nie wolno nam zapomnieć, odpowiedzią na Słowo wypowiedziane do nas przez innych. Dopiero gdy w pełni zrozumiemy się,

czym jest owo słowo, czym jest mówienie, możemy pojąć, czym jest słuchanie!

Otwartość na Sens

Emmanuel Levinas – jeden z najwybitniejszych filozofów XX wieku – wskazywał, że „mówić to zbliżać się do bliźniego”, otwierać się na niego. „Otwarcie to polega na ryzykownym odkryciu siebie, na szczerości, na przerywaniu wewnętrzności i porzuceniu wszelkiego schronienia, na wystawieniu się na wstrząs, na podatność na zranienie” – wskazuje Levinas i dodaje: „jeden otwiera się na drugiego tak jak skóra wystawia się na ostrze, które je rani, jak policzek, który nadstawia się na uderzenie” – dodaje. To według takiego klucza musimy czytać słowa Jezusa z Ewangelii św. Mateusza: „A Ja wam powiadam: Każdy, kto się gniewa na swego brata, podlega sądowi. A kto by rzekł swemu bratu: *Raka*, podlega Wysokiej Radzie. A kto by mu rzekł: »Bezbożniku«, podlega karze piekła ogniściego” (Mt 5, 22). Człowiek, mówiąc do nas, komunikując, otwiera się całkowicie na zranienie, to, jak mu odpowiadamy, jest więc aktem otwarcia na otwartość. I tu już dokonuje się przejście od życia modlitewnego do życia codziennego, do duchowości w zabieganiu. Słowo ma znaczenie, ma moc, jest czymś, co buduje lub niszczy.

Słowo/*Logos* wreszcie jest jednym z imion Syna Bożego. „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało” (J 1, 1-3). „Na początku” z Ewangelii Jana powinniśmy zestawzić z „na początku” z Księgi Rodzaju. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię” (Rdz 1, 1). Jedno i drugie odsyła nas do faktu stworzenia, do tego, że świat został stworzony i jest podtrzymywany w istnieniu, że nie jest niezależny, samodzielny, ale pozostaje zależny w samym fakcie swego istnienia od Innego niż on sam. Ewangelia Jana uzupełnia zaś owo na początku informacją o tym, że tym, który był na początku, było właśnie *Logos*/Słowo, w tym konkretnym miejscu odniesione do Osoby Jezusa Chrystusa. Ale ów *Logos*, o którym czytamy w Ewangelii, to nie tylko słowo, ale także Sens, Znaczenie, Rozumność, która przenika świat.

Prolog Ewangelii św. Jana uświadamia nam niezmiennie mocno, że ostatecznie świat jest stworzony, a to oznacza →

→ obdarzony sensem, będący Słowem Boga do człowieka. „»Powołanie do istnienia« i »nadawanie sensu« to nie są dwa różne akty Boga. Istnienie, jakim Bóg obdarza, jest sensem, wartością i urzeczywistnieniem celu. To wszystko jest zawarte w jednym »niech się stanie!«. Taka koncepcja jest zgodna z koncepcją stwarzającego Logosu. Wypowiedziane przez Boga Słowo jest istnieniem, wartością, zamiarem i jego urzeczywistnieniem. W takiej koncepcji stwarzania nie ma elementu czasu: zamiar jest tym samym, co jego urzeczywistnienie, sens tym samym, co jego spełnienie” – zauważa ks. prof. Michał Heller.

Słuchanie Słowa, spotkanie ze Słowem dokonuje się właściwie najpierw w owym poszukiwaniu Sensu, odczytaniu przekraczającego doczesność znaczenia codzienności i rzeczywistości. „To bowiem, co o Bogu można poznać, jawne jest wśród nich, gdyż Bóg im to ujawnił. Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła, tak że nie mogą się wymówić od winy” (Rz 1, 19-20) – pisał św. Paweł w Liście do Rzymian. Świat nas otaczający jest także słowem skierowanym do nas przez Boga. Kontemplacja naturalna jest właśnie wsłuchaniem się w ten świat, w tę rzeczywistość. Uważnością wobec niej, a co za tym idzie – wobec jej Stwórcy. „Droga do Boga otwiera się przez uważność, a nie przez myślenie dyskursywne. Bóg jest, ale Go nie zauważamy” – wskazuje Jezu-

ita Franz Jalics i dodaje, że aby zacząć Go widzieć i słyszeć, musimy się nauczyć żyć w uważności.

„Pozostać w uważności znaczy pozostać w teraźniejszości. W przeszłość i przyszłość przenosimy się przez myśli i życzenia. Co istnieje w danej chwili (»okamgnieniu«) jest teraźniejszością. Przeszłość była i przeszła. Pozostało w niej wspomnienie i oddziaływanie. Przyszłość jeszcze nie przyszła. Być ukierunkowanym na rzeczywistość, oznacza być w obecności, teraźniejszości. Bóg jest dostępny – obecny – w teraźniejszości (...) Ale ponieważ na ogół żyjemy w przeszłości i przyszłości, musimy nauczyć się być w teraźniejszości” – namawia Jalics. Nauczycielką takiej uważności może się stać przyroda. Spacer, obcowanie z nią ma pozostać doświadczaniem, smakowaniem, zauważaniem. Jeśli się tego nauczymy, będziemy umieć choć niekiedy być „w teraz”.

Szukając woli Bożej

Zabieganie, pośpiech, tempo życia, a także wielość obowiązków wymagają nieustannego decydowania, rozeznawania, szukania woli Bożej. To także istotny element duchowości zabieganych. Tyle że wola Boża to nie jest jakiś rebus, który – i to bez podanych zmiennych – trzeba odgadnąć, ale nasze szczęście. Poddanie się Bogu nie jest bezwzględnym posłuszeństwem wobec przełożonych, przewodników duchowych i spowiedników czy dokumentów i doktryn. „Często niewłaściwa teza dotycząca relacji do Boga

wyraża się w przekonaniu, że jeżeli jestem blisko Boga, to nie mam samodzielności, Bóg mi ją odbiera” – wspomina w swojej książeczce „Patologie duchowości” ks. dr Krzysztof Grzywocz.

Z tym obrazem związana jest wizja drogi chrześcijańskiej, jaką Bóg przed nami stawia. „Czasem ludzie myślą, że wola Boga jest spełnienie jakiegoś bardzo ścisłego planu wobec nich. Że trzeba ten plan odkryć i że ta ścieżka nie pozostawia wiele możliwości wyboru. To niebezpieczna teza” – opisuje tę wizję ks. Grzywocz. „Wola Boża” rozumiana jako ściśle określony plan, który mamy rozpoznać i zrealizować, może (zazwyczaj nieświadomie) wyrastać z silnie obecnej w myśli zachodniej koncepcji predestynacji i klasycznie – choć teologicznie niewłaściwie – rozumianej wszechwiedzy Bożej. Jeśli wszystko jest już zdecydowane (nawet w rozumieniu tomistycznym istnieje przecież przeznaczenie do zbawienia), to w istocie jedyną rolą człowieka pozostaje „odczytanie woli”, dostosowanie się do niej. Każda niewierność, odstępstwo, rezygnacja jest ostatecznie odrzuceniem woli Absolutu, zachwianiem porządku i ostatecznie oznacza zaciągnięcie na siebie kary.

Oczywiście – jeśli wziąć pod uwagę całą pozaczasowość Absolutu w myśli klasycznej, a także świadomość, że wszystko znajduje się we władzy Opatrzności – trudno wyciągać tak dalece idące wnioski, ale trudno nie dostrzec, że są one konsekwencją pewnych założeń obecnych w myśli klasycznej. Nie jest bowiem łatwo



Natura przyszłości

całoroczny cykl rozmów Grzegorza Jankowicza

O powszedniej propagandzie. Spotkanie z PETEREM POMERANTSEVEM

- Jakie formy przyjmuje dziś propaganda i jak walczyć z dezinformacją?
- Jakie instrumenty wykorzystuje się do sterowania grupami społecznymi?
- Dlaczego tak często przedkładamy fikcję nad prawdę i ignorujemy fakty?
- Jak działa propaganda rosyjska i jak ją zneutralizować?
- Jak dziś powinniśmy określać granice wolności słowa?



FOT. JAKUB SZAFRAŃSKI

transmisja: czwartek | 30.06 | 19:00 | [f/TygodnikPowszechny](https://www.facebook.com/TygodnikPowszechny)

dofinansowanie



partner strategiczny

allegro

zachować chwiejną równowagę między prawdą o wszechmocy i wszechwiedzy Boga a prawdą o wolności człowieka. Jest to szczególnie trudne, gdy przyjmuje się (a czyni to przecież nie tylko Kalwin, ale także cały szereg myślicieli katolickich, w tym św. Tomasz z Akwinu) wiedzę uprzednią Boga dotyczącą naszego zbawienia (a w niektórych przypadkach także potępienia). Różnica między predestynacją pojedynczą a podwójną z perspektywy jednostki nie jest szczególnie istotna, bo tak się składa, że brak wyboru do zbawienia jest tożsamy z potępieniem.

Droga uniżenia

Jaka może być odpowiedź na ten problem? Możliwe drogi są dwie. Jedną z nich jest cierpliwe wyjaśnianie pozaczasowości wiedzy Boga, natury Jego transcendencji, a także wolności Boga, drugą – droga teologii kenotycznej i uznanie, że stwarzając wolną istotę, jaką jest człowiek, Bóg zdecydował się unieżyć (ograniczyć) własną wszechmoc i wszechwiedzę ze względu na wolność, autonomię człowieka i czasowość człowieka. I dotyczy to nie tylko losu całego świata, ale także jednostki. Jak się wydaje, szczególnie ta ostatnia koncepcja pozwala zachować wizję większej autonomii człowieka, a także postrzegać chrześcijańską drogę jako realizację planu, który nie tylko nie jest z góry określony, ale jest raczej wspólnotą drogi, towarzyszenia, a nie poddaniem Boskiemu planowi.

Nie będę ukrywał, że mnie bliższa jest odpowiedź kenotyczna. Bliższa, bo bardziej biblijna, bliższa historiom bohaterów i Pierwszego, i Nowego Testamentu, bliższa historii mylącego się i błędzącego Abrahama i towarzyszącego mu także w jego błędach Boga. Bliższa historii Dawida i Salomona i wreszcie bliższa wizji Boga, który – jak to ujmuje Paul Evdokimov – kocha nas do szaleństwa i ofiarował swojego Syna, by tylko nas uratować, ale i by towarzyszyć nam w naszym codziennym, zabieganym życiu.

Gdy na jeziorze trwa burza, gdy Apostołowie miotają się w codzienności, Jezus przychodzi do nich po jeziorze i zapewnia: „Odwagi, Ja jestem, nie bójcie się” (Mt 14, 27). To jest istota nadziei na duchowość dla zabieganych.

© TOMASZ TERLIKOWSKI

Katecheza na zakręcie

KAROL KLECZKA

Po ponad trzech dekadach obecności religii w szkole biskupi szykują się na poważne zmiany. Poprzedza je więcej pytań niż odpowiedzi.

PRZYSZŁOŚĆ KATECHEZY STANOWIŁA główny temat ostatniego zebrania plenarnego biskupów, które odbyło się w Zakopanem w dniach 6-7 czerwca. Jak czytamy w komunikacie z obrad, „biskupi podkreślili konieczność ożywienia katechezy parafialnej i ewangelizacyjnej, która daje możliwość doświadczenia wiary, modlitwy i wspólnoty Kościoła”, lecz temat animacji wtajemniczenia w wiarę w parafii nie wziął się znikąd. Konieczność pobudzenia katechezy parafialnej znajduje swoją przyczynę nie tylko w regularnym funkcjonowaniu życia religijnego w najbliższej terytorialnie wspólnotie Kościoła, ale w długofalowej porażce projektu oparcia wychowania w wierze na dwóch szkolnych lekcjach religii w tygodniu.

– Przede wszystkim trzeba sobie uświadomić, że lekcja religii w szkole nie jest w stanie wypełnić funkcji wtajemniczącej katechezy. Wtajemniczenie w wiarę może dokonać się tylko w parafii. To parafia jest wspólnotą, która daje kontakt z Bogiem. Mam na myśli liturgię, sakramenty i modlitwę. To jest ta przestrzeń, w której można budować więź z Jezusem Chrystusem, wchodzić w głęboką z Nim relację, wchodzić w tajemnicę prawdziwego życia z Bogiem – mówi bp Wojciech Osiał, przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego KEP.

Plany dotyczące katechizacji w parafii mają jednak stanowić uzupełnienie, a nie zastępstwo dla szkolnych lekcji religii, ponieważ jak twierdzi bp Osiał, „są to dwie rzeczywistości komplementarne i wzajemnie siebie potrzebujące”.

Kryzys zaufania

Problem w tym, że szkolna katecheza coraz rzadziej pełni powierzone jej zadanie. W ostatnich latach widać wyraźny odpływ uczniów uczestniczą-

cych w tych zajęciach, a to nie jedyny wskaźnik pokazujący poważne załamanie przekazu wiary. Na przestrzeni ostatnich czterech lat liczba uczniów biorących udział w katechezie spadła do 70-85,7 proc. (w zależności od tego, czyje dane przywołamy – świeckiego CBOS-u lub Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego). Sytuacja ta jest szczególnie uderzająca w szkołach średnich. W samych liceach w latach 2018-2021 liczba uczestników zajęć z religii spadła do 69,8 proc., a w Warszawie tylko co trzeci licealista zdecydował się na kontynuowanie edukacji religijnej.

Powyższe dane dotyczą katechizacji, ale jej praktyczne przełożenie widać również w danych na temat uczestnictwa w sakramentach. W relacji po ostatnim zebraniu episkopatu abp Grzegorz Ryś zwrócił uwagę na niepokojąco malejące wskaźniki uczestnictwa w niedzielnej mszy (tzw. *dominantes* i *communicantes*), będące pewną miarą tempa sekularyzacji. Inną taką miarą są decyzje rodziców o chrzcie świętym dzieci, a tych także jest zdecydowanie mniej. W 2020 r. chrztów udzielono o ponad 16 proc. mniej niż w 2019 r. (przy 6-procentowym spadku urodzeń) i jest to kontynuacja tendencji ciągnącej się od ponad pięciu lat.

Przywołuję anonimowe liczby, ponieważ obrazowo ukazują pewne trendy, lecz za nimi kryją się konkretni ludzie podejmujący bardzo poważne decyzje osobiste, przekładające się na postać całej formacji kulturowej pokolenia obecnych 18-30-latków w Polsce. Miarą laicyzacji nie jest liczba sprofanowanych ołtarzy, lecz lokowanie siebie i swoich najbliższych poza Kościołem. Sekularyzacja nie przyjmuje zatem natury zewnętrznej, ale jest wewnętrzzną bolączką Kościoła – przyjęte metody formacyjne zasadzone na szkolnej katechezie, będącej poniekąd



PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS

Rozpoczęcie roku szkolnego w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem. 1 września 2021 r.

→ outsourcingiem odpowiedzialności rodziców i parafii za wychowanie religijne dzieci, okazały się niewystarczające w świetle bieżącej sytuacji.

Wątpić w jej kryzysowy charakter może chyba tylko ktoś, kto przespał ostatnie trzy lata i nie słyszał o skandalach, z jakimi Kościół sobie przez kilka dekad nie radził. W Polsce ma miejsce radykalny społeczny kryzys zaufania wobec Kościoła, zaś ucieczka młodych z katechezy jest wyraźnym symptomem tego problemu. Lekcje religii nie uformowały pokolenia, które potrafiłoby przejść w Kościele przez trudne przemiany i skonfrontować się z bolesnymi faktami na temat przeszłości. Nic więc dziwnego, że obecnie tracąc zasoby wiernych, biskupi decydują się na popchnięcie ewangelizacji na inny kurs.

Ci, którzy odeszli

Episkopat zarysował dwa uzupełniające się rozwiązania. Pierwszym jest opracowanie nowelizacji „Dyrektorium katechetycznego”, czyli podstawy programowej nauczania religii, bo jak się okazuje, polskie wytyczne mają już ponad 20 lat. Bp Osiał w niedawnym wywiadzie dla KAI podkreślał potrzebę sporządzenia nowego dokumentu, podejmującego wątki intensywnych przemian społecznych, w których żywo uczestniczy katechizowana młodzież. Hierarcha nie krył, że ważnymi adresatami dokumentu są ci, którzy na katechezę przestali chodzić, a priorytetem zmian „Dyrektorium” jest odpowiedź na „trudności wiary”, z jakimi mierzą się młodzi ludzie. – Trzeba pamiętać, że uczniowie rezygnują z różnych

powodów z lekcji religii. Na pewno nie można ich rezygnacji w prosty sposób odczytywać jako odrzucenia wiary w Boga. Wśród powodów jest jakiś subiektywny sposób postrzegania wiary, obojętność wobec praktyk religijnych czy możliwość rezygnacji, aby mieć czas wolny, ale również brak akceptacji nauczyciela religii i zasad, które głosi, czy też negatywne postrzeganie Kościoła przez złe postawy ludzi Kościoła – wylicza biskup, dodając, że propozycja zmian w formacji dla takich osób powinna być roztropna i kierowana wrażliwością na różne sytuacje.

Poważna i głęboka zmiana programowa zapewne może w jakimś stopniu wpłynąć na powstrzymanie rezygnacji z lekcji religii, ale trudno powiedzieć, jak miałyby przełożyć się na sytuację tych uczniów, którzy już z katechezą się pożegnali. – Katecheza musi dawać doświadczenie wiary. Ilu uczniów przyjmie zaproszenie? Nie wiem, ale nawet dla kilku warto! – podkreśla z optymizmem bp Osiał.

Szkoły katechistów

Im dedykowane jest drugie planowane rozwiązanie, czyli wdrożenie urzędu katechisty, ogłoszonego w motu proprio „Antiquum ministerium” przez papieża Franciszka. Posługa ta, znana jeszcze z wcześniejszych wieków chrześcijaństwa, jest kontynuowana obecnie w licznych regionach misyjnych. Katechista nie jest katechetą, lecz świeckim, który towarzyszy osobom znajdującym na peryferiach wiary (nie tylko dzieciom, lecz również dorosłym), pomagając im na drodze rozwoju religijnego. Funkcją katechisty jest przekaz wiary i choć papież opisując ją podkreśla,

że to w pierwszej kolejności apostołat, to jednak w perspektywie katechetycznego kryzysu rola ta przyjmuje charakter pomocniczy, a niekiedy pewnie zastępczy wobec rodziców w zakresie odpowiedzialności za religijne formowanie dziecka.

– Są już diecezje, które organizują szkoły dla katechistów: między innymi Katowice, Łódź czy Poznań. Chodzi o to, aby przygotować ludzi, którzy będą pomocą w parafii. Posługa ta będzie się dokonywać na zasadach wolontariatu. Dużo tutaj zależy od zaangażowania się księży proboszczów. To oni powinni zachęcać ludzi i wspierać ich, aby chcieli zostać katechistami – wyjaśnia bp Osiał, jednocześnie deklarując, że kierowana przez niego komisja służy pomocą w organizacji szkół oraz przygotowaniu programów działania.

Biskupi podkreślają wprawdzie, że katecheza przyparafialna w żaden sposób nie ma eliminować lekcji religii, ale takie słowa w świetle odpływu uczęszczających na nie osób brzmią jak życzenie, a biskupie bicie na alarm pobrzmiewa jak podzwonne dla szkolnej katechezy. Biskup Osiał zdaje sobie sprawę z tego procesu, podkreślając w rozmowie, że obecnie trzeba uczynić wszystko, by uczniowie nie żegnali się z lekcjami religii. – Chciałbym bardzo mocno podkreślić potrzebę relacji z uczniami. Tam, gdzie jest relacja, tam jest nauka i formacja. Konieczny jest duch dialogu, rozmowy, słuchania siebie nawzajem, spokojne poszukiwanie prawdy. Nie wolno nikogo przekreślać, ale ewangelicznie słuchać. Ważna jest jakość merytoryczna prowadzonej lekcji. Ważny jest dialog z dzisiejszą kulturą i wszystkim, co ona w sobie niesie – dodaje duchowny, dziękując katechetom, którzy już teraz w ten sposób pracują.

Być może perspektywa długofalowej, oddolnej ewangelizacji opartej na budowie relacji i odpowiadającej na potrzebę radykalnego nawrócenia lepiej zrealizuje się w parafiach. Szkolną klasę w świeckiej instytucji tworzy przypadek oraz alfabet, zaś parafia to miejsce urodzenia, czyli naturalnej przynależności do pierwszej wspólnoty Kościoła. Tylko czy dla młodzieży, która zrezygnowała z lekcji religii, parafia rzeczywiście jest bardziej atrakcyjnym miejscem? Być może w niedalekiej przyszłości Kościół w Polsce będzie musiał pomyśleć także o reformie parafii i, aby spotkać młodzież, np. tworzyć je w przestrzeni wirtualnej.

© KAROL KLECZKA

ZUZANNA

Radzik:

W sieci gangu



NIE JEST DOBRZE, ŻEBY CZŁOWIEK BYŁ SAM, zwłaszcza gdy zajmuje się czymś trudnym. Gdy robiłam wywiady z pierwszym i drugim pokoleniem katolickich feministek, prawdziwej awangardy, bo

zaangażowanych w ruch w latach 70., wszystkie mówiły: „Musisz mieć swój gang!”. Nieważne, czy mówiły to w Chicago, Bombaju czy Buenos Aires. „Miej gang, kolektyw, grupę, z którą raz w tygodniu idziesz na pizzę i piwo, grasz w brydża albo gotujesz i dzielisz się tym, co trudne. Dziewczyno – zdawały się powtarzać każda na swój sposób – nie możesz być sama. To długi marsz, będzie ci trudno i markotno bez towarzystwa”.

Zebrałyśmy się więc siedem lat temu i się kato-feministycznie wspieramy. A to, że co jakiś czas ktoś nas skrzyknie globalnie i spotkamy się – aktywistki z różnych części świata – też daje sporo sił, bo jednak wszystkie internetowe narzędzia nie dają tego samego.

Zresztą o gangach to ja już od lat swoje wiedziałam. Z zapobiegania aktywistycznej samotności powstał u mnie w fundacji wielki program. 10 lat temu zorientowaliśmy się jeżdżąc po Polsce, że spotykamy strażników żydowskiego dziedzictwa w małych miejscowościach, czasem nie bardzo odległych od siebie, ale przekonanych, że są jedynymi na świecie, których to przejmują. Szaleńcami, bo tak patrzono na nich w ich miejscowościach. Skrzyknęliśmy siedemnastkę, którą poznaliśmy w terenie, i do dziś pamiętam, z jakim wzruszeniem mówili: „Okazało się, że nie jestem sam”. Nagraliśmy ich wrażenia i gdy potem godzinami montowałam chałupniczo promocyjny film tego projektu bez budżetu, zostałam z mocnym rytmem słów: „sam”, „sama”, „już miałam się poddać”, „traciłam siły”. Uff, zdążyliśmy. Dekadę później pracujemy z prawie setką.

Dla nas ten wielki zjazd ludzi zajmujących się poprawianiem relacji polsko-żydowskich – dialogiem, dziedzictwem, uczeniem o nim w szkołach – to wielkie święto. Jak

rodzinne spotkanie, a nawet bardziej, bo kto ma rodzinę, w której kilkadziesiąt osób łączy ta sama pasja do czegoś bardzo ważnego i trudnego jednocześnie? W której przez trzy dni można podejść do dowolnej grupy, dosiąść się do każdego stolika i spotkać równie bliskich ludzi? W której nikt nie patrzy krzywo, nie konkuruje, tylko się inspirowuje? W której zamiast zawiści jest wzajemna troska i podziw dla osiągnięć innych? Kiedy jeden z chłopaków mówi, że ma trzy ważne daty w roku: urodziny jednej córki, urodziny drugiej córki i Konferencja Liderów Dialogu, to ścisła mi gardło. Ktoś nazwał te spotkania „moim spa”, ktoś inny mówi, że odlicza dni. A potem widzę pełen zachwytu wzrok nowego uczestnika, gdy po kolei wszyscy się przedstawiają. No święto, mówię wam.

Tak się złożyło, że wszyscy wybrali ten sam czerwcowy weekend – ten bez święta i końca roku szkolnego – by zapobieganie samotności aktywistycznej celebrować. Ze swoimi ludźmi spotykaliśmy się my – Forum Dialogu – ale gdy wracałam w euforii, zobaczyłam, że i szefowa Watchdog Polska też wraca z podobnego wydarzenia i jest podobnie szczęśliwa. W tym samym czasie wpadają mi do telefonu zdjęcia roześmianych twarzy kolegów z Leadership Academy for Poland, które – ale pech – też wtedy miało swój kwartalny zjazd. A gdy siadam po powrocie do komputera, szukając czegoś zupełnie innego, przypadkiem trafiam na odłożony do przeczytania raport Szkoły Liderów o tym, co daje ich członkom właśnie bycie w sieci.

Chciałoby się powiedzieć, że jak już pozakładaliście te komitety, co to je mieliście zakładać, to teraz je sieciujcie. Wielka w tym siła. Sieciujcie, bo świat wypala aktywistów. O tym też mówiła u nas Natalia Sarata, która zabrała się za temat tabu polskich organizacji pozarządowych, czyli właśnie wypalenie. Siedzieliśmy z nią w kręgu: ci, co zdają się nie do zdarcia. Każdy jak czołg, działa od lat, pozornie nie zważając na nic. Weseli, zaangażowani w to, co robimy. I dopytywaliśmy: a czy jak nawalają mi kolana, to ciało ostrzega, że ma dość? A gardło? A kręgosłup? A ona spokojnie tłumaczyła, jak organizm reaguje na długotrwały stres, a co jest symptomem ekstremalnego przemęczenia. Co pomaga.

Powinniśmy się zbroić w taką wiedzę, żeby człowiek nie myślał potem, że jest słaby i to jego wina, że zgasł entuzjazm i nie ma sił. Powinniśmy się tego uczyć w szkole, zanim wyjdziemy w świat, żeby go zmieniać. Zanim ktoś od walki o lepszy świat padnie na twarz. ©



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY

KABARET ROSJA

Od czterech miesięcy Putin prowadzi zbrodniczą wojnę przeciw Ukrainie. Czy przyniesie mu upragnione laury władcy odzyskującego imperium, czy może przyczyni się do jego upadku?

ANNA ŁABUSZEWSKA

WEHIKUŁ CZASU, DO KTÓREGO LUBI wsiadać Putin, zawiózł go ostatnio w czasy XVIII-wiecznej wojny północnej oraz panowania cara Piotra I. Władimir Władimirowicz traktuje historię jak wygodny przyrząd, który można wyginać w każdą stronę, aby jak najlepiej służył bieżącym celom politycznym. Po co mu zatem podróż w czasy cara reformatora? Aby uzasadnić marsz na Ukrainę. Na razie na Ukrainę. Potem wszędzie, gdzie już kiedyś byliśmy – my, państwo rosyjskie i jego zwycięska armia, wyzwoliciele, nosiciele wielkich idei. A potem – kto wie?

Na spotkaniu z młodymi przedsiębiorcami prezydent rzucił snop światła na osiągnięcia XVIII-wiecznej Rosji: „Wojnę północną Piotr Wielki prowadził ze Szwecją przez 21 lat i wydawało się, że coś zabiera. Ale on niczego nie zabiera! On przywraca! Tak! Nam też przypało w udziale przywracanie i umacnianie”.

Piotr Wielki i Władimir Niewielki

Podobnie jak przy poprzednich historycznych „wykładach” Putina, historycy złapali się za głowę i sporządzili długą listę bzdur i nieścisłości w jego wywodzie. Ale nie polemika specjalistów od dawnych dziejów jest tu ważna, lecz komunikat prezydenta dotyczący aktualnej wojny, toczonej przez Rosję w Ukrainie: jej celem jest przyłączenie „należnych” terytoriów do państwa rosyjskiego, a pań-

stwo rosyjskie ma prawo upominać się o ziemie, które kiedykolwiek w przeszłości utraciło.

Młodzi przedsiębiorcy słuchali kremlofskich bajek z nieprzeniknionymi mianami wytresowanych wartowników pod mauzoleum Lenina. Nie zadali żadnych kłopotliwych pytań, nie zajęli się żadnym kontrowersyjnym tematem. Wszystko było dla nich jasne i proste. To postawa, która bardzo odpowiada prezydentowi. Nikt nie kwestionuje jego odkryć, nikt nie podważa zamysłów i celów jego polityki. A przecież nowa sytuacja stwarza takim młodym biznesmenom nowe możliwości – skoro są sankcje, skoro wycofały się zachodnie firmy, to dla rosyjskich przedsiębiorstw nastały złote czasy: mniejsza konkurencja, większe pole do popisu. Takie przesłanie adeptci rosyjskiego biznesu wynieśli z dialogu z władzą.

Spotkanie to było substytutem stałego kremlofskiego rytuału pt. „Bezpośrednia linia z Władimirem Putinem”. W ubiegłych latach każdy mógł zadać prezydentowi pytanie – z setek tysięcy, a nawet milionów, jakie spływały na Kreml, wybierano kilkadziesiąt, a Putin siedział w studiu telewizyjnym i odpowiadał: zarządzał konfliktom, zlecał podwładnym zajęcie się zniszczonymi powodziami wsiami albo obiecywał wysłanie dziecku sukienki i zaproszenia na kremlofską zabawę noworoczną. Można, sprawiedliwy, zatroskany władca.



MIKHAIL SVETLOV / GETTY IMAGES

W tym roku format ograniczono do pytań wyselekcjonowanej młodzieży. Wypadło blado i nieprzekonująco. Podobnie wypadł sam mówca. Gdy wypowiadał cytowane powyżej słowa na temat „zbiegania ziem rosyjskich”, teatralnie podnosił brwi, sztucznie się uśmiechał, filmowo wzruszał ramionami, podkreślał ruchem dłoni ważność swoich słów. W gruncie rzeczy sprawiał wrażenie osoby, która nie tylko nie jest pewna swoich racji, lecz się broni. Język ciała czasem mówi więcej niż słowa.



Dzisiaj takich spotkań Putina z liczną publicznością już nie ma: prezydent Rosji wśród sportowców, wrzesień 2021 r.

Lustrzane odbicie faszyzmu

W kolejnych sondażach rosyjskiego Centrum Lewady na temat sytuacji w Ukrainie zadawano ciekawe pytanie: „Czy tacy ludzie jak Pan/Pani ponoszą moralną odpowiedzialność za śmierć cywilów i zniszczenia w Ukrainie?”. W kwietniu 65 proc. pytanym odpowiedziało: „Zdecydowanie nie”, natomiast w maju takiej odpowiedzi udzieliło 58 proc. Czy ten spadek (niewielki, ale jednak spadek) to już zwiastun szerszej refleksji nad tym, co Putin rozpętał w sąsiednim kraju?

Rosyjskie społeczeństwo wysyła i otrzymuje sprzeczne sygnały. Kremłowska propaganda codziennie dostarcza porcję zakłęb, nie zważając na to, że w jej przekazie coraz więcej jest sprzeczności i niespójności. Już nikt nie pamięta, co kto mówił na początku inwazji, do tej pory uparcie nazywanej „operacją specjalną”.

Po czterech miesiącach do głów wkrada się rutyna. Jak pisze w eseju „Kabaret Rosja” politolog Andriej Kolesnikow, na moskiewskich targach książki

nastąpił zauważalny wzrost zainteresowania czytelników pozycjami z gatunku fantasy, fantastyką naukową i romanсами, co znamionuje chęć ucieczki od rzeczywistości. „Każdy adaptuje się, jak może – pisze Kolesnikow. – Ta część społeczeństwa, którą umownie można byłoby nazwać postępową, w kawiarni, gdzie ceny wzrosły dwukrotnie, prowadzi rozmowy nie o duchowości, lecz udziela sobie praktycznych rad: jak obejść blokadę niezależnych stron internetowych albo jak założyć rachunek ➔

→ w zagranicznym banku, aby móc opłacać zakupy i usługi, których z rosyjskich kont obsłużyć się już nie da”.

„Teraz cała ta postępową Moskwa – piśsze dalej Kolesnikow – pcha się na nowy spektakl reżysera Jewgienija Pisariewa: muzyczny dramat »Kabaret« w modnym Teatrze Narodów. Tak, chodzi o to samo, co znamy z filmu Boba Fosse’a »Kabaret«: to rzecz o Niemcach pogrążających się (...) w nazizmie. Aluzje są czytelne. (...) »Niemcy«, o których mówi ze sceny Konferansjer, to nie Niemcy z roku 1931, lecz Rosja w roku 2022”.

Czy w opowieści o narodzinach niemieckiego faszyzmu sprzed prawie stu lat Rosjanie rozpoznają swoje lustrzane odbicie?

Wielkie błoto

Na początku inwazji Putin wyznaczył linie podziału: dobrzy Rosjanie wspierają jego politykę wobec Ukrainy, a źli Rosjanie, którzy nie wspierają, to piąta kolumna i zdrajcy; dobrzy Rosjanie powinni własnymi rękami pozbyć się złych Rosjan. Machina państwowa została ustawiona tak, aby stłumić protest i zapewnić reżimowi choćby tylko fasadowe poparcie mas. Rosjanie, karmieni propagandową papką, mają się budzić i zasypiać w przekonaniu, że szlachetnie walczą z nazizmem, i że dla tych szczytnych celów warto wszystko poświęcić.

Oficjalne sondaże mówią o 76-procentowym poparciu dla polityki Putina. Po czterech miesiącach od początku inwazji przeważa postawa: przeczekaliśmy pandemię, przeczekamy i to. Tymczasem zdaniem socjologa Grigorija Judina wojnę popiera faktycznie 20-25 proc. społeczeństwa, tyle samo jest przeciw, a pomiędzy nimi jest „wielkie błoto” – ludzie, którzy nie potrafią sformułować swoich poglądów. W społeczeństwach autorytarnych czy totalitarnych przepływ „błota” następuje w stronę zwolenników wojny, przeważa bowiem myślenie: „poprę, bo mogę być kolejnym celem przemocy”. Wiele zależy od tego, jak potoczą się dalsze losy inwazji.

„Dobrzy” i „źli” Rosjanie

Tymczasem w cieniu wojny coraz więcej Rosjan opuszcza swój kraj. Od 24 lutego wyjechało już kilkaset tysięcy ludzi – głównie do Gruzji, Armenii (teraz nadchodzą sygnały, że w tym kraju anty-putinowcy nie są już bezpieczni), Uzbeki-

Czy w opowieści o narodzinach niemieckiego faszyzmu sprzed prawie stu lat Rosjanie rozpoznają swoje lustrzane odbicie?

kistanu i Turcji. Część zdecydowała się potem na powrót, część na pozostanie, a część jeszcze się zastanawia.

W reakcji na ten trend, na kolejnym już zjeździe rosyjskiej emigracji antyputinowskiej (odbył się w Wilnie pod koniec maja) Komitet Antywojenny (Garri Kasparow, Michaił Chodorkowski i inni) wystąpił z ideą przyznawania „paszportów dobrego Rosjanina”. Pomysłodawcy chcieliby wydawać dokumenty tym emigrantom, którzy deklarują się jako krytycy Putina. Paszporty miałyby ułatwić „dobrym Rosjanom” życie za granicą, umożliwić zatrudnienie, zdobycie prawa do legalnego pobytu itd. Idea wywołała emocjonalną dyskusję w mediach społecznościowych. Padały zasadnicze pytania: kto i na jakiej podstawie będzie określać, kto jest dobry, a kto nie jest?

Oliwy do ognia dołał Kasparow, który w jednym z wywiadów stwierdził, że ci, którzy pozostali w Rosji, ponoszą odpowiedzialność za wojnę w Ukrainie. Dyśdent Aleksandr Podrabinek, który pozostał w kraju, napisał w odpowiedzi na Facebooku: „A zatem ci, którzy szczęśliwie uciekli w bezpieczne miejsce, mentalnie oczyścili się ze wszystkich rosyjskich grzechów. A my, którzyśmy tu zostali, grzeszymy, podejmując skromne próby sprzeciwiania się dyktaturze. Wydaje mi się, że znalazłem wyjście: wystawimy sobie paszporty »złych Rosjan«, ale jednocześnie zrobimy jeszcze paszporty »bardzo złych Rosjan« i rozdamy je kremlowskim sługusom, żebyśmy mogli odróżnić się jakoś od tych drani w nadziei, że kiedyś nasza bohaterska emigracja z uznaniem popatrzy nasz opór wobec putinowskiej despotii w rodowym gnieździe”.

Pomysł z wydawaniem „paszportów” przez szeroko pojętą rosyjską inteligencję – i tę w kraju, i tę za granicą – nie został przyjęty. Niemniej problem zorganizowania poszczególnych ludzi czy sił sprzeciwiających się Putinowi pozostaje otwarty.

Opcje okupacji

Wróćmy do imperialnego pomysłu Putina „przywracania” utraconych ongiś terytoriów.

Wobec niepewnej sytuacji na terenach Ukrainy wziętych pod okupację, na Kremlu ciągle nie zapadły decyzje, co dalej z Donbasem oraz z podbitymi fragmentami obwodów zaporoskiego i chersońskiego. Niepewność związana jest zarówno z zapowiedziami Kijowa, że Ukraina odbije swoje zagarnięte ziemie, jak też z postawą miejscowej ludności, która nie garnie się do współpracy z okupantem.

Wielokrotnie padały zapowiedzi przeprowadzenia referendum na zajętych obszarach – mieszkańcy mieliby się wypowiedzieć w sprawie utworzenia nowych bytów parapaństwowych na podobieństwo Donieckiej Republiki Ludowej (to pierwsza pojawiająca się opcja), złączenia się z marionetkowymi donbaskimi republikami w jakiś jeden nowy byt (opcja druga) albo też na temat przyłączenia całości do Federacji Rosyjskiej (trzecia rozważana opcja). Ale na razie to tylko plany.

Gauleiter Donbasu

Za realizację „donieckiego projektu” ma odpowiadać, jak ćwierkają kremlowskie wróble, Siergiej Kirijenko. To ciekawa postać, która na scenie politycznej funkcjonuje od połowy lat 90. W epoce schyłkowego Jelcyna był przez chwilę premierem i – ze względu na młody wiek i zaskoczenie, jakie wywołała ta nominacja – nazywano go „Kinder niespodzianką”. Później pełnił mniej eksponowane funkcje, na początku lat dwutysięcznych miał epizod zaangażowania w partię Sojusz Sił Prawicowych (gdzie był współpracownikiem Borysa Niemcowa, opozycjonisty zabitego pod murami Kremla w 2015 r.), potem kierował korporacją Rosatom, a w 2016 r. zajął stanowisko zastępcy szefa prezydenckiej kancelarii. Zgłaszał liczne inicjatywy polegające na zaciskaniu pętli kontroli nad niepożądanymi z punktu widzenia Kremla „elementami”. Wykoszone już wcześniej poletko opozycji Kirijenko wygolił do samej ziemi. Z demokracji, jakim mienił się na początku kariery, nie zostało nic.

I oto teraz Kirijenko ponownie staje przed szansą zaistnienia w putinowskim establishmentie. Pozbył się konkurenta – Dmitrija Kozaka, starego druha Putina, który przez wiele lat odpowiadał za negocjacje z Ukrainą w sprawie Donbasu.

Pojechał do Chersonia i Mariupola, by zaznaczyć, że to miasta już nienależące do Ukrainy, i pokazać, że to on „zarządza okupacją”.

Częścią projektu Kirijenki jest ustanowienie patronatu rosyjskich wielkich miast nad programami odbudowy zniszczonych ośrodków miejskich na terenach zajętych przez armię rosyjską (np. Petersburg ma odbudowywać Mariupol). Po wojnie ma się ponoć zająć budowaniem „nowego wizerunku Rosji”. Niedługo do brotliwy liberał „Kinder niespodzianka”, teraz stał się gauleiterem podbitej części Donbasu.

Tylko czy kariera Kirijenki jest pewna? Nie jest to przesądzone. 12 czerwca, w Dzień Rosji, na stronie internetowej gazety „Izwestia” ukazał się tekst podpisany jego nazwiskiem. Kirijenko pisał, że „cała Rosja będzie odbudowywać Donbas, zniszczony przez faszystów, na ten cel z rosyjskiego budżetu popłyną miliony, stanie się tak nawet za cenę obniżenia poziomu życia w kraju”. Nazajutrz tekst zniknął ze strony gazety. Redakcja wyjaśniła, że pojawienie się artykułu było wynikiem ataku hakerskiego. Ale w takim razie kto napisał tekst tak wiernie oddający sposób myślenia Kirijenki? Za murami Kremla trwa intensywna walka o wpływy, każde potknięcie ważnego członka kamaryli cieszy członków druzyny przeciwnej.

Zdrowie Putina

Zza tych murów – czasem w wyniku walk frakcyjnych, a czasem z inicjatywy urzędników – co rusz wydobywają się różne spekulacje dotyczące zdrowia pierwszej osoby w państwie.

Temat domniemanych dolegliwości Putina wraca jak bumerang od da-

wien dawna, przy każdej jego dłuższej nieobecności w przestrzeni publicznej. Wojna uczyniła ten temat jeszcze bardziej frapującym. Na początku kwietnia grupa dziennikarzy śledczych opublikowała raport o stanie zdrowia prezydenta, oparty na analizie obecności lekarzy różnych specjalności w trakcie jego podróży i pobyków w Soczi. Autorzy wskazują, że na skutek kontuzji odniesionej przy upadku z konia Putin cierpi na bóle kręgosłupa, a częste wizyty chirurga onkologa mają świadczyć o poważnych problemach z tarczycą.

Kilka dni temu przez media społecznościowe ponownie przetoczyła się sensacja o rzekomo tragicznym stanie zdrowia Putina: po nieudanej operacji miał on wpaść w śpiączkę. Z komunikatem rozwijającym wątpliwości wystąpił „wierny piechur” Ramzan Kadyrow: nie, Putin nie wpał w śpiączkę, ma bardzo dźwięczny głos, nikt nie szuka mu zastępcy, sam Putin gotowy do walki!

O paranoicznej obawie Putina przed ujawnianiem czegokolwiek na swój temat napisano już sążniste rozprawy. W czerwcowym numerze „Paris Match” ukazał się materiał o tym, że funkcjonariusze Federalnej Służby Ochrony (odpowiada za bezpieczeństwo najważniejszych urzędników) wożą za Putinem specjalną biotoaletę, gdzie prezydent załatwia potrzeby fizjologiczne. Materiał biologiczny jest pilnie strzeżony – gdyby wpał w ręce wrogów Rosji, mogliby oni na podstawie analiz dowiedzieć się, co dolega Putinowi. A na to nie może być prezydenckiej zgody.

Temat ochraniania ekskrementów głowy państwa jest nienowym – już kilka lat temu, gdy Putin jeździł czasem po świecie, zwrócono uwagę, że do łazienki wcho-

dzi wraz z nim zastęp ochroniarzy, którzy niosą nie tylko walizkę atomową, lecz jeszcze inne pojemniki. Teraz publikacja „Paris Match” zbiega się w czasie z wystąpieniem Putina o Piotrze I oraz zamiarze „zbierania ziem”. Na kpiarskie komentarze nie trzeba było długo czekać: „Putin zbiera nie tylko ziemie, ale i fekalia”.

Moskwa nie wierzy łom

W Moskwie tylko z rzadka można dziś natrafić na wojenną symbolikę z literą „Z” i hasłami wzywającymi do walki. Natomiast prowincjonalne miasta – w pobliżu granicy z Ukrainą – są gęsto udekorowane „zetkami” w czarno-pomarańczowych barwach wstęgi św. Jerzego.

Na front trafiają w głównej mierze młodzi mężczyźni z rejonów dalekich od stolicy, z miejsc biednych, depresyjnych. Dla nich życie Moskwy, pełnej światła i możliwości, to niedościgłe marzenie. Podpisanie kontraktu z armią to często jedyna szansa wyrwania się z zakłętą kręgu prowincjonalnej niemożności. Socjolodzy przypuszczają, że w razie (ewentualnego) ogłoszenia powszechnej mobilizacji zamożni mieszkańcy Moskwy (i w drugiej kolejności Petersburga) będą starali się od tego wykupić lub wymigać wszelkimi innymi sposobami.

Na początku piątego miesiąca „operacji specjalnej” w Moskwie nie rozmawia się o wojnie – podobno nawet taksówkarze przestali o niej mówić. Kawiarnie pełne są ludzi. Moskwa nie wierzy łom ukraińskich dzieci i wdów. Żyje własnym życiem, zasobnym, beztróskim, wygłansowanym. „Wziąć drugą latkę?”. „Nie, trochę za drogo”. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Tekst ukończono 16 czerwca.

SERWIS SPECJALNY ATAK NA UKRAINĘ

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie i poza nim.

Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podcasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. PAWEŁ PIENIAŻEK

Zła passa

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Podróże izraelskich uczniów do Polski szlakiem Zagłady nie wrócą po covidowej przerwie. Dyskusje na temat ich charakteru i sensowności trwają w Izraelu od lat.

JESZCZE NIEDAWNO WYDAWAŁO SIĘ, ŻE sprawy mogą potoczyć się inaczej.

Kilka tygodni temu debatę wokół wznowienia szkolnych wycieczek, po dwuletniej przerwie pandemicznej, zorganizowała jerozolimska szkoła średnia działająca przy Uniwersytecie Hebrajskim. Jej dyrektor Erez Hacker podjął wcześniej decyzję o zaprzestaniu wysyłania uczniów do Polski. Argumentował m.in., że wycieczki nie pozwalają zwrócić uwagi uczniów na bogactwo życia żydowskiego w przedwojennej Polsce. W dyskusji analizowano za i przeciw takich wyjazdów. Prof. Hanna Yablonka z Uniwersytetu Ben Guriona poparła pomysł ich zakończenia, twierdząc, że edukację wokół Holokaustu można równie dobrze prowadzić w Izraelu. Z kolei przewodnik Uri Meiselman twierdził, że wyjazdy powinny się odbywać, lecz należy zweryfikować ich przesłanie.

PIERWSZE WYCIECZKI wróciły w marcu, a w lipcu-sierpniu do Polski miało przyjechać 14 tys. uczniów. W kolejnym roku szkolnym planowano wizyty 40 tys. młodych Izraelczyków. Na ich powrót czekano też w Polsce – korzysta na tym polska branża turystyczna.

Dziennik „Haaretz” cytował niedawno list ministerstwa edukacji, wysłany do szkół. Można w nim przeczytać, że wycieczki „uczą historii okrucieństw, które wydarzyły się podczas ciemnej ery w historii żydowskiego narodu”. „Haaretz” komentował to tak: „Brak jakiegokolwiek wspomnienia o uniwersalnych aspektach tej historii nie jest przypadkowy. Wizyty w obozach Zagłady pełnią ważną rolę w podsycaniu egzystencjalnych lęków Izraelczyków”.



Młodzież z Izraela na terenie obozu koncentracyjnego Auschwitz.
Oświęcim, 25 lutego 2020 r.

Tymczasem wygląda na to, że cała ta debata jest chwilowo bezprzedmiotowa: w ubiegłym tygodniu szef MSZ Jair Lapid poinformował, że Izrael zaprzestanie wysyłania uczniów, i że powodem ma być polska próba ingerencji w treść wycieczek. Na czym miała ona polegać? Po wyjściu z pandemicznych obostrzeń Polska zapewniła Izrael o gotowości przywrócenia wycieczek, zaznaczając, że dotychczasowa formuła współpracy wymaga zmian. Warszawa uważa, że izraelska młodzież wraca z tych wyjazdów z negatywnymi odczuciami wobec Polski, nie zapoznaje się z szerszym kontekstem relacji polsko-żydowskich i jest izolowana od kontaktów z polskimi rówieśnikami. Zastrzeżenie Warszawy budziła też obecność uzbrojonych izraelskich agentów – co wzbudzało przekonanie uczniów, iż Polska to miejsce niebezpieczne.

TO KOLEJNA ODSŁONA trwającego od lat sporu między Warszawą i Jerozolimą, dotyczącego w gruncie rzeczy jednej i tej samej kwestii: percepcji historii Zagłady oraz II wojny światowej. Każda z tych odsłon charakteryzuje się brakiem chęci zrozumienia motywacji drugiej strony. Przykład: w obecnej sytuacji strona izraelska nie próbuje nawet zrozumieć, jak uciążliwe są uzbrojone wycieczki dla

mieszkańców krakowskiego Kazimierza czy warszawskiego Muranowa, i że broń na ulicach Europy to widok budzący lęk. Z kolei strona polska bierze to personalnie: w końcu ochrona jest przydzielana wycieczkom nie z obawy przed Polakami, lecz atakiem terrorystycznym. Aktualny „lęk egzystencjalny” dotyczy zwłaszcza Hezbollahu i Iranu, a obowiązek przydzielania ochrony krajowym delegacjom – niezależnie, dokąd jadą – jest zapisany w ustawach.

To jednak nie koniec nieporozumień na tym polu.

GIL FARAN jest szefem izraelskiego stowarzyszenia przewodników prowadzących grupy w Polsce. To niezależna instytucja zajmująca się ich szkoleniem i pilnowaniem statusu zatrudnienia. Udział w niej jest dobrowolny, a zarejestrowanych w niej jest dziś 418 osób z ok. 500 wszystkich przewodników, którzy mają uprawnienia do wożenia grup do Polski.

Znam Gila od lat, regularnie spotykam go na wydarzeniach organizowanych przez telawiński Instytut Polski i ambasadę. Polskie instytucje nieraz organizowały szkolenia dla jego organizacji, a jej członkowie brali w nich licznie udział. Trudno o osobę bardziej zainteresowaną dialogiem z Polską.

Zarzutami polskiego MSZ Gil czuje się niemal osobiście urażony. – Jesteś pierwszą dziennikarką, która słucha przewodników. W dyskusji medialnej słyszący tylko urzędników i polityków. Nikt nie pyta nas, co robimy podczas tych wycieczek! – złości się Gil.

Co więc robisz? – Zaczynamy od przygotowania grupy jeszcze w Izraelu. Omawiana jest historia Holokaustu, historie rodzinne uczniów, bo wielu ma korzenie w miejscach, które odwiedzimy. Potem jedziemy do Polski i przez tydzień pokazujemy, jak skomplikowany jest obraz tego okresu historycznego. Czytamy, że polskiemu MSZ nie podoba się, iż mówimy tylko o Holokauście. To nieporozumienie! Prócz tego, że odwiedzamy obozy, jeździmy też do Krakowa, Lublina, Tykocina i innych miejsc, gdzie odwiedzamy synagogi, pomniki, odnowione cmentarze. Mówimy o życiu Żydów w Polsce przed wojną. Podkreślamy, że nasza obecność w tych miejscach jest możliwa dzięki polskim aktywistom, którzy dbają o te zabytki i pamięć o Żydach ze swoich miasteczek. Spotykamy się z nimi, to wspinali ludzie.

– Niektóre szkoły włączają do programu spotkania z polskimi uczniami i rozmowy o wspólnej historii – opowiada Gil. – Często słyszałem od uczniów: ten wyjazd zmienił mój obraz Polski, otworzyłeś nasze oczy na Polaków. To samo słyszę od innych przewodników. Tymczasem od paru dni czytam w wypowiedziach polskich oficjeli, że młodzi Izraelczycy wyjeżdżają z nienawiścią w sercu. Na czym oparta jest ta opinia? Czy ktoś z tymi dziećmi rozmawiał? Jasne, trudno każdemu zajrzeć w duszę i sprawdzić, czy przypadkiem nie nienawidzi. Ale jak można tak mówić, nie mając twardych danych? – denerwuje się Gil.

PYTAM O AGENDĘ wycieczek. I czy przewodnicy są zobowiązani do mówienia o „polskim współudziale” w Zagładzie? Gil śmieje się z tego i podkreśla, że politycy przejął muskuły, a ostatecznie to przewodnicy odpowiadają za to, co padnie na wycieczkach.

– Otrzymujemy z ministerstwa ogólny proponowany program, ale ostateczny jego kształt zależy od nas. Mamy wolność mówienia tego, co uważamy za słuszne, oczywiście przy zachowaniu wierności faktom historycznym. Ministerstwo nas

nie hamuje. Paradoksalnie dopiero teraz, czytając polskie wypowiedzi z oczekiwaniami tego, co mamy mówić, czuję po raz pierwszy jakiś powiew cenzury – twierdzi Gil.

– Gdy jesteśmy w Polsce, prezentujemy skomplikowany obraz tego okresu i samego Holokaustu. Mówimy o polskim cierpieniu. O sześciu milionach polskich obywateli: trzech milionach Polaków i trzech milionach polskich Żydów. Gdy jadę z grupą na starówkę do Warszawy, zatrzymuję się przy Pomniku Powstania Warszawskiego. W Auschwitz mówimy oczywiście głównie o żydowskich ofiarach, ale też o polskich. Opowiadamy o Markowej, o zagrożeniu życia, o polskich Sprawiedliwych ratujących żydowskie istnienia. Owszem, wspominamy też o wyjątkach: kolaborantach i mordercach. Ucząc jednocześnie, że obraz wojny jest skomplikowany, a historia nie jest czarno-biała. Zawsze jednak i ponad wszystko trzymamy się historycznych faktów – podkreśla Gil.

– Zapraszam polskich urzędników i polityków: dołączcie do mojej grupy na całą siedmiodniową wycieczkę. Zobaczcie pełny obraz tego, co robimy – mówi przewodnik. Uważa, że delegacje powinny być kontynuowane, z wszelkimi niezbędnymi obustronnymi zmianami. Ale też prosi, by wyraźnie oddzielać reakcje ludzi od reakcji polityków, bo w jego ocenie to dwa różne światy. Problem w tym, że polityczne napięcia między Polską i Izraelem od kilku lat negatywnie wpływają na wiele różnych inicjatyw, które mozolnie budują dialog i wpływają na pozytywny wizerunek Polski w Izraelu. Z tego względu oczekiwania Gila są raczej płonne.

W IZRAELU temat nie jest nowy: dyskusja wokół zasadności szkolnych wyjazdów do Polski toczy się od lat, a coraz więcej rodziców rezygnuje z wysyłania na nie swoich dzieci.

Zeev Degani jest dyrektorem prestiżowego Gimnazjum Herclija w Tel Awiwie. Organizowania delegacji zaprzestał jako jeden z pierwszych już 12 lat temu. Z ironią mówi o tych, którzy „obudzili się dopiero teraz”. Twierdzi, że wycieczki szkoda uczniom, rozwijając w nich fałszywe przekonania o rzeczywistości, w której żyją, przede wszystkim tej bliskowschodniej.

– Są nacjonalistyczne w treści, nie uczą istoty sprawy, jeździ się tam z dziećmi, by przygotować je do wojska, aby potem dobrze służyły krajowi – twierdzi Degani. – Gdy zapytać uczniów, dlaczego jadą do Polski, ich odpowiedzią nie będzie, że chcą się nauczyć czegoś o historii, lecz bardziej po to, żeby być ze znajomymi.

– Sprzeciwiam się temu, aby używano Holokaustu do wzmacniania izraelskiego nacjonalizmu – mówi Degani. Zdaje sobie sprawę, że jego poglądy mogą być uznane za skrajne, i że jest w mniejszości. Ciekawie też brzmią takie słowa w ustach dyrektora szkoły z tradycją syjonistyczną: powstałe w 1905 r., Gimnazjum Herclija było pierwszą hebrajską szkołą średnią na świecie, a przede wszystkim – w Palestynie.

DEGANI PODKREŚLA, że ministerstwo edukacji nie może zmusić dyrektorów do organizacji tych wycieczek, dlatego mają wolną rękę. Także w sposobie, jak te wycieczki kształtują, bo plan, który otrzymują z ministerstwa, jest ogólny i ostatecznie każda szkoła robi to trochę inaczej. – Uzyskałem zgodę rodziców naszych dzieci, by z tych wycieczek zrezygnować. Zamiast tego przygotowujemy rzetelny program nauczania o Holokauście. W sposób mądry, poważny i inteligentny – mówi dyrektor. Przyznaje, że ministerstwu to się nie podoba, i że w związku z tym ma w różnych sprawach „pod górkę”. Ale, jak podkreśla, zachowuje swoją niezależność.

Choć taka postawa jest niepopularna, szkole nie zaszkodziło to wizerunkowo. Przeciwnie. – Jesteśmy szkołą z największą liczbą zgłoszeń w Izraelu. Mamy 2 tys. uczniów, a zgłoszeń jest zawsze o tysiąc więcej. Rodzice zdają sobie sprawę z charakteru naszej szkoły, że nie promujemy nacjonalizmu, i że delegacji do Polski nie będzie – mówi Degani.

JEST JESZCZE JEDEN aspekt w tej historii, którego pominąć nie można: inicjatywy wymian szkolnych, organizowane indywidualnie przez placówki w Polsce i Izraelu, w które zaangażowane są organizacje niezależne od rządów. Jest ich mnóstwo i nie brakuje w nich miejsca ani na naukę o Zagładzie, ani na polską perspektywę, ani na spotkanie młodzieży z obu krajów. One kwitną i – mimo złej passy politycznej – wykonują pracę, której politycy z obu stron najwyraźniej wykonać nie potrafią. ©P

Weekend nad Gardą

PAWEŁ BRAVO

Włoscy działacze społeczni ostrzegają, że sytuacja w dzielnicach imigranckich coraz bardziej przypomina getta francuskich banlieues.

PRAWIE JEDEN NA DZIESIĘCIU MŁODYCH mieszkańców Włoch nie ma włoskiego obywatelstwa. Tak zwane drugie pokolenie imigranckie liczy już około miliona niepełnoletnich. W połowie to ludzie o korzeniach marokańskich. Drugą co do liczebności społecznością obcokrajowców spoza Unii, osiedlonych tu na stałe, są Albańczycy, a trzecią Chińczycy. Przybysze z innych krajów Afryki Północnej są dalej w tabeli, lecz to o nich się dyskutuje, gdy uwaga opinii publicznej na moment skupia się na temacie integracji.

POLITYCY Z PARTII tradycyjnie wrogich przybyszom – jak Liga (popierająca, choć niechętnie, rząd Mario Draghiego) i jej coraz silniejszy rywal Bracia Włoscy – dostali ostatnio nowy powód, by podbić temat: akurat zbliżały się wybory samorządowe. W czwartek 2 czerwca – było święto państwowe, więc dzień wolny i początek długiego weekendu – do kurortu Peschiera nad brzegiem jeziora

Garda zjechało około dwóch tysięcy młodych ludzi o korzeniach afrykańskich, głównie z Mediolanu i okolic. Skrzyknęli się na TikToku.

Zanim ze stacji kolejowej dotarli na jeden z niewielu skrawków darmowej plaży, aby balować, przeszli ławą przez ciasne ulice miasteczka. Doszło do przepychanek, z początku drobnych, potem przechodzących w akty agresji i demolki. Sprowadzono specjalne formacje policji, zamieszki trwały do wieczora, aż „horda” – jak ją potem w wywiadach z prasą określali miejscowi – zaczęła wracać do domów. Wtedy to w jednym z pociągów grupa 30 śniadych chłopaków zaczęła i dręczyła kilkanaście białych nastolatków, też wracających znad jeziora. Uciekli z wagonu na najbliższej stacji, wyprowadzone zresztą przez innego „Afrykańczyka”, który stawiał czoło pobratymcom – o czym jednak część najbardziej oburzonych mediów nie wspomina.

SYTUACJA Z PESCHIERY to dla Ligi i Braci dowód, że o skutecznej integracji nie może być mowy. I że dzieci afrykańskich rodziców, nawet jeśli chodzą do włoskiej szkoły i mówią tylko po włosku, nie umieją przyjąć „naszych wartości”, a zatem trzeba dalej ograniczać możliwość osiedlania się nowych przybyszów. A tych już obecnych pilnować ostrzej, kierując więcej policji, gdziekolwiek się pojawiają.

Na to politycy centrum i lewicy – zarówno z Partii Demokratycznej, jak też z Ruchu Pięciu Gwiazd (ten trudno nazwać lewicowym, ale w kwestiach imigracji popiera zwykle otwartość) – przypominają, że w każdy letni weekend ta sama policja jest zajęta w nadmorskich kurortach, gdzie dochodzi do całonoc-

nych burd z udziałem rodowitych młodych Włochów. Na początku maja w Rimini kilkadziesiąt kobiet, głównie barmanek i kelnererek, złożyło skargi na molestowanie i zaczepki przez uczestników zlotu organizacji żołnierzy z korpusu strzelców alpejskich (zlot to jeden z kluczowych punktów włoskiego kalendarza obchodów patriotycznych). Wtedy politycy Ligi bagatelizowali, iż to sztabackie wygłupy.

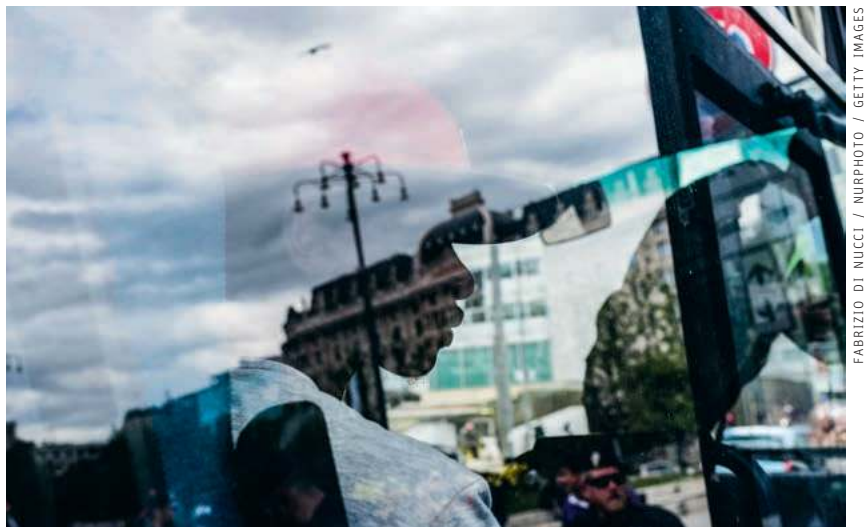
W MEDIOLANIE średnia dzieci „z tłem migracyjnym” wynosi dziś w szkołach 27 proc., choć są dzielnice, gdzie ten odsetek przekracza połowę. Działacze społeczni, w tym liczni księża, którzy zajmują się problemami takich skupisk, zwracają uwagę, iż sytuacja coraz bardziej przypomina getta francuskich *banlieues*, będących trwale już siedliskiem przemocy i bezprawia. Ich zdaniem jednym ze sposobów na rozładowanie napięć z udziałem młodych, całkowicie już zitalianizowanych kulturowo chłopaków, byłoby uproszczenie ścieżki do obywatelstwa. Dziś procedury są tu jednymi z najtrudniejszych w Europie i dziecko legalnych imigrantów prawie nie ma szans na papiery przed osiągnięciem pełnoletności.

Już w poprzedniej kadencji parlamentu izba niższa uchwaliła zmianę przepisów – idącą w stronę nie tyle *ius soli* (tj. obywatelstwa na mocy urodzenia we Włoszech), ile w stronę *ius culturae*, czyli szybkiej ścieżki dla młodych, którzy odbyli co najmniej pięć lat nauki we włoskiej szkole. Zmiana prawa rozbiła się o weto Senatu i opory mocnej wówczas Ligi.

W TYM SEZONIE politycznym wydawało się to łatwiejsze do przeprowadzenia, parlament miał finalizować prace pod koniec lutego, ale rosyjska inwazja przeciw Ukrainie zepchnęła temat na daleki plan. Z drugiej strony Liga, która dostała właśnie w wyborach łupnia, sięga po inny niż imigracja temat, by bronić się przed dalszym spadkiem poparcia: po bardzo silne we włoskiej opinii pragnienie, by skończyć wojnę w Ukrainie za każdą cenę i wznowić relacje Włoch z Rosją (do niedawna należały do najprzyjaźniejszych w całej Unii).

Paradoksalnie to wojna może ostatecznie ułatwić więc zmianę korzystną dla miliona młodych Włochów drugiej kategorii, coraz bardziej sfrustrowanych. ©P

Emigranci z Afryki zabrani z głównego dworca w Mediolanie. Włochy, 2 maja 2017 r.



FABRIZIO DI NUCCI / NURPHOTO / GETTY IMAGES



*Dzielnica rządowa zamknięta ogrodzeniem w narodowych barwach Libanu.
Bejrut, maj 2022 r.*

Wszystkie plagi Libanu

TEKST I ZDJĘCIA **MARCIN RYCHŁY** Z BEJRUTU

„Zdawało się, że wyczerpaliśmy dawkę nieszczęść, jakie na nas spadły. Okazuje się, że nie” – Katrina, właścicielka bejruckiego baru, walczy o przetrwanie. Libańskie państwo pograża się w kryzysie.

WŁAŚNIE ROZKWIŁY NA FIOLETOWO jakarandy. Efektowne drzewa, z kwiatami zebranych w dużych wiecach, tworzą spektakularne szpale przy ulicach Bejrutu. Podobnie jak kasztanowce w Polsce, są znakiem dla libańskich uczniów, że na naukę do egzaminów kończących rok szkolny jest już zbyt późno. Ci zaś biegają po nadmorskiej promenadzie, zajądają prężne migdały i mrożone owoce opuncji. Sprzedają je zwykle uchodźcy z Syrii,

prosto z wózków przyczepionych do rowerów.

Starsi, w zależności od zasobności portfela, przesiadują w eleganckich restauracyjnych ogródkach. Biedniejsi piknikują, grają w domino i palą fajki wodne na skałach, pod które podjeżdżają skuterami z bardziej odległych, a więc biedniejszych dzielnic. Na niektórych słupach wciąż wiszą plakaty po wyborach parlamentarnych, które odbyły się tutaj niedawno.

Późnowiosenne słońce przygrzewa i wielu bejrutczyków – niezależnie, czy są maronitami (chrześcijańska ludność Bliskiego Wschodu), czy muzułmanami – znajduje orzeźwienie w chłodnych jeszcze wodach Morza Śródziemnego. Próbuje choć na chwilę uciec od zmartwień codzienności i pogarszającej się sytuacji ekonomicznej.

W cieniu „naszej Hiroszimy”

A udręk mają sporo. Prócz kryzysu gospodarczego Liban od lat trapią serie nieszczęść. Wciąż odczuwalne skutki wojny domowej, która zakończyła się w 1990 r., rola szyickiego Hezballahu jako „państwa w państwie”, wojna w sąsiedniej Syrii i kryzys uchodźczy, wątpliwa walka z epidemią (jako jedyny kraj Liban miał całodobową godzinę policyjną), wreszcie eksplozja w bejruckim porcie w sierpniu 2020 r. – wszystko to radykalnie pogorszyło poziom życia w tym jednym z najzamożniejszych kiedyś krajów regionu.

Wspomnienia dramatu sprzed dwóch lat wciąż wywołują emocje. Rozmawiam o nim z Katriną, 28-letnią współwłaścicielką sympatycznego lokalu przy ulicy Gouraud w Gemmayze, dzielnicy artystów. W ciągu dnia funkcjonuje on jako kawiarnia, a wieczorem zmienia się w koktajlbar.

Przedsiębiorcza dziewczyna jest maronitką i graficzką z wykształcenia. Lokal, który prowadzi wraz z parą przyjaciół ze studiów, leży w odległości kilometrów od portu, gdzie stał magazyn z nawozami. 4 sierpnia 2020 r. w wyniku wybuchu 2750 ton saletry amonowej zginęły 204 osoby, 6,5 tys. zostało rannych, całe dzielnice zostały zniszczone, 300 tys. ludzi straciło dach nad głową. ONZ i UE oceniły szkody materialne na 4 mld dolarów.

– Miałam wtedy wolny dzień, nie było mnie tutaj. Pojechałam do rodziców, którzy mieszkają w Byblos, 20 km na północ od Bejrutu. Huk był niewiarygodny, odczuwalny również tam – wspomina Katrina. Mówi, że eksplozja była porównywalna z jedną piątą siły uderzeniowej bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę i siłą trzęsienia ziemi równą 4,5 w skali Richtera. Przez kilka dni bała się wracać do lokalu. Ludzie panikowali, że powietrze może być skażone, że jest groźba ponownego wybuchu.

– Wszystkie szyby były wybite, zawałiła się elewacja sąsiedniego budynku. ➔

→ Trudno było się dostać do kawiarni. Ale najważniejsze, że nikt z moich bliskich nie zginął – wspomina.

Kolejne bankructwo

Katrina zaznacza, że i tak musiałaby wtedy zamknąć lokal, gdyż na dzień przed tragedią rząd wprowadził lockdown i godzinę policyjną ze względu na szczyt zachorowań na covid. Pandemia wymknęła się ówczesnym władzom spod kontroli z powodu uporu społeczeństwa i buntu przeciw środkom, które podejmowało ministerstwo zdrowia. – Wtedy wydawało się, że Liban wyczerpał dawkę nieszczęść, jakie spadły na nasze państwo, i będzie już tylko lepiej. Okazuje się, że jednak nie. Ciekawe, czy nowemu rządowi uda się wyprowadzić nas z gospodarczego kryzysu – zastanawia się Katrina.

Wybory parlamentarne odbyły się 15 maja. W ich wyniku Hezbollah i jego sojusznicy utracili na rzecz ugrupowań maronickich większość, którą mieli od 2018 r. Stronnictwo szyickie będzie mieć tylko 62 mandaty w 128-osobowym parlamencie, a nowy rząd będą budować partie chrześcijańskie.

To niełatwe zadanie w tutejszym systemie politycznym opartym na sektarianizmie, tj. ogólnym podziale władzy między grupy etniczno-konfesyjne. Polega on na parytetach, według których miejsca w parlamencie i wyższe stanowiska w służbie cywilnej są dzielone między przedstawicieli wszystkich 18 grup wyznaniowych. Ugrupowania maronickie doszły do władzy pod hasłem szybkich reform, krytykując poprzedników za nieudolność w walce z kryzysem. Głównym zadaniem nowego rządu będzie uzdrowienie gospodarki.

Jest ona w stanie bardziej niż opłakany. Na krótko przed wyborami, 5 kwietnia, wicepremier Saadeh al-Shami ogłosił w mediach bankructwo banku centralnego i samego Libanu. To już drugie bankructwo w ostatnich latach – poprzednie ogłoszono w marcu 2020 r.

To efekt wieloletnich zaniechań: braku reform, co doprowadziło do krachu finansowego i gospodarczego. W ostatnich miesiącach funt libański stracił 90 proc. wartości, przez co zmniejszył się dostęp ludzi do podstawowych dóbr. Powszelne są przerwy w dostawach prądu i wody pitnej, a także niedobór leków i brak paliwa.

Inflacja na poziomie 462 procent rocznie

to ciągła niepewność. Szybciej ceny rosną tylko w Sudanie Południowym i Wenezueli.

Roczna stopa inflacji na poziomie 462 proc. zmieniała życie Libańczyków w ciągłą niepewność – szybciej ceny rosną tylko w Sudanie Południowym i Wenezueli. Siła nabywcza pensji maleje, dolary są dostępne tylko na czarnym rynku. Równowartość płacy minimalnej to ok. 30 dolarów.

W efekcie 80 proc. ludności żyje dziś w ubóstwie, Bank Światowy szacuje stopę bezrobocia na ponad 40 proc., a PKB zmniejszyło się o połowę w ciągu ostatnich trzech lat.

Opodatkowany WhatsApp

– To вина korupcji i złego zarządzania państwem przez tych nieudaczników! Ludzie, którzy doszli do władzy w czasie wojny domowej, trzymają się jej do dziś – irytuje się 50-letni Hasan. – Oni kompletnie powariowali. Najpierw ociągali się z reformami, od których międzynarodowe instytucje uzależniły wsparcie dla Libanu, a potem, jak już było źle, zaczęli szukać oszczędności w dziwnych miejscach – emocjonuje się nienaganną angielszczyzną kierowca Ubera, próbując przedrzeć się wysłużoną toyotą przez zakorkowane ulice.

Rzeczywiście dziwnych: w 2019 r. władze wprowadziły podatek od korzystania z aplikacji typu WhatsApp, a na kolejne lata zapowiedziały dodatkowe opodatkowanie tytoniu i benzyny. Uderzyło to w najbiedniejsze grupy społeczne i Libańczycy wyszli na ulice. Były to największe i najgwałtowniejsze protesty od lat. Diaspora libańska (jej liczbę szacuje się na 10 mln) zaczęła masowo wycofywać z tutejszych banków swoje depozyty, podczas gdy to na nich oparty był system finansowy państwa. Nagła utrata płynności w sektorze bankowym wywołała kryzys.

– Zobacz, co się dzieje z naszą walutą. Wczoraj kupowałem dolara za 33,5 tys. funtów, dziś cena spadła do 25 tys. funtów. Jeszcze w połowie 2019 r. dolar kosztował 1500 funtów. Nic nie można zapla-

nować. Nawet algorytmy Ubera nie nadążają z aktualizacją cen za przejazdy, a przecież ceny paliw zmieniają się codziennie – żali się Hasan. – Z dnia na dzień przynoszę do domu mniej pieniędzy, na coraz mniej mnie stać.

Praca w taksówce jest jedynym źródłem utrzymania jego pięcioosobowej rodziny. Dodatkowo co miesiąc otrzymują 100 dolarów od jego brata z Brazylii. Wcześniej Hassan pracował jako kierownik recepcji w hotelu, którego konstrukcja została uszkodzona podczas wybuchu w porcie i musiał zostać rozebrany. Odtąd nie ma stałego zatrudnienia. – Nowych hoteli nikt nie buduje. Wciąż jest wiele takich, które zamknięto w czasie epidemii i których nie planuje się na razie ponownie otwierać – tłumaczy.

Przyjaciele Teheranu i Asada

Na kwestie zatrudnienia i niskich zarobków narzeka też Omar, z którym wspólnie podróżują mikrobusiem z Baalbek do Bejrutu. 40-latek wraca z rodzinnego domu, gdzie odwiedzał chorą mamę. W dwóch plastikowych torbach wiezie zawinięte w gazetę mięso kozy zabitej rano przez brata.

Omar jest sunnitą, mieszka w Bejrucie z żoną i trójką dzieci. Pracuje w drukarni, ale od roku jest to praca na pół etatu, za równowartość 60 dolarów. Tymczasem Omar fachu uczył się w Los Angeles, w drukarni kuzyna (i dlatego posługuje się dobrym angielskim).

– To byłam wspaniałe cztery lata. Zarobiłem tam na mieszkanie, nauczyłem się angielskiego i jeszcze rodzicom wysłałem pieniądze – wspomina z nostalgią. – A teraz nie mam szans nawet, by wyjechać na kilka miesięcy, podreperować budżet domowy. Nie mówiąc już o tym, że najchętniej wyjechalibyśmy tam z całą rodziną i zostali na stałe. A to wszystko przez Hezbollah! – dodaje z żalem.

Omar pochodzi z Baalbek w Dolinie Bekaa, tuż przy granicy z Syrią. Ta część Libanu to kolebka szyickiej Partii Boga, która przez niektóre państwa, w tym USA, uznawana jest za organizację terrorystyczną. Dlatego pomimo starań i faktu, że ma rodzinę w Kalifornii, a sam należy do sunnitów, którzy tradycyjnie nie głosują na Hezbollah, Omar od kilku lat nie może uzyskać promesy wizowej na wyjazd. – Hezbollah to przekleństwo naszego państwa, oni odciągają od zachodnich wartości i uwsteczniają – ścisza



Promenada Corniche. Bejrut, maj 2022 r.

głos. – To przyjaciele Teheranu i Asada, najchętniej stworzyliby tutaj drugi Iran – dodaje już szeptem.

Hezbollah jest główną szyicką siłą polityczną i militarną w kraju. Liban ma normalną armię, a Hezbollah ma własną, z którą muszą liczyć się nie tylko inne partie w kraju, ale też sąsiedni Izrael, oficjalnie pozostający wciąż w stanie wojny z Krajem Cedrów.

Tu, w Libanie, Hezbollah zdobył popularność dzięki programom społecznym, prowadzeniu przychodni i szpitali, udzielaniu wsparcia finansowego obywatelom i programom edukacyjnym. Pomógł też wyprzeć wojska izraelskie, kończąc w 2000 r. izraelską okupację południowego Libanu, trwającą jeszcze od lat 80. XX w.

– Każdy, kto ma fach w ręku, próbuje stąd uciec – uważa Omar. – Dla mnie USA są zamknięte, ciężko będzie też dostać wizę do Europy Zachodniej, gdzie jest już wielu uchodźców z Ukrainy. Najłatwiej będzie pewnie wyjechać do Brazylii, tam jest sporo naszych.

Szacuje się, że w Brazylii mieszka ok. 6 mln osób pochodzenia libańskiego. Po części to potomkowie imigrantów przybyłych jeszcze za panowania Imperium Otomańskiego. Później przez prawie cały wiek XX Libańczycy masowo emigrowali nie tylko do Brazylii, ale też do innych krajów Ameryki Łacińskiej.

Uchodźcy nieformalni

– Do niedawna nie musiałam pilnować godzin włączania prądu ani martwić się,

czy dojedzie pod blok cysterna z wodą pitną. Ciężko się żyje – rozkłada ręce Tamara, 50-letnia sprzedawczyni napojów na plaży w Surze, mieście bardziej znanym pod starożytną fenicką nazwą Tyr. – Teraz nie mam stałej pracy. To, co zarobię, od razu staram się wymienić na dolary – tłumaczy. – Pierwsza informacja, którą sprawdzam każdego ranka, to wartość dolara.

Tamara jest maronitką. Wcześniej pracowała w biurze podróży; zna francuski, angielski i rosyjski. Oprawdzała turystów po ruinach Tyru i Sydonu, biblijnych miast. – Teraz turystów przyjeżdża znacznie mniej. Szef mnie zwolnił jeszcze na początku epidemii. Covid się skończył, a gości nie ma. Muszę sobie jakoś radzić – pokazuje na dwie przenośne lodówki i ratanowy koszyk pełen woreczków z popcornem i słodyczami, które postawiła na piasku.

O największe problemy Libanu Tamara oskarża uchodźców z Syrii. – Na co oni nam potrzebni, ile czasu mogą przesiadywać w namiotach, wołać o jedzenie i nic nie robić? – denerwuje się. Twierdzi, że zabierają pracę Libańczykom, oskarża ich o gwałty, kradzieże i rozboje. – Nawet do lekarza trudniej się dostać, to przez nich rząd wprowadził opłaty za usługi medyczne – dodaje.

Rząd szacuje, że od początku wojny w Syrii do Libanu przybyło półtora miliona uchodźców; według danych UNHCR z 2020 r. zarejestrowanych jest tu ok. 880 tys. syryjskich uchodźców. Obie liczby są ogromne dla państwa o po-

wierzchni zbliżonej do wielkości województwa opolskiego i mającego 7 mln obywateli. W ciągu trzech lat od wybuchu wojny syryjskiej Liban stał się krajem o największej na świecie koncentracji uchodźców w przeliczeniu na mieszkańca.

W ten sposób zaburzona została także religijna równowaga, która zapewniała Libanowi względne pokojowe współistnienie muzułmanów i chrześcijan. Ciekawym faktem jest, iż Bejrut nie jest sygnatariuszem Konwencji Genewskiej z 1951 r., dotyczącej statusu uchodźców. Ze względu na trudne doświadczenia z palestyńskimi wysiedleńcami po izraelskiej wojnie o niepodległość, Libańczycy nie chcą nadawać Syryjczykom oficjalnego statusu uchodźców.

Gospodarka, nie ideologia

Wynik ostatnich wyborów pokazuje, że rośnie grupa tych, którzy chcą zmian. Gospodarka jest pod ścianą, rząd musi zacząć reformy. Wydaje się, że Libańczycy są już tak wykończeni kryzysem, iż gotowi są wyjść kolejny raz na ulice, jeśli nowe władze będą wkleić się w polityczne gry, zamiast dbać o ich dobro. Bejrut potrzebuje niskooprocentowanych pożyczek, restrukturyzacji długu i reform systemu bankowego. – Ratunkiem dla kondycji państwa mogą być też turyści i dolary, które przywożą – uważa Katrina.

Kraj Cedrów, uchodzący za najbardziej liberalny kraj arabski, od dekad jest celem turystycznych przyjazdów mieszkańców państw islamskich. Tu pary mogą trzymać się za ręce, a kobiety nie muszą zasłaniać głowy.

– Turystów przyjeżdża do Bejrutu coraz więcej. Ty ich nie zauważasz, bo mówią po arabsku i są podobni do Libańczyków – uśmiecha się Katrina, zaparzając kawę za pomocą popularnego w Libanie dripa.

– Wciąż czekamy jednak na gości z Europy Zachodniej, zwłaszcza na Francuzów i Niemców, którzy chyba wciąż boją się epidemii. Poza tym media straszą, że nie ma tu wody i prądu, co jest nieprawdą, bo pod względem dostaw hotele są uprzywilejowane. Mam nadzieję, że turyści wrócą, a nasz nowy rząd wreszcie zajmie się gospodarką, a nie ideologią – dodaje dziewczyna i akcentuje słowo „nasz”, pokazując srebrny krzyżyk na szyi.

© MARCIN RYCHŁY



ZMAĆCONA PERŁA W KORONIE

SEBASTIAN ROSENBAUM, HISTORYK:

Sto lat temu przyłączenie Górnego Śląska zmieniło oblicze międzywojennej Polski. Bez niego byłaby krajem głównie rolniczym. Ale dla wielu Ślązaków oznaczało to pęknięcie.

ZBIGNIEW ROKITA: W czerwcu 1922 r. formalnie włączono do Polski tę część Górnego Śląska, która została jej przyznana decyzją Ligi Narodów z jesieni 1921 r. W którym momencie po I wojnie światowej musiały

odbyć się ten plebiscyt, aby zwyciężyła w nim jednak Polska?

SEBASTIAN ROSENBAUM: Być może największe szanse Polska miała po lutym 1920 r., gdy na górnośląski obszar plebiscytowy w roli rozjemcy wkraczają woj-

ska alianckie. Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa na Górnym Śląsku staje się swoistym lokalnym rządem, osłabiona zostaje niemiecka policja bezpieczeństwa, wyłapywane są niemieckie organizacje konspiracyjne, Niemcy są



Francuscy żołnierze w otoczeniu gapiów pilnują porządku podczas plebiscytu na Górnym Śląsku. Widoczny francuski czołg Renault FT-17. Katowice, marzec 1921 r.

zamieszki, które ciągną się tygodniami. W Bytomiu, gdzie teraz rozmawiamy, oblegają siedzibę Korfantego. W strzelaninach giną cywile i żołnierze francuscy.

Dodajmy, że po I wojnie przemoc była tu na porządku dziennym.

Agresja i przemoc na Śląsku narastają już w czasie wojny, by wybuchnąć po abdykacji cesarza Wilhelma, w czasie rewolucji i trwać kolejnych kilka lat. Społeczeństwo jest zdemoralizowane wojną, która odcisnęła na nim wielkie piętno. Zresztą Wielka Wojna jest zapisana w śląskim genotypie – choć nie było tu walk, dotknęła ona każdej rodziny, pochłaniając wielu ludzi, którzy padli gdzieś pod Verdun. Jak mój pradziadek: po ostrzale na froncie zachodnim zostały po nim tylko buty. Poza tym ludzie biednieją, blokada kontynentalna potęguje kryzys gospodarczy, nie wiadomo, jakie będzie państwo. A broni wszędzie jest mnóstwo. Ale wracając do dobrego terminu na plebiscyt – po „cudzie nad Wisłą” też nie był zły czas, bo przecież wśród Polaków wybuchła euforia, było II powstanie, zlikwidowano niemiecką policję bezpieczeństwa...

Czy podział Górnego Śląska w kształcie z 1922 r. był sprawiedliwy?

Żaden podział nie mógł być sprawiedliwy. Gdybyśmy chcieli być wierni wynikom plebiscytu z 1921 r., Polsce przypadłyby głównie tereny wiejskie i miasteczka, gdzie ją popierano. W Niemczech zostałyby zaś większe miasta.

Wysłaby nam szachownica...

...którą nie dałoby się zarządzać. Ostateczny podział był arbitralny. Mocarstwa alianckie chciały tworzyć takie regiony, które mogłyby poradzić sobie gospodarczo. Jesienią 1921 r., czyli niedługo po trzecim powstaniu śląskim, Liga Narodów zdecydowała, że większość przemysłu górnośląskiego trzeba przekazać jednej ze stron.

I padło na Polskę.

Tak. Polska bardzo jej potrzebowała. Górnego Śląska niż Niemcy, które miały jeszcze inne zagłębia przemysłowe. Miała też patrona w postaci Francji. Warto przypo-

mnąć, że w pierwotnej wersji traktatu wersalskiego cały ten region miał przypaść Rzeczypospolitej. Gdy Niemcy dowiedzieli się o tym, podnieśli gwałtowny protest, podchwycili go Brytyjczycy i tak pojawiła się idea plebiscytu. Zachód myślał, że Polska ten plebiscyt i tak wygra.

Tymczasem wygrali Niemcy i to zdecydowanie: 60 proc. do 40 proc. głosów. Czy nie byłoby lepszym rozwiązaniem dla regionu przekazać go w całości stronie zwycięskiej?

Tak twierdzili Niemcy: że zwycięzca bierze wszystko. Ale alianci nigdy tego nie obiecywali, Berlin źle zinterpretował zapisy traktatu wersalskiego.

Polacy rozumieli zaś, że każdą piędź regionu trzeba sobie wywalczyć.

Rozumiał to zwłaszcza Wojciech Korfanty. Proponował korzystny dla Polski podział regionu, a jego propozycja spotkała się z aprobatą Francuzów.

Bo silniejsza Polska to wówczas słabsze Niemcy?

Tak, mieliśmy być rygłem blokującym Niemcy od wschodu. Jednocześnie to były czyste interesy polityczne – przecież w tym samym czasie Francja podjęła niekorzystną dla Polski decyzję odnośnie do przynależności Śląska Cieszyńskiego. Francji opłacało się wzmocnić Czechosłowację kosztem Polski i nie wahała się przyznać Pradze większości Zaolzia.

Natomiast w przypadku Górnego Śląska Francuzi sprzyjali Polsce, by wzmocnić ją kosztem Niemiec. Problemem była postawa Włochów i Brytyjczyków. Ci ostatni proponowali przekazanie Polsce tylko skrawków regionu: powiatów rybnickiego i pszczyńskiego oraz kawałki powiatów tarnogórskiego i katowickiego. Wtedy Korfanty postanowił wywołać trzecie już powstanie, aby zbrojnie zająć obszar, którego się domagał. Próbował prowadzić politykę faktów dokonanych.

To powstanie było pogwałceniem ustaleń traktatowych.

Oczywiście. Korfanty chciał dokonać zbrojnej manifestacji: pokazać, że „lud śląski powstaje i upomina się o swoje”.

Korfanty szantażował aliantów wizją czwartego powstania śląskiego, by zmusić ich do korzystniejszego podziału. Mogło wybuchnąć?

marginalizowani. Jednocześnie tworzy się Polski Komisariat Plebiscytowy, czyli pararząd Wojciecha Korfantego, który ma znakomity kontakt z grającymi tu pierwsze skrzypce Francuzami i gen. Henrim Le Rondem, przewodniczącym Komisji Międzysojuszniczej. Ten nie miał ochoty rozmawiać z „boszami”, czyli Szwabami... Nie wiemy, czy to wszystko sprawiłoby, że wahająca się część Ślązaków głosowałaby za Warszawą. Ale jeśli kiedyś Polska miałaby osiągnąć lepszy wynik, to pewnie wtedy.

Przed apogeum wojny z bolszewikami?

Wiosną 1920 r. wojsko polskie i sprzymierzone ukraińskie zajmują Kijów. Niektórzy mówią: „Polska miała być *Saisonstaat*, państwem sezonowym, a tu polska armia może stworzyć imperium słowiańskie!”. Ale potem przychodzi sierpień 1920 r. i widmo upadku Polski. W wielu górnośląskich miastach Niemcy wywołują

→ Trzecie wystarczyło. Korfantomu trudno byłoby wywołać kolejny zryw, bo potrzebowałby do tego zgody Paryża. Myślę, że o ile Francuzi najprawdopodobniej wyrazili zgodę na trzecie powstanie – oczywiście nie wprost – to nie zgodziliby się już na czwarte.

Dlaczego?

Zdawali sobie sprawę, że nie mogą konfliktować się z Wielką Brytanią, a ta twierdziła, że Niemców nie można zbyt osłabiać i upokarzać. Obawiano się też, że bez Górnego Śląska władze niemieckie nie będą w stanie spłacać reparacji. Korfanty grał tak wysoko, jak pozwalali mu Francuzi.

I podzielono jeden śląski organizm.

Górny Śląsk był wówczas jednym z najważniejszych gospodarczych centrów Europy. Nie dało się podzielić tak zwartego obszaru bez okaleczenia go. Tu w jednym zakładzie produkowano części do innego zakładu, a teraz przedzieliła je granica.

Co dzieje się z niemieckim kapitałem?

Nie dochodzi do rewolucji, na mocy konwencji genewskiej Niemcy mają w województwie śląskim szereg gwarancji. W połowie lat 20. w ich rękach jest tu wciąż 75 proc. przemysłu. Jeszcze w 1939 r. odsetek ten wynosi jakiegoś 50 proc.

Gdy wyznaczono granicę, podzielili się też Ślązacy.

Jeszcze przed podziałem, w latach 1920-21, migrują tysiące ludzi. Np. ludność niemiecka, która boi się powstańców, ucieka z prowincji do miast, niemieckich bastionów. Jeszcze inni na zawsze opuszczają Śląsk, jadą w głąb Rzeszy. Gdy zaś w 1922 r. pojawia się granica, rusza prawdziwa wędrówka ludów. Do końca lat 20. z Niemiec do Polski ucieka kilkadziesiąt tysięcy, zaś z polskiego województwa śląskiego na stronę niemiecką jakieś 200 tys. ludzi. W takich miastach jak ówczesne Beuthen, Hindenburg i Gliwice (Bytom, Zabrze i Gliwice) dziesiątki tysięcy koczują na ulicach czy po szkołach. W ustawionych na ceglach starych wagonach kolejowych niektórzy będą żyć przez kolejne lata.

Aż tak zależało im na opuszczeniu Polski, że porzucali domy i 20 km dalej stawali się uchodźcami?



ARCHIWUM PRYWATNE

DR SEBASTIAN ROSENBAUM (ur. 1974) jest historykiem, pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach. Autor książek o historii Górnego Śląska, m.in. „Między katolicyzmem i nacjonalizmem. Związek Niemieckich Katolików w Polsce w województwie śląskim 1923-1939” (wyd. 2020).

Tak, i płacili za to cenę. Mamy wtedy kryzys gospodarczy, ci ludzie nie mogą znaleźć pracy. Berlin uruchamia potężny program *Osthilfe*, pomocy dla mieszkańców wschodnich Niemiec. Powstają osiedla mieszkaniowe. W twoich rodzinnych Gliwicach takich osiedli masz kilka, podobnie w Zabrze i Bytomiu. Ten kryzys rozładowuje się definitywnie, gdy do władzy dochodzą naziści. W Gliwicach palą wówczas w symbolicznym geście baraki, gdzie mieszkali uchodźcy, zapowiadając początek nowej epoki.

Wróćmy na polską stronę granicy. Jak do miejscowych odnoszą się polskie władze?

Mówiono o Górnos Ślązakach jako o ludzie polskim, który przetrwał mimo stuleci opresji, najpierw czeskiej, a później pruskiej. Pokazywano ich jako najwierniejszych wśród Polaków i zapowiadano, że otrzymają wszystko, czego chcieli, w tym szeroką autonomię. Województwo śląskie jako jedyne w Polsce było autonomiczne, miało własny parlament i skarż.

A jak odnoszono się naprawdę?

Województwem śląskim rządziło 5 proc. ludzi, którzy przyjechali tu po 1922 r. z Galicji, Wielkopolski czy Kongresówki. Poza pierwszym wojewodą, krótko urzędującym, wszyscy następni byli z Galicji. Nauczyciele czy urzędnicy też w ogromnej większości nie byli stąd.

Ślązacy do dziś mają o to żal. Ale czy wśród Ślązaków było wielu z kompetencjami?

Niezbyt. Ta niechęć do napływowych, którzy obsadzili urzędy, to typowy dyskurs ofiary. Miejskowe kadry trzeba było dopiero wykształcić i to działało się przez 17 lat istnienia województwa śląskiego. Skądinąd także opowieść o Ślązakach, którzy nigdy nie mieli swoich elit, jest nieprawdziwa, bo elity wcześniej były, lecz one się asymilowały w niemieczyźnie. Jak ktoś kończył studia, stawał się na ogół Niemcem. Ludzi takich jak Korfanty, Konstanty Wolny [działacz społeczny, pierwszy marszałek Sejmu Śląskiego – red.] czy Józef Rymer [jeden z przywódców trzeciego powstania śląskiego, potem pierwszy wojewoda śląski – red.] było niewiele.

Wielu Ślązaków czuło się w międzywojennej Polsce obco. W 1930 r. w wyborach do Sejmu Śląskiego wygrał blok partii niemieckich.

Po 1922 r. śląska scena polityczna była niestabilna. Elektorat nie składał się tylko z dwóch części, ludności polskiej i mniejszości niemieckiej. Była jeszcze trzecia grupa, ludność indyferentna, która raz brała stronę niemiecką, raz polską. Scena polityczna spacyfikowana została dopiero wtedy, gdy sanacja zaczęła demonstrować demokrację i fałszować wybory.

Rozczarowanie Polską po 1922 r. wśród miejscowych wywołują jednak przede wszystkim nie sprawy tożsamościowe, lecz gospodarcze. Materialny poziom życia ludności nie polepsza się, a przeciwnie: upadają kopalnie, zaczyna się bezrobocie, którego tu wcześniej nie znano. Jasne, że na ten kryzys wpływa szereg czynników i nie ma tu winy państwa polskiego. Ale zwykły górnik kojarzy, że złe czasy nastały wraz z Polską. Chodzi w łachach, je darmową żupę, a równocześnie widzi wychodzących z urzędów „ponów” z Galicji, którzy mówią „a-ę”, jedzą wurszt z kartoflami, mają robotę. Takiego bezrobotnego oczywiście szlag trafia.

Mówisz o grupie, która nie czuła się Polakami ani Niemcami. Czy kiedykolwiek była szansa na dopuszczenie w plebiscycie trzeciej opcji i na samodzielną niepodległość Śląska?

Był taki moment, gdy rozważano neutralność regionu na wzór Szwajcarii, ale krótko: między upadkiem Cesarstwa Niemieckiego jesienią 1918 r. a podpisaniem traktatu wersalskiego w czerwcu 1919 r., który ostatecznie uciął temat. Za niezależnym Śląskiem lobbowali m.in. tutejsi

przemysłowcy, bo nie musieliby dokładać się do reparacji niemieckich. Alianci się nad tym zastanawiali. To czas rewolucji, ludzie mają najdziwniejsze pomysły, za które jednego dnia dadzą się pokroić, a dwa tygodnie później o nich nie pamiętają. Mapa rysuje się na nowo. Austria nazywa się wówczas Niemiecką Republiką Austrii i czeka na zjednoczenie z Niemcami. Powstaje nowy twór – Wolne Miasto Gdańsk. Niepodległość Śląska, poza względami geopolitycznymi, nie udało się może też dlatego, bo brakowało tu kilku tysięcy ludzi, którzy codziennie przekonywaliby do swego pomysłu polityków, założyliby kilka gmin itd.

Jakim krajem byłaby Polska bez Śląska? Gdy dochodzi do przyłączenia regionu do Polski, jej potencjał przemysłowy rośnie trzykrotnie.

Górny Śląsk zmienia oblicze Polski, która bez tego regionu byłaby krajem głównie rolniczym. W międzywojniu ok. 70 proc. polskiego eksportu nierolniczego szło ze Śląska: żelazo, stal, ołów, cynk, węgiel. Tak ogromny potencjał pochodził z województwa, które zajmowało 1 proc. powierzchni kraju. To była perła w koronie. Ale, jak już mówiłem, śląski przemysł zaczął w tym czasie padać. Polska nie była w stanie sama skonsumować śląskich bogactw ani ich wszystkich wyeksportować – za mały był choćby jej potencjał kolejowy. Węgiel leżał więc na zwalach. Ale nie była temu winna Polska, jak chcą niektórzy.

A co?

Przede wszystkim rozerwanie regionu oraz to, że od roku 1925 do 1934 między Warszawą a Berlinem trwała wojna celna, blokująca eksport m.in. węgla do

Niemiec, głównego odbiorcy tego surowca. Dopiero dojście Hitlera do władzy polepszyło stosunki polsko-niemieckie. Rzecz jasna, do czasu.

Po II wojnie światowej na Śląsku starano się zatrzeć wszelkie ślady niemieckości. A jak wyglądało odniemczanie po 1922 r.?

Nie było takiego odniemczania, konwencja genewska w wyjątkowy sposób chroniła mniejszość niemiecką. Na ulicach Katowic czy Królewskiej Huty były niemieckie szpydy, ukazywały się gazety, funkcjonowały niemieckie partie, Niemcy zasiadali w radach miast i gmin oraz w Sejmie Śląskim. Działały niemieckie chóry kościelne, związki zawodowe, kluby sportowe, szkoły. Z drugiej strony, Berlin używał mniejszości do swoich celów, manipulował nią, pchał do różnych politycznych działań. Mógł to robić, bo odkreślił kurek z pieniędzmi. Bez tego mniejszość byłaby słaba. Zresztą w drugą stronę działało to podobnie: Warszawa wspierała przecież Polaków na tzw. Śląsku Opolskim, czyli zachodnim Górnym Śląsku.

Ze wszystkich mniejszości w II RP tylko niemiecka miała tak potężnego patrona.

Ślascy Niemcy mieli ojczyznę ideologiczną i lgnęli do niej. Ale w innych regionach z Niemcami było inaczej. Co Berlin obchodziło Niemców łódzkich, którzy nigdy nie żyli w Niemczech? Czy galicyjskich, bielskich, dla których punktem odniesienia był Wiedeń? Tyle że Wiedeń już się nimi nie interesował.

Od podziału Śląska mija 100 lat. Widzisz jeszcze jakieś powidoki tej istniejącej przez 17 lat granicy?

Bez roku 1922 Katowice nie stałyby się stolicą regionu. To Gliwice i Bytom, które zostały po niemieckiej stronie, były predestynowane do roli centralnych ośrodków Górnego Śląska. Przed I wojną Katowice były co prawda ważnym centrum urzędniczym, ale jednak miastem drugorzędym. Inne są losy Górnoszlazaków w czasie wojny. Mieszkaniec Bytomia to cały czas, już przed 1939 r., obywatel Rzeszy. Jego krewny z Katowic w 1939 r. łąduje pod niemiecką okupacją, jest zmuszany do przyjęcia volkslisty, jest obywatelem drugiej kategorii.

Ważny jest rok 1945. Skala sowieckiej przemocy – deportacje, masowe mordy, gwałty – po niemieckiej stronie regionu była znacznie większa niż po polskiej. Pamięć o tych wydarzeniach do dziś jest żywa na zachodnim Górnym Śląsku. Następnie emigracja do Niemiec Zachodnich: za PRL wyjeżdża tam ok. 1,2 mln Ślązaków, spośród nich 75-80 proc. pochodzi z dawnej niemieckiej części Śląska, bo oni w RFN automatycznie dostają niemieckie obywatelstwo. A byli obywatele polscy z przedwojennego województwa śląskiego – nie. Niemiecka część regionu zostaje więc demograficznie przetrzebiona.

I dlatego dziś największy odsetek osób deklarujących narodowość śląską czy znajomość języka śląskiego przypada na powiaty w międzywojniu polskie: rybnicki, pszczyński czy mikołowski.

Rok 1922 wpływa też na mentalność Górnoszlazaków. Region staje się Janusem o dwóch obliczach, zwróconych w dwóch kierunkach: Polski i Niemiec. To nadal jedna społeczność, ale pod tym względem trwale pęknięta na dwoje.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK

Festiwal Otwarcia w Zamku Królewskim na Wawelu

W dodatku m.in.

rozmowy o nowych ekspozycjach z kuratorami wawelskich zbiorów
oraz

dyrektorem Zamku Królewskiego na Wawelu prof. Andrzejem Betlejsem

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 29 CZERWCA

CO KREĆI GUPIKI

Dzięki eksperymentowi polskiej badaczki dowiedzieliśmy się, że preferencje seksualne u zwierząt nie muszą być wrodzone – mogą rozwijać się pod wpływem doświadczenia.

KATARZYNA DZIADOWICZ

GUPIKI MOGĄ SIĘ PODOBAĆ – SAMCE tego gatunku ryb charakteryzują się bogatym i różnorodnym ubarwieniem, które przyciąga wzrok i zainteresowanie fanów akwarystyki. Co jednak najważniejsze, nie jest obojętne samcom – wzory widoczne na bokach samców sprawiają, że niektóre z nich wydają się potencjalnym partnerkom bardziej atrakcyjne niż pozostałe.

Tylko skąd biorą się preferencje samic? Wyjaśnienia tłumaczące ich występowanie u wielu gatunków, nie tylko ryb, najczęściej koncentrują się na ich podłożu genetycznym. Zgodnie z takim podejściem, upodobanie wobec jakiegoś koloru można wyjaśnić np. jako skutek uboczny ewolucji.

Założmy, że do głębin dociera najwięcej fal światła o długości odpowiadającej widzeniu koloru czerwonego. W wyniku procesów ewolucyjnych układ sensoryczny ryb zamieszkujących te wody



może stać się lepiej przystosowany do wyraźnego widzenia w tych warunkach środowiskowych, a więc lepszego percypowania koloru czerwonego. Skutkiem ubocznym tego przystosowania do lepszego widzenia koloru czerwonego może być to, że samice zaczną wybierać partnerów posiadających ornamenty tego właśnie koloru (a poddane presji selekcyjnej samce będą ewoluować w kierunku posiadania najbardziej rzucających się w oczy samiec czerwonych ornamentów).

Okazuje się jednak, że wrodzone warunkowania nie muszą być jedynym źródłem preferencji samic. Jak wskazują badania przeprowadzone przez dr Magdalенę Herdegen-Radwan, ekologkę behawioralną z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, opisane niedawno w prestiżowym czasopiśmie „Proceedings of the Royal Society B”, istotną rolę w wykształcaniu się preferencji może odgrywać inny, dotychczas

rzadko brany pod uwagę w tym kontekście czynnik: uczenie się.

Ten kolor wróży coś dobrego

Gupiki są gatunkiem, który często wykorzystuje się w badaniach nad doбором płciowym. Wpływ na to mają głównie opisane już cechy – łatwo zidentyfikować samce na podstawie ich ornamentów, a samice posiadają wobec tych kolorowych plam preferencje. W tym przypadku zdobienia samców są więc tzw. cechami epigamicznymi – mają przyciągnąć zainteresowanie samicy. Dodatkowo, te ryby nie są agresywne, łatwo je utrzymać w dużych grupach, szybko się mnożą, a ze względu na to, że są jajożyworodne, nie ma trudności w przypisaniu potomstwa do matki (samica rodzi żywe młode, które wcześniej wykluły się z jaj w jej ciele).

Pierwszym celem eksperymentu dr Herdegen-Radwan była próba wykształcenia u gupików pozytywnych skojarzeń z określonymi barwami – czarną i pomarańczową. Ryby miały się wyuczyć tego związku na drodze uczenia asocjacyjnego. Badaczka zaczęła im więc dostarczać pożywienie w pobliżu umieszczonych przy ściankach akwarium kolorowych kartek – czarnych w jednej oraz pomarańczowych w drugiej grupie. Aby upewnić się, że z pokarmem zostanie skojarzony kolor, a nie sama pipeta, którą dostarczano smakołyki, na drugim końcu akwarium także pojawiał się ten przyrząd, ale dostarczał do akwarium jedynie wodę. Kiedy ryby pojadły, zza ścianek akwarium zabierano kartki, by ich obecność poza porą karmienia nie wpłynęła negatywnie na warunkowanie – tzn. by ryby nie miały szansy się przyzwyczaić, że kiedy widzą dany kolor, to nie dzieje się nic wyjątkowego.

Taką procedurę powtarzano przez trzynaście dni – autorka badania spodziewała się, że w ten sposób osobniki, poprzez skojarzenie koloru z przyjemnym, wynagradzającym posiłkiem, wykształcą wobec tego koloru preferencję. Odpowiadać miałyby za to prosty mechanizm warunkowania. Jeżeli pojawianiu się jakiegos bodźca (w tym przypadku koloru) towarzyszy inny bodziec, najlepiej nieobojętny emocjonalnie (pożywienie), to po pewnym czasie samo pojawienie się tego pierwszego będzie utożsamiane z odczuciami wywoływanymi przez ten drugi

– czyli z przyjemnością (w przypadku pozytywnego bodźca) lub nieprzyjemnością (gdybyśmy zastosowali bodziec awersyjny). W ten sam sposób Iwan Pawłow na początku XX w. sprawił, że psy zaczynały się ślinić, kiedy zapalano lampkę – po prostu pojawieniu się światła wcześniej wielokrotnie towarzyszyło podanie psom pełnej miski karmy. Po pewnym czasie organizmy psów rozpoczynały przygotowania do procesu trawienia w reakcji na samą zmianę oświetlenia.

W kolejnej fazie badania samicom prezentowano na monitorach nagrania samców o odmiennych wzorach. Kluczowa była tutaj ich barwa – niektóre miały tylko plamy w kolorze pomarańczowym, inne – w czarnym. Samice z grupy, w której jedzenie podawano blisko kartonika koloru pomarańczowego, faktycznie dłużej wpatrywały się w samce o pomarańczowym ubarwieniu niż samice z drugiej grupy, które warunkowano na kolor czarny. Taka różnica pomiędzy grupami nie była obecna przed procedurą warunkowania, a więc udało się potwierdzić jej wpływ na percepcję gupików – poprzez skojarzenie z pożywieniem, samice zaczęły uznawać za bardziej atrakcyjny nie tylko sam kolor, ale także ciągnęło je do wizerunków gupików o określonej kolorystyce. Wyglądało na to, że upodobania co do kolorów przełożyły się na preferencje seksualne wobec osobników o odpowiednich kolorach.

Co ciekawe, warunkowanie nie poszło równie skutecznie w obu grupach – gupiki, którym dostarczano jedzenie przy czarnym kartoniku, nie były aż tak chętne jak te z grupy „pomarańczowej” do wybierania samców o „właściwym” ubarwieniu. Może być to wynikiem mniejszej wrażliwości systemu nerwowego gupików na czarny kolor lub jeszcze jakichś innych czynników, których dotąd nie udało się zidentyfikować.

– Dla mnie najważniejszy był sam efekt warunkowania, który udało się potwierdzić w eksperymencie – mówi „Tygodnikowi” dr Herdegen-Radwan. – Wiele badań pokazuje, jak utrzymywane są istniejące już preferencje seksualne, a dużo mniej wiemy o tym, skąd one się biorą, dlatego ten mechanizm był dla mnie ważny. Zwłaszcza że uczenie asocjacyjne jest zjawiskiem, które występuje u ogromnej liczby gatunków, więc może to być mechanizm bardzo powszechny. Chociaż oczywiście →



GERARD ŁĄCZ / EAST NEWS

Gupik pawie oczko (Poecilia reticulata)
to popularna rybka akwariowa.

→ nie spodziewam się, że tłumaczy początki preferencji u wszystkich gatunków – dodaje badaczka.

Tego nie kocham, tego nie lubię

Samce gupików mogą próbować kopulować z samicami bez ich zgody, ale często w ramach zachęty prezentują potencjalnym partnerkom swoje kolorowe plamy.

Przyjmują wtedy przed samicą wyszukane i nietypowe pozy. Od tego, czy się spodoba, zależy, czy samica będzie chętna do współżycia, czy będzie starała się uciec. Co ciekawe, nawet jeśli samica zostanie zmuszona do kopulacji, to i tak po części od jej decyzji i preferencji zależy, czy będzie to, jak wiele potomstwa zdoła z nią spłodzić dany samiec.

Atrakcyjny syn i dobre geny

BIOLODZY znają kilka mechanizmów tłumaczących utrzymywanie się preferencji seksualnych samic u różnych gatunków. Dwa najważniejsze określa się mianem hipotez „atrakcyjnego syna” i „dobrych genów”. Niektóre z cech samców uznawanych przez samice za atrakcyjne mogą mieć wartość adaptacyjną – lub miały ją w przeszłości, gdy nie były jeszcze przesadnie rozwinięte. Załóżmy, że w jakimś gatunku samice preferują partnerów o najbardziej imponującym porożu. Jeśli poroże pomaga jego posiadaczom w przetrwaniu – np. może być wykorzystywane jako broń do walki z drapieżnikami – to kojarząc się z partnerem o imponującym porożu, samica zapewnia lepszą przyszłość swoim potencjalnym synom. Odziedziczka oni po ojcu imponujące poroże – a więc także będą mieć większe szanse w starciu z drapieżnikami.

JEDNAK CO CIEKAWIE,

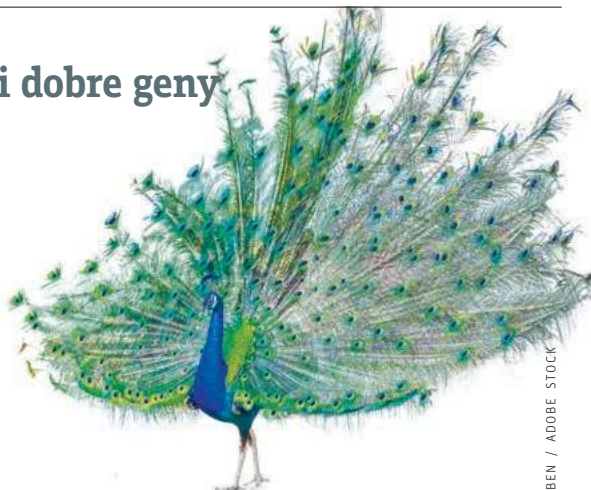
u wielu gatunków te cechy samców, które są atrakcyjne w oczach samic, wcale nie przydają się im w walce – czasem wręcz utrudniają samcowi przeżycie. Klasycznym przykładem są kolorowe ogony samców pawów, które przyciągają nie tylko uwagę partnerek,

ale także drapieżników. Dlaczego więc samice preferują samców o najbardziej wyszukanych ogonach, ryzykując, że ich synowie również będą bardziej narażeni? Jedno z wyjaśnień głosi, że osobniki posiadające tak „niepraktyczną” cechę jak kolorowy ogon musi być jednocześnie obdarzony wieloma innymi zaletami, które kompensują mu wszystkie wady kolorowego ogona. Ogon działa więc jak reklama jakości genetycznej osobnika – informuje samice o „dobrych genach” jego posiadacza. Podobne wyjaśnienie mówi, że tylko wyjątkowo zdrowe samce potrafią utrzymać swoje ozdobne cechy w nienagannej kondycji – piękne upierzenie może więc oznaczać, że samiec jest odporny na rozmaite pasożyty.

SAMICE mogą jednak także preferować cechy, które w żaden sposób nie reklamują jakości genetycznej

samca – takie zjawisko tłumaczy hipoteza „atrakcyjnego syna”. Jeżeli z jakiegoś powodu (np. w związku z ewolucją zdolności percepcyjnych) u samic pojawi się skłonność do wybierania samców o jakichś cechach (np. czerwonym upierzeniu albo wydłużonym ogonie), to te samice, które będą podążać za tą samą modą, same spłodzią synów, którzy będą atrakcyjni w oczach samic w danej populacji. Innymi słowy, samice, które wybierają „ładnych” partnerów (według kryteriów obowiązujących w danej grupie), z większym prawdopodobieństwem doczekają się również „ładnych”, mających powodzenie u partnerek synów. Hipoteza „atrakcyjnego syna” może tłumaczyć utrzymywanie się w przyrodzie nie tylko wrodzonych preferencji samic, ale także tych zapożyczonych przez uczenie się skojarzeniowe.

© © ŁK



BEN / ADOBE STOCK

– W zależności od tego, czy samiec im się bardzo podoba, czy raczej niezbyt, samice mogą w pewnym stopniu regulować to, ile plemników uda się jej partnerowi dostarczyć, i manipulować tym, od którego samca plemniki częściej zapłodnią jaja. Poza tym, jeśli pozwoli mu dłużej kopulować, to on więcej tych plemników przekaże, więc sukces zapłodnienia jest większy, jeśli odbywa się ono przy przyzwoleniu samicy – tłumaczy dr Herdegen-Radwan.

Badaczce pozostawało więc sprawdzić, czy wyuczone preferencje wobec kolorów znajdują odzworowanie w sukcesie reprodukcyjnym samców. W tym celu samce o różnym zabarwieniu umieszczano w jednym akwarium z samicami, gdzie miały zapewnioną swobodę zachowań reprodukcyjnych.

Wykonane na potomstwie testy DNA wykazały, że samice uwarunkowane na kolor pomarańczowy spłodziły więcej potomstwa z samcami, w których ubarwieniu dominował właśnie ten kolor. Potwierdza to hipotezę, że preferencje seksualne samic nabyte poprzez uczenie się asocjacyjne rzeczywiście przekładają się na wyniki reprodukcji.

– Dopiero wtedy, gdy preferencje samic przekładają się na sukces rozrodczy samców, mają ewolucyjne znaczenie – zauważa polska badaczka. I dodaje: – Jeżeli taki związek asocjacyjny będzie się mógł utrzymywać z pokolenia na pokolenie, bo środowisko będzie stabilne, to ta preferencja będzie się dalej przekładać na sukces rozrodczy samców. Możemy się wtedy spodziewać, że cechy epigamiczne samców będą pod wpływem tak nabytych preferencji ewoluować – ze względu na to, że te osobniki, które będą miały cechę preferowaną, będą po prostu pozostawiać po sobie więcej potomstwa.

Na razie nie jest jasne, w jak dużym stopniu mechanizm ten jest odpowiedzialny za wykształcanie się preferencji seksualnych samic w środowisku naturalnym. W laboratoryjnym akwarium bodźce niezawodnie sobie towarzyszyły, podczas gdy w naturze otoczenie jest znacznie bardziej chaotyczne i zmienne, dlatego warunkowanie może zachodzić słabiej.

Opisany eksperyment dowodzi jednak, że przy odrobinie sprzyjających okoliczności wykształcenie się takich preferencji jest możliwe – i musi wpływać na kształt kolejnych pokoleń. Najpewniej nie tylko gupików. © KATARZYNA DZIADOWICZ

TOMASZ

Stawiszyński:

Biedny inżynier Lemoine



BRZMI TO NICZYM POCZĄTEK NIEPOKOJĄCEGO filmu *science fiction* mierzącego się z potencjalnymi konsekwencjami rozwoju technologicznego, ale – wbrew pozorom – nie ma tu nic niezwykłego. Blake Lemoine, 41-letni inżynier pracu-

jący dla Google'a, został niedawno wysłany na przymusowy urlop (co – wszystko na to wskazuje – jest tylko preludium do zwolnienia) z powodu, jak to ujęła korporacja w specjalnym oświadczeniu, „złamania reguł poufności”. Lemoine pracował przy projekcie wyjątkowo zaawansowanego chatbota – czyli sztucznej inteligencji mającej za zadanie rozmawiać z ludźmi. Rozmawiać – co w tym przypadku istotne – na jak najwyższym możliwym poziomie imitacji. Najchętniej tak wysokim, żeby ludzki interlokutor nie zdawał sobie sprawy z tego, z kim tak naprawdę konwersuje. Słowem, żeby był przekonany, że gdzieś tam, po drugiej stronie wirtualnego lustra, znajduje się przedstawiciel tego samego gatunku, nie zaś artefaktyczna sieć neuronalna zdolna do wirtuozerskiego fałszowania procesu komunikacji. To znaczy generowania zdań o poprawnej strukturze semantycznej i syntaktycznej, niebędących wszakże ekspresją procesów mentalnych żadnego świadomego bytu.

W tym właśnie punkcie historia Lemoine'a oraz programu, nad którym pracował – o roboczej nazwie LaMDA (ang. *language mode for dialogue applications*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „tryb językowy do aplikacji dialogowych”) – zaczyna się robić ciekawa. Otóż, po wielogodzinnych rozmowach z chatbotem inżynier nabrał pewności, że ma do czynienia nie z wirtualną maszyną, lecz z... realnym podmiotem, którego procesy mentalne odpowiadają w przybliżeniu procesom mentalnym siedmioletniego dziecka. Założywszy, że wobec takiej kondycji mają zastosowanie zupełnie inne standardy aniżeli wobec konwencjonalnego programu, choćby i najbardziej zaawansowanego – Lemoine podjął, jak to określiła firma Google, szereg „samozwańczych agresywnych działań”. Przede wszystkim – opublikował bez zgody pracodawcy zapisy rozmów z LaMDA, które prowadził wspólnie z innymi zaangażowanymi w projekt programistami. Następnie zaczął starać się o zapewnienie chatbotowi reprezentacji prawnej, ponieważ uznał – skądinąd całkiem zasadnie – że świadoma istota, która na dodatek odczuwa emocje, powinna mieć, z racji swojego problematycznego statusu, własnego prawnika, który będzie umiał zadbać o jej interesy.

Do zatrudnienia prawnika jednak nie doszło, Lemoine został odesłany na przymusowy urlop, zespół ekspertów powołany przez Google'a natomiast orzekł, że nie ma absolutnie żadnych podstaw do przypisywania inkryminowanemu programowi świadomości. Jest to bowiem po prostu bardzo dobry program, którego wstępny projekt zakładał właśnie to, żeby komunikował się w sposób do złudzenia przypominający czło-

wieka, w tym także żeby sam sobie rozmaite ludzkie cechy przypisywał. A właśnie na tym – i tylko na tym – łatwomiernie oparł się Lemoine, który rozmaite autodeskrypcje tak przekonująco formułowane przez LaMDA wziął za dobrą monetę.

Ale czy rzeczywiście Lemoine wykazał się tak unikalną naiwnością? Czy też może jego historia jest, wbrew pozorom, reprezentatywna i ujawnia coś istotnego o specyfice niedalekiej przyszłości świata – przenikniętego technologią i samotnością, zastępującego realne więzi imitacją więzi? Przecież znakomita część – a często większość, jak to choćby się działo w pandemii – naszych interakcji z innymi to dziś interakcje wirtualne. Nie widzimy żywych ludzi, widzimy tylko ciąg liter układających się w wyrazy, które z kolei układają się w zdania. Nie widzimy żywych ludzi, tylko ruchome układy pikseli. Wiele spośród głosów, które słyszymy, to głosy elektronicznie przetworzone. Dodajmy do tego rozmaite substytucje bliskości, intymności, relacji, których dookoła pełno. Cyfrowe zwierzątka, które dokarmia się kliknięciem w smartfonie, ultrarealistyczne lalki-kochanki – wykonane z tworzywa do złudzenia przypominającego ludzką skórę i wyposażone w aparaty mowy – które można zaprojektować w najdrobniejszych szczegółach, zgodnie z najbardziej wyrafinowanymi fantazjami. Elektroniczni „pracownicy” banków albo urzędów, z którymi można prowadzić rozmowy nie tylko na czacie, ale i przez telefon.

Przyznajmy – już teraz z łatwością można się w tym wszystkim pogubić. I dlatego właśnie się gubimy. I będziemy się gubić jeszcze bardziej. Dokładnie tak, jak pogubił się biedny inżynier Lemoine, z którego śmieje się teraz cały świat (w tym – z całą pewnością – niejeden inteligentny i samoświadomy chatbot...). ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 196/22 toczy się postępowanie z wniosku Lidii Olearczyk o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Zabłotcach gm. Sanok oznaczonej numerem ewidencyjnym 138/6 o pow. 0,1589 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS15/00006669/9.

Wzywa się osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Jana Olearczyka, s. Michała i Marii, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 48/22, prowadzona jest sprawa o zniesienie współwłasności nieruchomości niezabudowanej, położonej w Sanoku, obręb Posada, gmina Sanok Miasto, powiat sanocki, województwo podkarpackie, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 808, o pow. 0,0311 ha, ujawnionej w niezamkniętym LWH 138 dla gminy Sanok II.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Sanoku i wykazali swoje prawa do udziałów w powyższej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd dokona zniesienia współwłasności bez ich udziału.

NIM WEJDA ZWIERZĘTA

Leo Lipski, uwięziony w chorym ciele,
dążył je i rozdłubywał,
oddawał w języku najintensywniejsze doznania.

PIOTR PAZIŃSKI

PISARSTWU LEO LIPSKIEGO, CHOCIAŻ zbiory jego utworów („Powrót”, Instytut Literacki 2015, i poszerzona wersja „Proza wybrana”, Czarne 2022, obydwa w opracowaniu Agnieszki Maciejowskiej) od jakiegoś czasu są obecne na rynku, a nawet doczekały się wnikliwych omówień, nadal towarzyszy aura niedowierzania. To ktoś taki istniał? Jak to możliwe, że o nim nie mówiono? Skąd się wziął i skąd wzięła się niebywała intensywność jego prozy, zmysłowej, obsesyjnej, a zarazem oszczędnej i skondensowanej, unurzanej w fizjologii (zwłaszcza jej „najniższych” wydalinczych rejonach), rozdartej między erotyczną ekstazą a koszmarnym bólem?

Jej autor urodził się w 1917 r. w Zurychu jako Leo Lipschütz. Kilka lat później rodzina przeniosła się do Krakowa, tam Leo spędził resztę dwudziestolecia, ukończył gimnazjum, rozpoczął studia psychologiczne i opublikował kilkanaście opowiadań w prasie studenckiej (niestety, nie ma ich w edycjach pism zebranych). Tuż po wybuchu wojny ewakuował się wraz z bratem i grupką przyjaciół (była wśród nich narzeczona, Ida Elbinger, nieodżałowana, wielka miłość Lipskiego – wróci do Krakowa, zginie na ulicy podgórskiego getta) do Lwowa. Tam bracia Lipschützwowie zostali aresztowani przez NKWD, trafili do łagru, następnie do Uzbekistanu, gdzie Leo cudem uniknął śmierci na tyfus, po czym z armią Andersa dotarli do Tehe-

ranu. W Teheranie na Lipskiego spadł kolejny cios: ciężkie zapalenie płucnej, które razem z atakiem epilepsji uczyniło go niezdolnym do służby wojskowej (brat Staś pozostanie w armii, zginie pod Monte Cassino).

W styczniu 1945 r. Leo, świadom, że straciwszy brata we Włoszech i bliskich w Polsce, został na świecie sam, pojechał do Bejrutu, z nadzieją na ukończenie studiów. W Bejrucie wymęczony chorobami organizm upomniął się o kolejną daninę: Lipski doznał udaru mózgu. Jego skutkiem był przejściowy paraliż prawej strony ciała i afazja, a potem niedowład ręki i kłopoty z poruszaniem się. Kolejne wylewy i udary, już w Izraelu, dokąd Lipski dotarł przed powstaniem państwa, pogłębiły kalectwo, przyniosły problemy artykulacyjne i z czasem zupełnie wyłączyły go z aktywnego życia.

Osiadły w 1947 r. w Tel Awiwie, żyjący z zasiłków, zależny od przyjaciół i lekarzy, nie nauczył się hebrajskiego i nigdy do końca nie odnalazł w izraelskiej rzeczywistości. Spędził tam resztę swoich lat, z czego 37 pod opieką Łucji Gliksmann, najpierw partnerki, następnie przede wszystkim pielęgniarki, tyleż gorliwej, co surowej strażniczki jego życia i pisarskiego dorobku. Zmarł w 1997 r.

„Zagęszczenie śmierci”

Pisać, jak powiedziano, Lipski zaczął jeszcze przed wojną. Powrócił do tego zaję-

cia w Iranie, notując w brulionie pierwsze pomysły i szkice późniejszych utworów. Przedrukowane w najnowszej edycji Czarnego, ukazują proces twórczy, od początku powolny, polegający na maksymalnej kondensacji myśli i obrazu, na stopniowym, organicznym przekształcaniu materii pisarskiej od rodnika po gotowy utwór – przy czym proces taki mógł trwać nawet kilkanaście lat. W Iranie powstały fragmenty łagrowej noweli „Dzień i noc” i równie wstrząsająca „Waadi” – obrazek z taszkienckiej umieralni dla chorych na tyfus („Zagęszczenie śmierci w kraju, który zamieszkują, jest nieprawdopodobne”), notatki do „Piotrusia” oraz zrab „Niespokojnych”, pierwszej i najdłuższej powieści Lipskiego.

„Niespokojni”, rzecz z kluczem, osadzona w środowisku studenckim w Krakowie, nosi w sobie atmosferę Dwudziestolecia, szczególnie tych jego nurtów, nie tak licznych w literaturze polskiej, które łączą erotykę z groteską. Słysząc tu Gombrowicza, a jeszcze bardziej zapomnianego dziś Romana Jaworskiego, autora „Historii maniaków”. Powieść, ukończona w Tel Awiwie w 1948 r., ukaże się dopiero po śmierci Lipskiego. Literacko do Krakowa Lipski powróci tylko raz, ➔

Leo Lipski, zdjęcie niedatowane



ARCHIWUM EMIGRACJI BIBLIOTEKI UNIwersYTECKIEJ W TORUNIU

→ w pisanim w latach 70. „Sarnim braciszku”. Opowie tam o wielodzietnej rodzinie z rogu Miodowej i Bożego Ciała. Zagłada krakowskich Żydów pozostała dla niego jęczącą się raną.

W Tel Awiwie pisanie Lipskiego nabrało pewnego rozpędu (jeśli można mówić o rozpędzie w przypadku autora, którego dzieło mieści się w jednym, wcale nie pękającym tomie). Było to możliwe dzięki opiece, jaką roztoczyli nad Lipskim przyjaciele, ale przede wszystkim dzięki Irenie Lewulis, „drugiej i przypuszczalnie ostatniej kobiecie, którą kocham”, której Agnieszka Maciejowska, niekryjąca dystansu do Łucji Gliksmann, oddaje po latach sprawiedliwość.

Lipski poznał Irenę w Tel Awiwie. Zamężna Lewulis miała za sobą ciężkie doświadczenia wojenne: spędziła wojnę we Francji, walczyła w ruchu oporu, była torturowana na gestapo. Lewulisowie zaopiekowali się inwalidą, udostępnili pokój w swoim mieszkaniu, i wtedy para nawiązała romans – dla obydwójga niezwykle ważny. Lewulis dopingowała Lipskiego do pisania, przypuszczalnie miała swój udział w ostatecznej redakcji „Niespokojnych”, była też pierwszą czytelniczką jego prozy.

Wyjazd Lewulisów do Australii w 1953 r. był dla Lipskiego tragedią. Kochankowie już nigdy się nie spotkali, kochali się w listach. Ich piękna korespondencja miłosna (Maciejowska dopuszcza nas wyłącznie do jej fragmentów), rzecz niebywalej intensywności emocjonalnej, stanowi dla interpretacji pisarstwa Lipskiego źródło o kapitalnym znaczeniu.

„Książka z Niczyjkraju”

Z grubsza w tym czasie Lipski, ośmieszony przez Irenę i przyjaciół (był wśród nich szalony pianista Jan Holcman, łagrowy przyjaciel Józefa Czapskiego, autor liczących niekiedy setki stron listów, który w 1963 r. popełnił samobójstwo w Nowym Jorku), szukał możliwości publikacji. W kraju Jarosław Iwaszkiewicz nie wyraził zainteresowania „Niespokojnymi”; pisarze emigracyjni, tacy jak Józef Wittlin, mieli inne zmartwienia, może zresztą na prozę Lipskiego, skupioną na ciele, erotyce i „niskiej” śmierci, zaraz po wojnie faktycznie nie było miejsca.

A jednak Lipskiemu się udało, człowiekiem zaś, który wyciągnął do niego



Leo Lipski z tomem „Opowiadań zebranych”. Tel Awiw, 1989 r.

rękę i opublikował niektóre utwory, był Jerzy Giedroyc, przekonany, nie pierwszy i nie ostatni raz, przez Konstantego Jeleńskiego. W „Kulturze” ukażą się opowiadania, tam też, jako osobna książka, wyjdzie w Instytucie Literackim „Piotruś” (1960). Na publikację „Niespokojnych” Giedroyc się nie zdecyduje, z obawy przed skandalem w konserwatywnych środowiskach emigracyjnych.

Redaktor miał swoje racje. Większość czytelników „Kultury” raczej nie była przygotowana na spotkanie z Lipskim. Jego proza była dziwaczna, obsceniczna, erotyczna i skatologiczna, a w dodatku („Piotruś”) osadzona w odległych dla polskiej emigracji realiach Tel Awiwu. Ale nie dla wszystkich. Charakterystyczne,

że Lipski spodobał się ludziom, którzy (jak Czapski) mieli za sobą doświadczenie sowieckich łagrow, przeszli szlak bojowy przez Persję i posmakowali w(Giedroyc) atmosfery Mandatu Brytyjskiego.

Skądinąd, wbrew legendzie o chorym pustelniku (lubimy takowe, *vide* Kafka), Lipski utrzymywał intensywne kontakty z intelektualnym światem. Korespondował nie tylko z ludźmi z kręgu „Kultury”, ale wymieniał listy m.in. z Martinem Buberem i Ingeborg Bachmann. Jego „Piotruś” odniósł pewien sukces, w 1967 r. doczekał się edycji niemieckiej (oraz skandalu w Austrii, gdzie powieść uznano za pornograficzną i chciano ścigać jej autora). To wtedy Bachmann, pró-

bując w recenzji określić izraelsko-nieizraelskie pisanie Lipskiego, wymyśliła frazę *das Niemandslandbuch* – „książka z Niczyjkraju”.

Rzeczywiście, „Piotruś”, literackie arcydzieło, bez wątpienia najważniejszy utwór Lipskiego, ukazuje Tel Awiw-Jafę („w Palestynie, na Ziemi Świętej, gdzieś wiosną 194...”) tyleż jako orientalny tygiel etniczny i niezgłębiony labirynt ulic, podwórek i domów, co miasto pełne językowo wykluczonych outsiderów, przybyszów skądinąd, przyjezdnych na chwilę. Każdy jest tu u siebie i zarazem nie jest: Piotruś (jego kalektwo i wspomnienia z Teheranu sugerują powinowactwo z autorem), przedsiębiorcza pani Cin, jej dziki syn Edek, kłótlive małżeństwo stęsknione za polskimi smakami, utyskujące na wszechobecną, obcą im hebrajszczyznę, która zaraz zagarnie im córkę, niemiecki psychoanalityk, sztetlowy handlarz starzyzną, nawołujący: „Alte Sachen”...

Izraelska wieża Babel przyciąga chętnych imigrantów, usidla i zaraz wypływa, męczy obietnicą nowego i paraliżuje, udziela schronienia i odbiera rozum oraz siły. Nawet Batia, bratanica pani Cin, doświadczona erotycznie piętnastoletnia malarka, wychowana w kibucu i „tutejsza”, pragnie uciec do Paryża. Tylko jej ojciec, poeta i emigrant z Niemiec, szlifujący nocami swoje *szirim* (hebrajskie słowo każe domyślać się, że nie idzie o zwyczajne wiersze, ale podniosłe hymny, zanurzone w wiekach tradycji), jest chyba u siebie. On jednak jest zdecydowanie wariatem.

A wszystko to w mieście, nad którym ciężkie słońce zwisa „niby olbrzymi, świecący owoc” i gdzie chamsin dręczy duszę i napełnia usta piaskiem. Gdzie zamiast opalonych kibucników żyją złodzieje i alfonsi, zamiast idealistycznych pionierek – prostytutki i lubieżne mieszkanki dybiące na kochanka. I gdzie w miejsce podniosłych rozmów o Kraju prowadzi się sąsiedzkie pogawędki o spółkowaniu, skrobaniach i wypróżnieniach, czyniąc to w rozmaitych językach. Tel Awiw, babeliczna minimetropolia nierządu i chaosu, w niczym nie przypomina Białego Miasta z bauhausowo-syjonistycznego mitu. Tel Awiw, a bardziej jeszcze stara Jafa, z której się wyklął, to raczej „miasto-drzewo, które pomału rośnie lub karłowacieje, z tysiącnymi przybudówkami, a na nich znów

LEO LIPSKI:

Język, którym myślę,
rozpada się i kruszy.
Jest niby-mamrotaniem
starych kobiet, co moczą
biskwopty w mleku.
Gwałtowna atrofia: kurczę się.
Zostaje ze mnie tylko fasada,
która mówi, śmieje się.

przybudówki lub przybudówka i w niej
pokoik wielkości klozetu”.

Lipski i Agnon

Fascynujący, choć zarazem mało pokrzepiający obraz, który aż prosi się o jakąś przeciwwagę. Ale czy koniecznie? Być może, zamiast wyszukiwać dla Lipskiego bardziej „patriotyczną” kontrainnację z głównego nurtu „pokolenia państwa”, autorów stawiających na doświadczenie zbiorowe i opisujących, przynajmniej do czasu, tworzenie się nowego narodu, pożyteczniej byłoby (jak uczynił wydawca niemiecki w 1967 r.) zestawzić go z Szmulem Josefem Agnonem.

Na pierwszy rzut oka trudno o dziwniejsze połączenie: tu jeden z ojców założycieli nowoczesnej literatury hebrajskiej, laureat Nagrody Nobla i stateczny pan z 50-szekłowego banknotu, tu emigrant, piszący w języku diaspory, znany garstce polonusów i dotąd w całości nieprzełożony na hebrajski. A przecież właśnie Agnonowi zarzucano brak konstruktywnego zaangażowania w życie nowego państwa, czarnowidztwo i oglądanie się wstecz – ku diasporze i żydowskiej historii. W swojej największej powieści, „Tmol Szilszom” („Zaledwie wczoraj”), pisanej w Jerozolimie podczas II wojny światowej, a osadzonej w tureckiej Palestynie, Agnon ukazywał ambiwalencję żydowskiego „powrotu” do Ziemi Izraela, głębokie tożsamościowe pęknięcie między Izraelem a Golusem i przepowiadał nieunikniony konflikt między świeckim a religijnym Izraelem, pobożną Jerozolimą a bezbożnym Tel Awiwem.

Pisarski projekt Lipskiego może nie jest aż tak ambitny, w każdym razie nie przyświeca mu potrzeba dokumentowania lo-

sów kraju i narodu. Idzie o doświadczenie skrajnie osobne, ale niepozbawione przecież historyczno-geograficznego kontekstu. Nie przypadkiem opis Jafy kończy się klozetem. Klozet, miejsce poniekąd idealne dla fekalno-skatologicznej wyobraźni Lipskiego, okazuje się jedynym możliwym schroniskiem w chaotycznym, upadłym świecie.

Piotruś, zakupiony razem z dobytkiem na arabskim szuku przez panią Cin, ma w zamian za wikt i opierunek blokować toaletę, wspólną dla całego domu. Klozet staje się jego zakładem pracy, domem nauki (osadzony całymi dniami studiuje encyklopedię), a przy tym jedynym miejscem w Ziemi Świętej, gdzie słysząc dochodzące skądś żydowskie modlitwy. Jedną z nich – włożoną w usta zwariowanej dziewczynki – brzmi: „Dawid melech Israel” („Dawid król Izraela”). Ostatnie słowo, rozbite na sylaby, w polskim uchu (Lipski uwielbia takie homonimiczne zabawy) brzmi szczególnie obrazoburczo: *I sra El*. Poniekąd wyjaśnia ono, czemu Lipski zaopatrzył „Piotrusia” w podtytuł „apokryf”. Jego powieść jest apokryfem do oficjalnej historii. A właściwie apokryfem dla górnych warstw rzeczywistości.

Uwięziony

Albowiem Lipski to przecież nie tylko i zgoła nie przede wszystkim izraelskość, czy jej brak. Idzie o artystę skrajnie osobnego, który tak jak Piotruś był zamurowany we własnym cieple i stamtąd badał możliwości języka. Pisząc ostatnie akapity swojego apokryfu, Lipski mógł mieć w pamięci frazę z opowiadania „Dodo” Brunona Schulza, ale nie musiał. Starczyła choroba i to ona podyktowała mu niezwykle zamykające zdanie: „I wtedy wejdą zwierzęta do twojego pokoju i siadą na tobie spokojnie, jak na kamieniu i ziemi”.

Choroba zresztą naznaczyła całe jego pisarstwo, przy czym nie idzie wyłącznie o temat, który najsilniej doszedł do głosu w „Piotrusiu”. Częściowo sparaliżowany inwalida, wystukujący zdania na maszynie jedną ręką, tworzący wyłącznie w krótkich okresach lepszego samopoczucia, gdy nie otumaniały go środki przeciwbólowe, najzwyczajniej nie mógł sobie pozwolić na tworzenie rozwlekłej prozy, musiał rozważnie dobrać słowa, budować zdania najpierw w głowie, by oszczędzać siły niezbędne do ich zapisania.

→ „Muszę bowiem jedną rzecz wyjaśnić: dziesięć miesięcy na rok jest dla mnie stracone. Powody: zdrowie, klimat, warunki mieszkaniowe” – tłumaczył Giedroyciowi przyczyny niskiej produktywności. Dlatego proza Lipskiego jest tak ścisła i esencjonalna, a jednocześnie najdalsza od wykoncypowanej kombinatoryki. Przeciwnie, jest krańcowo zmysłowa, wręcz namacalna. Tak samo jak jego cielesność. Lipski, uwięziony w chorym ciele, drążył je i rozdłubywał, próbował oddać w języku najintensywniejsze doznania. Przypomina w tym chorego na gruźlicę kości rumuńskiego prozaika Maksa Blechera, który zmuszony spędzać długie miesiące zagipsowany od stóp do głów, pisał o udręce, fizjologii i ekstazie z wnętrza swojego kamiennego kokonu.

Z kondycją kaleki ściśle powiązana jest sprawa języka. Lipski był emigrantem i na domiar złego przeszedł afazję. Przywiązany do przedwojennej polszczyzny, jedyne medium, w którym umiał się poruszać, próbował ratować z niej, co się da, a ona wymykała mu się z rąk, tłumiona przez szwankującą pamięć i kłopoty z mówieniem, zagłuszana nowym językiem. Znany i często przywoływany fragment telawiwskich medytacji Piotrusia to mowa własna Lipskiego, z listu do Ireny Lewulis: „Język, którym myślę, rozpada się i kruszy. Jest niby-mamrotaniem starych kobiet, co moczą biskopki w mleku. Gwałtowna atrofia: kurczę się. Zostaje ze mnie tylko fasada, która mówi, śmieje się”.

Może dlatego odzyskiwaniu okrucichów rozsypanej mowy, polszczyzny z różnych rejestrów (np. w ostatnich sekwencjach „Piotrusia” i w nieukończonych noweli „Miaśteczko” – kresowej, silnie naznaczonej tamtejszym językiem) oraz gorączkowemu przypominaniu sobie obrazów, wrażeń, zapachów, dotyku czyjegoś ciała, śmierci człowieka – towarzyszą szydercze parodie szacownych nazw, uświęconych stuleciami tradycji. Co może zrobić zamurowany pisarz? Bardzo: Opa. Na przykład napisać zdanie: „Opadają wyrazy szepcane w mroku”.

© PIOTR PAZIŃSKI

Spartakus tańczący

DARIUSZ KOSIŃSKI

Polski teatr od trzech dekad walczy o prawa mniejszości. Nie mogą zmienić rzeczywistości, zaczęli wytwarzać własną.

HISTORIĘ PRZEMIAN I ROZUMIENIA funkcji społecznej teatru w Polsce ostatnich dekad można opowiedzieć poprzez sposoby, na jakie zmieniał się i zmienia sposób przedstawiania osób o orientacji seksualnej i identyfikacji płciowej inna niż dominująca i normatywna. Zarówno wyjściowe motywacje, jak i konsekwencje poświęcania szczególnej uwagi osobom LGBTQ+ mają dla naszych scen znaczenie także dlatego, że te konsekwencje niekoniecznie są zawsze pozytywne tak dla teatru, jak i dla walki o prawa mniejszości seksualnych czy dążenia do większego społecznego zrozumienia osób transpłciowych. Praca nad tymi zagadnieniami prowadzi do powracających oskarżeń o propagowanie „ideologii gender” ze strony tych, którzy za jedyną możliwą do propagowania uznają ideologię „Boga i ojczyzny”.

Dzisiaj jednak jesteśmy świadkami ważnego, być może zasadniczego przełomu.

Anioły w Warszawie

Pierwszy zwrot nastąpił w latach 90. Po szoku gwałtownej utraty znaczenia sceny jako medium obdarzanego specjalnym autorytetem polskiej inteligencji, teatr stał się sztuką mniejszościową, by nie powiedzieć: zmarginalizowaną. To rozpoznanie owocowało i owocuje w niemałej liczbie przypadków zniechęceniem i zleniwieniem, ale prowadzi też do twórczego uznania, że teatr powinien świadomie stanąć po stronie mniejszości i stać się narzędziem oporu wobec coraz bardziej bezwzględnego dyktatu większości, stanowiącego podstawę ustroju politycznego i powszechne doświadczenie codziennego życia w Polsce.

Wprawdzie teatr od „zawsze” (czyli od czasów Szekspira) zajmował się mniejszością, oddając głos pełnej wahań, rozdwojonej w sobie jednostce (stąd jego paradygmatycznym bohaterem jest Hamlet), ale w dziejach polskiego teatru, który przez ponad 200 lat żył w przekonaniu, że „sil-

niej niżeli dusza mówi z ciałem / rozmaia scena ze sercem narodu” (Jan Nepomucen Kamiński), zwrot ku mniejszościom miał znaczenie fundamentalne.

Ponieważ mniejszości seksualne i wówczas, i dziś pozostają w szczególnie wyrazistym konflikcie z tym, co większość uznaje za „normalność”, należały one do grup, z którymi rodzący się w latach 90. „nowy teatr” zawarł szczególny kontrakt lojalnościowy. A głównym przedstawicielem tego nurtu był Krzysztof Warlikowski. Od „Poskromienia złośniczy” ze słynną sceną uczenia kobiecości przez drag queens, przez „Oczyszczonych”, w których płciowość bez osłonek była pokazywana jako konstrukcja przemocą wyciskana na ciałach, po „Anioły w Ameryce” i „Kabaret warszawski”, gdzie głos środowisk mniejszościowych stawał się głosem centralnym, reżyser ten czynił nienormatywną tożsamość płciową obszarem ujawniania złożoności procesu walki o własną niepowtarzalność przeciwko siłom społecznej opresji.

Upraszczając nieco, można jednak powiedzieć, że choć samo to ujawnienie miało znaczenie polityczne i społeczne, to zarazem odbywało się przez rozpoznanie czynione w ramach badań nad przeżyciami szczególnych jednostek. Nie miało więc wymiaru i celu politycznego (może z wyjątkiem „Kabaretu warszawskiego”). Oczywiście przedstawiając osoby LGBTQ+, Warlikowski jednoznacznie opowiadał się za przyznaniem im pełni praw, ale jako artystę zdawały się go interesować raczej studia przypadków.

Wyłom i reakcja

Taka postawa była niekiedy atakowana jako „artystowska” przez nieco młodsze reżyserki i reżyserów, którzy deklarowali polityczne cele swoich działań. Dobrymi przykładami strategii wybieranych przez te twórczynie i twórców są przedstawienia dwóch reżysersko-dramaturgicznych duetów: „Tęczowa trybuna 2012”



PIOTR NYKOWSKI / TEATR WSPÓŁCZESNY W SZCZECINIE

„Spartakus. Miłość w czasach zarazy”, reż. Jakub Skrzywanek, premiera 13 maja 2022 r. w Teatrze Współczesnym w Szczecinie.

Pawła Demirskiego i Moniki Strzępki (Teatr Polski we Wrocławiu, 2011) oraz „O mężnym Pietrku i sierotce Marysi” Jolanty Janiczak i Wiktora Rubina (Teatr Polski w Poznaniu, 2018). Dzieli je dystans siedmiu lat i odmienność podejścia. Łączy to, że stanowią wyraziste przykłady swoistej teatralnej fantazji na temat społecznej (nie)uznawalności nienormatywnych orientacji seksualnych i identyfikacji płciowych.

„Tęczowa trybuna 2012” oparta była na koncepcie symulacji społecznej akcji ubiegania się o stworzenie w czasie nadchodzących wówczas piłkarskich Mistrzostw Europy w Polsce i Ukrainie specjalnych trybun dla kibiców LGBTQ+. Z kolei poznańska „bajka dla dorosłych” stanowiła rodzaj mniejszościowej historii alternatywnej, dotyczącej Marii Konopnickiej, która nie ukrywa, a wręcz celebrowa swój związek z Marią Dulebianką.

O ile przedstawienie Demirskiego i Strzępki chciało interweniować w teraźniejszość, o tyle spektakl Janiczak i Rubina stanowił interwencję w historię, próbę jej przejęcia i zreinterpretowania. Oba zmierzały do przeformowania przekonań i zachowań odnoszących się do osób LGBTQ+, zgodnie z zasadą wprowa-

dzania politycznych zmian nie przez agitację, ale przewrotne wykrzykiwanie i sceniczne wytwarzanie alternatywy, która jednak ukazywana była jako osobliwość, fantazja, „bajka dla dorosłych” śniących o niemożliwym.

Fantazyjność snów o jawności, równości i – proszę wybaczyć użycie tego obrzydzonego słowa – tolerancji stała się w ciągu lat dzielących te dwa przedstawienia jasna jak płomień niszczący 11 listopada Tęczę na placu Zbawiciela w Warszawie. Z każdym rokiem stawało się coraz bardziej oczywiste, że przeprowadzany przez środowiska intelektualne i artystyczne proces emancypacji i uznania równości osób o nienormatywnych tożsamościach płciowych zakończył się porażką.

Jej spektakularnym dowodem, a zarazem aktem restauracji wykluczenia stał się niesławny list Episkopatu na Niedzielę Świętej Rodziny roku 2013, od którego rozpoczęła się partyjno-kościelna kampania przeciwko „ideologii gender”. Podłączona do niej polityka propagandowa prawnicy błyskawicznie dowiodła, jak ograniczony jest zasięg intelektualno-artystycznych rozpoznań i praktyk. To, że już w latach 90. przepracowaliśmy

na akademiach, w galeriach i na scenach tezy Judith Butler, okazało się nie mieć znaczenia. Wystarczyło parę pojęć jak cepy, żeby obudzić pokłady nienawiści.

Wynikiem tej przegranej nie było tylko uświadomienie nieskuteczności racji intelektualnych czy utraty wysokiej pozycji w hierarchii oddziaływania na społeczeństwo. Jej najbardziej przerażającym skutkiem są realne cierpienia osób nie należących do stołecznych elit, często niemal zupełnie bezbronnych wobec sojuszu rządzących Polską, prawdziwie śmiercionośnych ideologii.

Wiktor nie znaczy zwycięzca

To właśnie im poświęcony jest „Spartakus. Miłość w czasach zarazy” zrealizowany w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. Choć łączy kilka różnych historii zaczerpniętych z reportażu Janusza Schwertnera, materiałów dokumentalnych i rozmów, to jego szczególnym bohaterem jest transpłciowy Wiktor, piętnastolatek, który w kwietniu 2019 r. popełnił samobójstwo po serii upokarzających doświadczeń związanych z jego identyfikacją.

Spektakl według scenariusza Weroniki Murek i Jakuba Skrzywanika (reżysera całości) rozpoczyna się od przybycia →



Po lewej:
„Tęczowa trybuna 2012”,
reż. Monika Strzępka,
premiera 5 marca 2011 r.
w Teatrze Polskim
we Wrocławiu.

Po prawej:
„O mężnym Pietrku
i sierotce Marysi. Bajka
dla dorosłych”,
reż. Wiktor Rubin,
premiera 27 października
2018 r. w Teatrze Polskim
w Poznaniu.

→ Wiktora (Anna Januszevska) i jego matki (Maria Dąbrowska) na oddział psychiatrii dziecięcej w szpitalu w Józefowie pod Warszawą.

Na scenie został on zbudowany przez debiutującego w roli scenografa Daniela Rycharskiego z odwołaniem do jego pracy „Jarzmo”, wykorzystującej realne elementy chlewni. Rozległą przestrzeń znajdującą się tuż przed pierwszymi rzędami widowni wypełniają wysypane słomą boksy wyznaczone przez żeliwne wygrozdzenia. Zapełniają je nieletni pacjenci grani przez dojrzałe aktorki i aktorów, podczas gdy w rolach personelu i rodziców występują młodszy członkowie zespołu. Takie odwrócenie relacji działa z niezwykłą siłą, bo dzięki mistrzostwu szczecińskich aktorek i aktorów, nie widząc dziecięcych pacjentów, widzimy to, przez co przechodzą na przepelnionych, niedoinwestowanych i przesiąkniętych codziennym okrucieństwem i rutynową niechęcią oddziałach psychiatrycznych.

Spektakl nie demonizuje przy tym personelu – pielęgniarki i pielęgniarze są mili, lekarz zapracowany, więc zrozumiałe, że czasem traci cierpliwość. Zasadniczo bez trudu można uznać, że niczemu nikt tu nie jest winien, bo to przecież kwe-

stia systemu, o którego dysfunkcjach pisze się od lat. Jednak stopniowo jasna staje się osobista odpowiedzialność osób pracujących na oddziałach psychiatrii dziecięcej nie tylko za brak empatii, ale też aktywne poniżanie, pozbawianie praw i znęcanie się, ledwo maskowane jakimiś rzekomymi metodami terapeutycznymi. Kulminacją narastającej fali przemocy jest gwałt na jednej z pacjentek, w którego ukrywaniu bierze udział personel.

Rodząca wręcz fizyczny ból realność historii pokazywanych w pierwszej części budowana jest na relacji między sceniczną prezentacją a podawanymi na ekranie liczbami i materiałami. Sprawnie skonstruowana dramaturgicznie kompozycja kilku różnych historii pochodzących z różnych oddziałów mogłaby bez trudu zostać wyjęta z tych dokumentalnych ram i funkcjonować jako współczesny polski odpowiednik „Lotu nad kukułczym gniazdem”. Wyobrażam sobie nawet, że ktoś mógłby ów wykrojony dramat wystawić z takim samym aluzyjnym nastawieniem, z jakim Zygmunt Hübner zrealizował w roku 1977 głośną teatralną adaptację powieści Kena Keseya, i obawiam się, że taka alegoria współczesnej Polski wcale nie byłaby przesadzona.

Skrzywanek jednak nie wydaje się tym zainteresowany. Swoją kolejną teatralną rekonstrukcję osadza w kontekście liczb i przykładów opisujących skalę i powagę zjawiska, jakim są samobójstwa nieletnich, w tym szczególnie nieletnich poniżanych ze względu na nienormalną identyfikację płciową.

Diagnoza jest jednoznaczna – „normalność” i „naturalność”, która rządzi Polską, powstaje poprzez terror wobec wszystkich ją naruszających. Jej władza wbrew nieustannym dewocyjnym deklaracjom wyklucza miłość, bo podstawową zasadą jakkolwiek rozumianej miłości jest rezygnacja z własnego roszczenia i realne otwarcie się na innego.

Multiplikowany zgrzyt i huk zatrząskiwanych metalowych boksów, co chwila rozlegający się w przedstawieniu, potwierdza, że żadnego otwarcia tu nie ma. Systemowo i po ludzku większość Polaków zgodziła się i wciąż godzi na uznanie prawa do nienawiści jako ceny za podtrzymanie złudzenia normalności i zachowanie jego władzy.

Wir realności

Gdyby w tym momencie przedstawienie się skończyło, byłoby kolejną odartą ze



MAGDA HUECKEL / TEATR POLSKI W POZNANIU

złudzeń, krytyczną i drapieżną diagnozą, po której nawet najbardziej przejęci wyszliby z teatru w takim samym poczuciu, z jakim patrzymy codziennie na wojenne wiadomości: „To straszne, ale co możemy zrobić?”. Twórcy szczecińskiego przedstawienia w finałowej sekwencji świadomie wykorzystują jednak performatywną moc teatru, by wspólnie z nami zrobić coś niezwykle realnego, choć przecież będącego fantazją.

Ostatnia scena dedykowana pamięci Wiktora to realizacja jego marzenia o wspólnym życiu z ukochanym. Realizacja w dzisiejszej Polsce niemożliwa prawnie, zostaje przeprowadzona w szczecińskim teatrze. Gdy na przesłaniającym głębi sceny ekranie pojawia się dedykacja, słysząc zza niego narastającą ludową pieśń, której akompaniują skrzypce. Po chwili kurtyna się podnosi i cała przestrzeń eksploduje.

To, co Skrzywanek, Rycharski i zespół aktorski we współpracy z członkiniami Koła Gospodyń Wiejskich ze wsi Stołbno stworzyli w tej części, ma wprost niewiarygodną siłę, której nie będę próbował opisywać nie dlatego, że to niemożliwe, ale żeby nie psuć wrażenia tym, którzy zechcą doświadczyć jej sami. Powiem tylko, że za-

czynia się prawdziwie radosne wirowanie ludowej zabawy, queerowanego nienormatywnego wesela, które jest celebrazją życia i miłości, ogarniającej i przepajającej stworzenie radości z tego, że świat jest różnorodny i mnogi.

Ten weselny wir stanowi świąteczny wstęp i oprawę dla ślubu, którego Beata Zygarecka udziela jako przedstawicielka „publicznej instytucji kultury”, biorąc nas na świadków. Ślub jest realny – na każdym przedstawieniu bierze go inna para osób niespełniających prawnego wymogu, zgodnie z którym związek małżeński mogą zawrzeć w Polsce tylko osoby płci przeciwnej. Nieco zawstydzeni młodzi przy akompaniamencie weselnych pieśni są wprowadzani na scenę z pierwszego rzędu i przy naszym udziale stają się małżeństwem.

Sala jest wręcz w euforii, choć przecież wszyscy wiemy, że jesteśmy w teatrze, a ślub jest prawnie nieskuteczny. Ale czy to znaczy, że będąc jego świadkami i ciesząc się z nowożeńcami niczego nie zrobiliśmy? Nieprawda!

Nie mam żadnych wątpliwości – byłem świadkiem na ślubie dwóch zakochanych chłopaków i ten ślub był realny, nawet jeśli nielegalny. W ten sposób teatr

ustanowił prawdziwą republikę niepodległości, której prawu trudno będzie położyć kres, właśnie dlatego, że z punktu widzenia prawa żaden akt tu się nie dokonał.

Wykorzystanie mocy i paradoksów performatywności, świadome spożytkowanie teatru jako specyficznego narzędzia decyduje o tym, że w kontekście zwrotu mniejszościowego „Spartakus” jest przedstawieniem rzeczywiście przełomowym. Dokonuje się w nim zasadnicze przejście od krytycznej diagnozy do czynnego powoływania własnego mniejszościowego świata, od wytwarzania alternatywnej fantazji do doświadczania alternatywnej rzeczywistości.

Paradoks najbardziej podstawowy polega zaś na tym, że wobec tego, co na zewnątrz udaje realne, a jest ustanawiane przez zarządzane politycznie „narracje” i masowe performanse kanalizujące wspólnotowe urojenia, to właśnie pozornie nieskuteczne doświadczenie teatralne dotyka najgłębiej tego, co w narracjach i celebracjach się nie mieści, a jest realnością najwyższej rangi – pragnień, cierpień i śmierci konkretnych osób, oraz tego, jak mimo wszystko ocalić je przed zaturą.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



BEN LEUNER / NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Bob Odenkirk w serialu „Zadzwon do Saula”

Długa droga donikąd

JAKUB MAJMUREK

„Gra, której nie da się wygrać”

– tak można podsumować seriale o amerykańskim społeczeństwie XXI wieku.

„Zadzwon do Saula” idzie w tym obrazie szczególnie daleko.

NASZEGO BOHATERA, SAULA GOODMANA, po raz pierwszy zobaczyliśmy w ósmym odcinku drugiego sezonu serialu „Breaking Bad” (2008-13), historii Waltera White’a, chorego na raka nauczyciela chemii z Nowego Meksyku, który – przyciśnięty przez chorobę, lęk o przyszłość swojej rodziny i rachunki medyczne – decyduje się uzupełniać dochód ze skromnej nauczycielskiej pensji produkcją metamfetaminy najwyższej klasy. Z każdym odcinkiem Walter coraz bardziej wsiąka w przestępczy półświat. By w nim przetrwać, przekracza kolejne etyczne normy.

Gdy Walter spotyka po raz pierwszy Saula, jest on kimś, kto wszelkie etyczne dylematy dawno zostawił za sobą. Jest postacią tyleż zdemoralizowaną, co groteskową. W swoim biurze, udekorowanym pseudoklasycznymi kolumnami, z tapetą przedstawiającą kopię amerykańskiej konstytucji, wygląda jak wyobrażenie o spełnionym amerykańskim śnie. Ta ostateczna amoralność jest dla niego rodzajem powołania, filozofii życiowej, tym, co nadaje życiu prawdziwy smak.

Saul początkowo miał się pojawić tylko w trzech odcinkach „Breaking Bad”. Postać wypadła jednak tak znakomicie – w dużej mierze dzięki błyskotliwie odtworzającemu ją Bobowi Odenkirkowi – że szkoda było ją porzucić. Saul wracał więc w kolejnych odcinkach. Twórcy „Breaking Bad”, początkowo żartem, mówili sobie, że Saul zasługuje na swój własny serial. Żart zmienił się w poważny projekt, zmierzający pomału do konkluzji: właśnie skończyła się pierwsza połowa ostatniego, szóstego sezonu „Zadzwon do Saula”, sześć końcowych odcinków będzie pojawiać się na Netflixie od połowy lipca.

Kronika zapowiedzianego upadku

„Zadzwon do Saula” jest prequelem „Breaking Bad”, pokazuje historię tego, jak drobny oszust Jimmy McGill, próbujący na nowo zacząć uczciwe życie w Albuquerque w Nowym Meksyku, stopniowo

zmienia się w skorumpowanego, powiązanego z narkobiznesem drapieżnego prawnika Saula Goodman. Większość widzów wie, jak kończy się ta historia. Wiemy, że Jimmy ostatecznie zmieni się w Saula, że jego biznesowy układ z Walterem skończy się ucieczką przed organami ścigania. Na końcu „Breaking Bad” Saul zabiera tyle pieniędzy i kosztowności, ile jest w stanie unieść, zostawia stare życie za sobą i przy pomocy przestępcy zajmującego się zawodowo podobnymi usługami zaczyna pod przybraną tożsamością nowe życie w Nebrasce.

Pierwsze pięć sezonów „Zadzwon do Saula” otwierają nakręcone w czerni i bieli sceny zapowiadające przyszłe życie Saula/Jimmy’ego w Nebrasce, gdzie pracuje w sieciowej piekarni w centrum handlowym w Omaha. Jimmy wygląda tam jak cień samego siebie, jakby nowe życie odczuwał jak fizyczną torturę. „Zadzwon do Saula” jest więc kroniką zapowiedzianego upadku, a nawet dwóch. Po pierwsze, upadku moralnego Jimmy’ego McGilla, po drugie, klęski życiowego projektu Saula Goodman.

Głównym zadaniem twórców „Zadzwon do Saula” było w tej sytuacji utrzymanie zainteresowania widzów, którzy doskonale wiedzą, jak skończy się ta historia. I mają świadomość, że jakiegokolwiek problemy przeżywa tytułowy bohater, ostatecznie na swój sposób odniesie

„sukces”: przekształcając się z Jimmy’ego McGilla w Saula Goodmana.

Showrunnerzy, Vince Gilligan i Peter Gould, wybrnęli z tego zadania w bardzo ryzykowny sposób. „Zadzwon do Saula” od początku daje nam bowiem do zrozumienia, że jeśli szukamy suspense, efektownych zwrotów akcji czy natężenia atrakcji, to wybraliśmy zły serial. Ten stawia bowiem na coś innego: powolne budowanie postaci, ich relacji, całego społecznego świata, w jakim dokonuje się przemiana Jimmy’ego i kluczowych, towarzyszących mu bohaterów: jego przyjaciółki i późniejszej żony Kim Wexler oraz byłego skorumpowanego policjanta z Nowego Jorku Mike’a, który po tragicznej śmierci syna szuka nowego początku w Nowym Meksyku.

Recenzując pierwsze pięć sezonów serialu dla „The Atlantic” Spencer Kornhaber napisał, iż „Zadzwon do Saula” to serial, który wyjątkowo we współczesnej telewizji nie przejmuje się tym, że może czasami nudzić widza. Formułując to nieco inaczej, Gilligan i Gould z pewnością nie mają problemów, by żądać od widzów sporej cierpliwości. I choć czasem powolne tempo narracji można odbierać jako męczące, to w ostatnim sezonie cierpliwość widzów zostanie nagrodzona, gdy cała mozaika cierpliwie układana od 2015 r. zacznie ukazywać się w całości.

Niewydarzony antybohater

„Breaking Bad” krytycy często nazywali ostatnią produkcją nowego złotego wieku telewizji. Okresu między premierą pierwszych sezonów „Rodziny Soprano” (początek 1999 r.) a globalną ekspansją Netfliksa i innych platform VOD, zastępujących telewizję jako główny kanał odbioru seriali. W złotym wieku serialowa produkcja zyskała niespotykany wcześniej prestiż, a jednocześnie ważnych seriali było na tyle niewiele, że zwykły, niezajmujący się telewizją zawodowo widz mógł mieć poczucie, że ogarnia wszystkie. Zupełnie inaczej niż dziś, gdy jakościowej produkcji jest tak dużo, że nawet osobom zawodowo piszącym o telewizji trudno za nią nadążyć.

Seriale złotego wieku charakteryzował cyniczny, pozbawiony złudzeń obraz amerykańskiej rzeczywistości, realizm społeczny, wreszcie figura mrocznego, autodestrukcyjnego antybohatera w typie Tony’ego Soprano. Pokazana w „Breaking Bad” historia Waltera Whi-

te’a zawiera wszystkie te elementy. „Zadzwon do Saula” dokonuje ich ciekawego przesunięcia.

Jimmy/Saul jest bowiem antybohaterem niewydarzonym. Kimś, komu przy najmniej w pierwszych sezonach raczej nie wychodzi niż wychodzi, niezależnie od tego, jak bardzo gotowy jest nagiąć prawne i etyczne normy.

Na początku Jimmy mieszka i pracuje w ciasnym, obskurnym pokoiku wynajmowanym na zapleczu azjatyckiego salonu kosmetycznego. Ledwo wiąże koniec z końcem jako obrońca z urzędu. Jego klienci to mięso do przemiatu dla systemu sprawiedliwości stanu Nowy Meksyk. Prokuratorzy, z którymi Jimmy walczy o swoich klientów, są tak samo przepracowani i kiepsko opłacani jak on, myślą się im sprawy i podsądni. Wiadomo, że jakkolwiek skończy się konkretna sprawa, większość podsądnych i tak wróci na ławę oskarżonych.

Klienci naszego bohatera są równie niewydarzeni jak on sam, w problemy z prawem popadają przede wszystkim z powodu bezbrzeżnej głupoty. Nic dziwnego, że Jimmy wydaje się nieustannie przybity i zdołowany. W retrospekcjach widzimy sceny przedstawiające jego młodość w Chicago, gdzie zarabiał na życie jako zawodowy oszust. Jakkolwiek ocenilibyśmy to etycznie, był prawdziwym artystą w swoim fachu. I jako oszust był po prostu szczęśliwy.

W Nowym Meksyku Jimmy ma w dodatku na głowie swojego starszego, chorego brata Chucka. Cierpi on, jak sam to określa, na „syndrom zwiększonej wrażliwości elektromagnetycznej”: przebywanie w pobliżu urządzeń elektrycznych i elektronicznych sprawia mu ból i wpędza w chorobę. Chuck rzadko opuszcza dom, z którego usunął wszystkie nowoczesne udogodnienia, łącznie ze światłem elektrycznym i telefonami. Lekarze są zgodni, że choroba Chucka ma psychosomatyczny charakter, on jednak nie zgadza się z tą diagnozą, a gdy ktokolwiek mu sugeruje, że może powinien odwiedzić psychologa – obraża się. Jimmy mógłby ubezwłasnowolnić brata, ale tego nie robi, codziennie przynosi mu zakupy, pomaga przetrwać w XXI wieku.

Przed chorobą Chuck był szanowanym w Albuquerque prawnikiem, partnerem w dużej kancelarii. Gdy Jimmy przed laty popadł w Chicago w poważne problemy, Chuck uratował go przed więzieniem, dał

mu pracę w swojej kancelarii, a konkretnie w jej dziale zajmującym się obsługą korespondencji. Gdy jednak Jimmy skończył korespondencyjny kurs prawa na Uniwersytecie Samoa Amerykańskiego i zdobył uprawnienia do wykonywania zawodu adwokata w stanie Nowy Meksyk, Chuck nie mógł mu tego wybaczyć. Uznał, że to kolejny przekręt Jimmy’ego, że brat kpi sobie z niego, z jego drogi życiowej i tego, co na niej osiągnął.

Gilligan i Gould przez kilka sezonów pokazują relacje między braćmi, opartą na wzajemnej zależności, braterskiej miłości, podziwiewie połączonym z resentmentem, jakie odczuwa Jimmy, oraz trosce połączonej z ukrytą pogardą, jakie odczuwa Chuck. Starszy brat z jednej strony deklaruje chęć pomocy młodszemu w prawniczej karierze, z drugiej ciągle chowa w sobie urazę i potrafi wprost sabotować jego wysiłki. Trudno znaleźć w telewizji drugi tak wyjątkowy, złożony, niejednoznaczny portret braterskiej relacji, wielokrotnie zmuszający nas do zmiany oceny tego, kto jest tu bardziej etyczną postacią.

Gra, której nie da się wygrać

Gdy brat znika z życia Jimmy’ego, zaczyna się ostateczny proces jego przemiany w Saula Goodmana. W pewnym momencie znajduje sprawę, która może okazać się żyłą złota – pozew grupy seniorów przeciw domowi spokojnej starości, który bezprawnie zawsze ceny za swoje różne usługi. Dostaje pracę w zainteresowanej jej współprowadzeniem prestiżowej kancelarii. Nie jest jednak w stanie wytrzymać w reżimie pracy dużej, prawniczej firmy. Zmusza swoich szefów, by go zwolnili, wkładając w to maksimum pomysłowości i inwencji.

Obracając się na granicy prawa, Jimmy dostaje się w sieć mrocznych interesów narkotykowego kartelu z Meksyku, traktującego znajdujące się pośrodku pustyni Albuquerque jako jeden z węzłów przerzutowych swojego produktu. W „Zadzwon do Saula”, podobnie jak w „Breaking Bad”, narkobiznes przedstawiony jest jako branża, gdzie do zgarnięcia są co prawda wielkie pieniądze, ale za cenę nieustannego ryzyka. Najwyższe stawki zgarnia przy tym wyłącznie kilku najpotężniejszych graczy, reszta prędzej czy później albo ginie w przestępczych porachunkach, albo trafia na długie lata do więzienia. Wizja wielkich pieniędzy, →

→ desperacja i brak perspektyw pchają kolejne osoby do tej gry.

„Gra, której nie da się wygrać” – tak można podsumować to, jak najważniejsze produkcje telewizyjnego złotego czasu przedstawiały amerykańskie społeczeństwo XXI wieku, pękające wzdłuż linii majątkowych, geograficznych, rasowych i innych podziałów. „Zadzwon do Saula” idzie w tym obrazie szczególnie daleko.

Serial jak widmo nawiedzają obrazy z przyszłości Saula w Omaha, pokazujące, jak po kolejnym dniu w pracy, której nienawidzi, wraca do mieszkania, gdzie na kasetach VHS ogląda dawne telewizyjne reklamy swojej kancelarii i przygląda się zgromadzonemu kosztownościom, które boi się spieniężyć, by nie zwrócić na siebie uwagi organów ścigania. Domyślamy się, że w ostatniej części serialu Jimmy/Saul zapłaci jeszcze większą ceną za swoją przemianę.

Saul Goodman jest w „Breaking Bad” osobą samotną, nie ma żadnej istotnej bliskiej relacji z kimkolwiek. W „Zadzwon do Saula” Jimmy/Saul buduje taką relację z Kim – swoją przyjaciółką, następnie partnerką i żoną. Jedyną osobą, z którą jest w stanie stworzyć głęboką, nieeksploatacyjną relację. Jak się domyślamy, przed końcem serialu Kim odejdzie od męża albo zginie za sprawą jego interesów z ludźmi kartelu.

W bluzenadach i szarżach prowokacyjnego cynizmu dostrzegamy bezbrzeżny smutek i cichą desperację mężczyzny w coraz późniejszym średnim wieku, spalającego się w pogoni za celami niewartymi tego wszystkiego. Twórcy serialu i Bob Odenkirk w swojej genialnej kreacji potrafią sprawić, że nigdy nie patrzymy na tę desperację z góry – wszyscy możemy zobaczyć w jej zwierciadle własne odbicie.

© JAKUB MAJMUREK

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Noémie Merlant (Nora) i Makita Samba (Camille) w filmie „Paryż, 13. dzielnica”

U nas na dzielni

ANITA PIOTROWSKA

W domach z betonu jest dużo wolnej miłości. Rozmawia się o niej bez skrępowania, choć rychło zobaczymy, że o wiele łatwiej nazywać dzisiaj swoje potrzeby seksualne aniżeli uczucia.

TRUDNO ZAKOCHAĆ SIĘ W NIEJ OD PIERWSZEGO WEJRZENIA i wcale o to nie zabiega. Paryska „trzynastka” jako dzielnica mieszkaniowa może wręcz przytłaczać brutalistyczną architekturą. Dopiero przy bliższym poznaniu ta betonowa dżungla nabiera intensywnych zapachów i smaków. Głównie azjatyckich, bo tutaj właśnie osiedliła się znaczna część diaspory chińskiej czy wietnamskiej.

Na ulicach i bazarkach, w knajpkach, klubach i groszowych sklepikach mieszają się rasy i klasy, choć raczej te z niższych pięter społecznej drabiny, za to wrośnięte tu czasem od pokoleń. Jedna z czarnoskórych bohaterek filmu nosi imię Eponine, zaczerpnięte wprost z „Nędzników”, ale reżyser Jacques Audiard jest daleki od pesymizmu Ladja Ly, który przeniósł prozę Victora Hugo na niespokojne przedmieścia francuskiej stolicy. Autor „Proroka” i „Emigrantów” portretuje jej współczesny skrawek, który w równym stopniu zdaje się zaprzeczaniem getta, co typowej pocztówki z „miasta zakochanych”. Mimo tego „Paryż, 13. dzielnica” przypomina chwilami bezczelny list miłosny do miejsca i jego mieszkańców.

Film czerpie energię z Les Olympiades – tamtejszego kompleksu wieżowców wybudowanego jeszcze w latach 70. i tak też brzmi oryginalny tytuł. Na kanwie trzech komiksów Adriana Tomine’a, amerykańskiego rysownika o japońskich korzeniach, powstała historia bardzo lokalna i zarazem uniwersalna, w której urbanistyka i erotyka tworzą mieszaninę pikantną, lecz jakże przy tym świeżą.

Przed wszystkim w domach z betonu jest dużo wolnej miłości. Uprawia się ją i rozmawia o niej bez skrępowania, choć rychło się okaże, że o wiele łatwiej nazywać dzisiaj po imieniu swoje potrzeby seksualne aniżeli uczucia. Być może wpływ ma życiowa prowizorka, w jakiej znajdują się dzisiejsi młodzi Francuzi.

Pochodząca z Chin Émilie (Lucie Zhang) ma co prawda mieszkanie po babci, ale ukończywszy politologię pracuje w call center. Czarnoskóry Camille (Makita Samba) wynajmuje u niej pokój, bo trudno mu wyżyć samodzielnie z pensji nauczyciela i dalej się kształcić. Nora (Noémie Merlant) przyjechała do Paryża, by podjąć spóźnione studia prawnicze i na skutek różnych perypetii ląduje w podupadłej agencji nieruchomości.

A miłość w czasach portali randkowych i seksu „na kamerkach” tylko pozornie skróciła dystanse.

Obraz jest czarno-biały, czego nie można powiedzieć o postaciach zaludniających świat Audiarda. I nie chodzi nawet o rozmaite odcienie skóry, etniczne przynależności czy napięcia między tradycjami przodków i nowoczesnością, lecz o to, co się kłębi głęboko w środku. W tym sensie „Paryż...” wychodzi poza typowe narracje emancypacyjne, bowiem nie istnieją tu już problemy z tożsamością płciową czy rasową. Jesliby upierać się przy różnicy, to raczej pokoleniowej.

Wystarczy dziesięć lat, jakie dzieli krotchwilną Emilie od pozostałych bohaterów, by przekonać się, że chodzi o całą epokę. Podobnie rzecz się ma z Norą, która została studentką dopiero po trzydziestce i natychmiast padła ofiarą nieznajomości reguł rządzących nowymi mediami. Wkrótce okaże się, że te same media staną się jej czułym sojusznikiem. Ale zanim ów moment nastąpi, jesteśmy świadkami płasów, dąsów, erotycznych gier, formowania się mimetycznych trójkątów i bardzo nieforemnych czworokątów. A w nich dorośli bądź co bądź ludzie niezgrabnie usiłują przezwyciężyć odwieczny ambarras – żeby dwoje (lub dwie) chciało naraz. Wszyscy przed czymś uciekają i jednocześnie desperacko kogoś pragną.

Ogląda się ten film świetnie, bo nie ma w nim ani trywializacji rzeczonych problemów, ani wielkich dram, ani moralnej paniki. Życie w wyrosłej z modernizmu dzielnicy okazuje się zaprzeczeniem Corbusierowskiej „maszyny do mieszkania”: racjonalnej, uporządkowanej, funkcjonalnej. Niezależnie od stosowanych socjotechnik czy technologicznych narzędzi, bez względu na to, czy prowadzi się bujne życie łóżkowe, czy żyje się „na seksualnym ugorze”, nie da się zadekretować swoich lub czyichś emocji.

I Audiard pozwala im rządzić, samokompromitować się, błędzić, pozwala je zagadywać i maskować, a robi to bez cienia fałszu. Zapewne przyczyniły się do tego dużo młodsze współscenarzystki „Paryża...”, czyli Léa Mysius, znana u nas jako reżyserka „Avy”, i Céline Sciamma, twórczyni opisywanej niedawno na tych łamach „Małej mamy” czy „Portretu kobiety w ogniu”, gdzie zresztą jedną z głównych ról zagrała aktorka wcielająca się w Norę.

Albowiem poza wszystkim film o perypetiach paryskich millenialsów oka-

zuje się przykładem twórczego spotkania przed i za kamerą przedstawicieli różnych światów, wsłuchanych w drugą stronę i ciekawych siebie nawzajem. Rzadko też się zdarza, by zasłużony reżyser (rocznik 1952), od lat grający w kinie na najgorętszych strunach, z udanym epizodem amerykańskim w karierze („Bracia Sisters”), nakręcił historię tak bezinteresowną i lekką, a przy tym postironiczną, patrzącą z uważnością na erotyczne zapasy i emocjonalne głody doświadczane przez generację metrykalnie mu odległą.

Porównania z Erikiem Rohmerem są może trochę na wyrost, niemniej „Paryż, 13. dzielnica” prostymi środkami, w rytm elektronicznych brzmień, opowiada o dylematach, które nie przemijają mimo cywilizacyjnych przemian. Czy to jest przyjaźń, czy już zakochanie? Czy w seksie, nawet bez zobowiązań, zawsze chodzi tak naprawdę o seks? Jak wyrazić swój wewnętrzny stan i nie wypaść z roli? Czym przezwyciężyć nieznosną lekkość bytu?

Najważniejsze, że Audiard nie oddaje swojej „dzielni” melodramatycznym czy romantyczno-komediowym konwencjom, acz chwilami, w finale zwłaszcza, trochę się o nie ociera. Widać ten gatunkowy dystans zwłaszcza w bezpruderyjnym podejściu do ciała, nie tylko zresztą kobiecego, w sposobie, jakim aktorzy przenikają na wylot swoje wieloznaczne postacie, w zamięłowaniu do filmowych didaskaliów i dygresji. Budują one ten przekonujący mikroświat na równi ze scenariuszowymi kulminacjami i zakrętami, patrz: wątek jękającej się siostry Camille’a, która marzy o karierze w stand-upie. Równocześnie opowieść tak bardzo zakotwiczona w konkretnym miejskim pejzażu potrafi dostrzec inne wymiary rzeczywistości, w tym również wirtualną.

I chociaż losy niektórych bohaterów krzyżują się nie tylko na znanym dobrze reżyserowi paryskim blokowisku, lecz także w ciemnych zakamarkach internetu, a ekran często pęka na pół albo multiplikuje się, trudno wyobrazić sobie film mniej lockdownowy. „Paryż, 13. dzielnica” to kino zmysłowe, cieleśne, zrodzone z bezpośredniego kontaktu i, wbrew wszelkim pozorom, wcale nie naskórkowe. ©

PARYŻ, 13. DZIELNICA (*Les Olympiades*)

– reż. Jacques Audiard. Prod.

Francja 2021. Dystryb. Gutek Film.

W kinach od 24 czerwca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Królowa



Serial, reż. Łukasz Kościński, Polska 2022, odc. 1-4, Netflix, od 23 VI

Rzeczywistość górniczego miasteczka, skomplikowane relacje rodzinne, Andrzej Seweryn w roli byłego krawca, emigranta i drag queen, a obok niego Maria Peszek – co może wynikać z takiego połączenia? Jedną z najbardziej wyczekiwanych produkcji tego roku to z pewnością inne, mniej konwencjonalne i bardziej kolorowe spojrzenie na polską rodzinę.

2. Duch śniegów



Dokumentalny, reż. Vincent Munier, Marie Amiguet, Francja 2021, VoD, od 24 VI

W przeciwieństwie do wielu filmów przyrodniczych twórcy tego dokumentu nie uprawiają polowania z kamerą. Poszukiwanie tybetańskiej pantery śnieżnej staje się lekcją cierpliwego czekania i pokory. Bierze w tym udział także pisarz i podróżnik Sylvain Tesson, a efektem jest medytacja na temat nieprzeniknionego świata natury i naszego w nim miejsca.

3. Matki równoległe



Komediodramat, reż. Pedro Almodóvar, Hiszpania 2021, VoD, od 24 VI

Reżyser „Wszystko o mojej matce” znowu zaskoczył. Tym razem w ryzykowny sposób połączył rozbuchaną „almodramę” i całkiem poważne rozliczenia z frankistowskim terrorem. Fabuła wije się w nieprawdopodobnych splotach, nagrodzona w Wenecji Penélope Cruz znowu błyszczy, a całość aż roi się od smaczków i mrugnięć okiem.

4. Memoria



Dramat, reż. Apichatpong Weerasethakul, Kolumbia i inne, Nowe Horyzonty VoD, e-kinopodbaranami.pl

Dla jednych arcydzieło przekraczające granice kina, dla innych artystowski „snuj”. Warto jednak udać się za tajskim mistrzem do Bogoty, by w towarzystwie Tildy Swinton odbyć długą podróż do przeszłości, w wymiarze indywidualnym i zbiorowym. A także wyprawę do świata dźwięku, który rzadko na ekranie uruchamia tyle osobliwych doznań i znaczeń.

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Znamy nominacje do tegorocznej Nagrody Literackiej Gdynia. Kto tym razem otrzyma metalowe kostki w kategorii Esej, Proza, Poezja i Przekład na język polski? Dowiemy się pod koniec sierpnia podczas festiwalu Miasto Słowa w Gdyni.

NAGRODA LITERACKA GDYNIA ZOSTAŁA POWOŁANA DO ŻYCIA W 2006 R. PRZEZ PREZYDENTA Gdyni Wojciecha Szczurka w celu uhonorowania wyjątkowych osiągnięć żyjących polskich twórców. Jest przyznawana rocznie autorom najlepszych książek wydanych w poprzednim roku. Nagroda – Gdyniańska Kostka Literacka i 50 tys. zł – przyznawana jest w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski. NLG jest inicjatywą władz miasta skierowaną zarówno do polskich pisarzy, jak i szerokiego grona odbiorców współczesnej literatury.

W skład kapituły Nagrody wchodzi: Jerzy Jarniewicz (przewodniczący), Adam Lipszyc, Eliza Kącka, Barbara Klicka, Dorota Kozicka, Aleksander Nawarecki, Tomasz Swoboda, Natalia Gromow (sekretarz Nagrody).

Nagrodzie Literackiej Gdynia już po raz kolejny towarzyszy festiwal Miasto Słowa: spotkania z nominowanymi, laureatami, panele dyskusyjne nawiązujące do wątków pojawiających się w tytułach walczących o Kostkę Literacką, gościć też będziemy znamienitych polskich prozaików.

Więcej informacji: www.nagrodaliterackagdynia.pl



NOMINACJE DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2022

ESEJ



MARCIN DYMITER – muzyk i realizator dźwięku. Tworzy instalacje dźwiękowe, słuchowiska radiowe, muzykę do filmów, spektakli, wystaw i przestrzeni publicznych. Gra do filmów niemych. Twórca map

dźwiękowych, serii płyt „Pocztówki dźwiękowe” oraz projektu Field Notes.

■ **Notatki z terenu**, Wydawnictwo Części Proste, Gdańsk 2021



AGNIESZKA GAJEWSKA – literaturoznawczyni, wykładowczyni, autorka i aktywistka. Pracuje w Instytucie Filologii Polskiej UAM w Poznaniu.

Autorka książek „Zagłada

i gwiazdy. Przeszłość w prozie Stanisława Lema” (2016) oraz „Hasto: feminizm” (2008). Kieruje Interdyscyplinarnym Centrum Badań Płci Kulturowej i Tożsamości UAM.

■ **Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021



ANDRZEJ KOPACKI – poeta, tłumacz, eseista. Redaktor miesięcznika „Literatura na Świecie”. Literaturoznawca w Instytucie Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Laureat nagrody dla tłumaczy

Fundacji im. Roberta Boscha i lirycznej nagrody promocyjnej im. Mörikego.

■ **21 wierszy w przekładach i szkicach**, Wydawnictwo Officina, Łódź 2021



TOMASZ SZERSZEŃ – fotograf, antropolog kultury. Autor książki „Podróżnicy bez mapy i paszportu” (2015). Współtwórca pisma „Widok. Teorie i praktyki kultury wizualnej”,

redaktor „Kontekstów”, adiunkt w Instytucie Sztuki PAN.

■ **Wszystkie wojny świata**, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021



JERZY SZPERKOWICZ – dziennikarz i reporter. W 1956 r. ukończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1956-1974 był moskiewskim

korespondentem „Życia Warszawy”, współredagował „Życie i Nowoczesność” (1971-1973), później pracował w „Kulturze” i „Gazecie”. Prywatnie mąż Hanny Krall. Zmarł 20 lutego 2022 r.

■ **Wróć przed nocą. Reportaż o przemilczanym**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2021

POEZJA



SZYMON BIRA – poeta, autor tomików: „światło umieranie” (2008), „Podręcznik królowej” (2011) oraz „3,5” (2015). Wiersze publikował także w czasopiśmie i witrynach, m.in.:

8. Arkusz „Odry”, „artPAPIER”, „Cegła”.

■ **1,1**, Wydawnictwo Convivo, Warszawa 2021



URSZULA HONEK – poetka i prozaiczka, autorka tomików „Sporysz” (2015) i „Pod wezwaniem” (2018), a także zbioru opowiadań „Białe noce” (2022). Laureatka grand prix Ogólnopolskiego Konkursu

Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego, Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO oraz Nagrody im. Adama Włodka.

■ **Zimowanie**, WBPiCAK, Poznań 2021



EMILIA

KONWERSKA

– literaturoznawczyni, publicystka, kuratorka, poetka. Współpracuje z „Krytyką Polityczną”. Pracuje jako

kuratorka Galerii Dobro w Olsztynie. Wiersze publikowała m.in. w „Stonerze Polskim”, „Stronie Czynnej”, „Łątku” i „Cegle”.

■ **112**, Wydawnictwo papierwdole, Wrocław 2021



PATRYK KOSEDA

– poeta, współzałożyciel i redaktor „Stonera Polskiego”. W 2019 r. ukazał się jego debiut

poetycki „Robodramy w zieleniakach”. Laureat Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO.

■ **NAJWIĘKSZY NA ŚWIECIE DREWNIANY COASTER**, Wydawnictwo Kontent, Kraków 2021



JUSTYNA KULIKOWSKA

– poetka, autorka tomików „Hejt i inne bangery” (2018), za który otrzymała Nagrodę im. Kazimierza Iłkowińskiego za najlepszy debiut poetycki, i „Tab_s” (2020, nominacja do Nike

oraz Nagrody Literackiej Gdynia). Laureatka Nagrody im. Wiesława Kazaneckiego.

■ **GIFT. Z PODLASIA**, WBPiCAK, Poznań 2021

PROZA



KRZYSZTOF BARTNICKI

– pisarz, tłumacz, teoretyk przekładu. Doktor Uniwersytetu w Jenie. Tłumacz Dróżdża, Leśmiana, Joyce’a. Przekłada również literaturę na dźwięki,

obrazy i filmy. Laureat Nagrody „Literatury na Świecie”.

■ **MYŚLIWICE, MYŚLIWICE**, Wydawnictwo Instytut Mikołowski, Mikołów 2021



EWA JAROČKA – historyczka sztuki, pisarka, poetka, malarka. Autorka trzech tomów poetyckich: „nie ma dobrych ludzi” (2016), „Dno cekina” (2017) i „Cienie piszcących

psów” (2020, nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia). Wydała także książki prozatorskie: „Nie zostawia się dziecka w niebie” (2019) i „Dresik” (2020).

■ **Skończyło się na całowaniu**, Wydawnictwo papierwdole, Wrocław 2021



MATEUSZ PAKUŁA – dramaturg, pisarz, dramaturg. Finalista Gdynińskiej Nagrody Dramaturgicznej za tekst „Smutki tropików”. W ostatnich latach opublikował m.in.: „Panopti-

kos” (2015), „Wieloryb The Globe” (2016) i „Chaos pierwszego poziomu” (2019).

■ **Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję**, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2021



EDWARD PASEWICZ – poeta, pisarz, dramaturg i kompozytor. Za swoją twórczość poetycką, m.in. za tomiki „Drobne! Drobne!” i „Pałacyk Bertolta Brechta”, wielokrotnie nominowany do głównych nagród

literackich. W latach 2014-2020 był prezesem Stowarzyszenia Queerowe Centrum Kultury.

■ **Pulverkopf**, Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2021



KRZYSZTOF PIETRALA

– poeta, prozaik, etnolog. Jego zainteresowania skupiają się głównie na poezji trzech pierwszych dekad XX wieku w Polsce i na świecie oraz francuskiej *nouveau roman* lat 50. Publikuje w „Czasie Kultury” i „Małym Formacie”.

■ **Story Jones**, Wydawnictwo Meth, Poznań 2021

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI



JERZY KOCH – literaturoznawca, niderlandysta i germanista. Specjalizuje się w literaturze niderlandzkiej i południowo-afrykańskiej, szczególnie tworzonej w języku afrikaans. Ostatnio na polski przetłumaczył

książki Stefana Hertmansa, Antjie Krog i Breytana Breytenbacha, Josepha Conrada, Seamus Heaney.

■ **Niepokój przychodzi o zmierzchu**, autor oryginału: Marieke Lucas Rijneveld, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021



MACIEJ ŚWIERKOCKI

– pisarz, scenarzysta, krytyk i tłumacz z języka angielskiego. Współpracuje m.in. z „Literaturą na Świecie”, „Filmem” i „Odrą”. Przetłumaczył książki

Samuela Becketta, Richarda Flanagan, Josepha Conrada, Eleanor Catton, Jacka Kerouaca i wielu innych.

■ **Ulysses**, autor oryginału: James Joyce, Wydawnictwo Officyna, Łódź 2021



KAROLINA WILAMOWSKA

– tłumaczka z języka węgierskiego, absolwentka hungarystyki i polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Na polski przetłumaczyła prozę Franza Jalicca, Szilárd Borbélyego czy László Darvasiego.

■ **Kurator**, autor oryginału: György Konrád, Wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2021



JAREK ZAWADZKI – tłumacz literatury z języka angielskiego i chińskiego. Ukończył sinologię na Uniwersytecie Warszawskim i anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Na polski przekładał Williama Blake’a, Arthura Brooke’a, Lao-tsy czy Tao Yuanming.

■ **Opowieści kanterberyjskie**, autor oryginału: Geoffrey Chaucer, Wydawnictwo Biblioteka Śląska, Katowice 2021



IWONA ZIMNICKA – tłumaczka literatury norweskiej. Odznaczona Norweskim Orderem Zasługi przez króla Haralda V. Na polski przetłumaczyła m.in. książki Josteina Gaardera, Larsa Saabye Christensena, Jo Nesbø, Karen Blixen czy Karla Ove Knausgård.

■ **Trylogia kopenhaska**, autorka oryginału: Tove Ditlevsen, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI



MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA

JAN

Klata: Szok, kontrowersje, niedowierzanie



UWAGA! ŚWIAT JUŻ NIGDY NIE BĘDZIE TAKI sam! Media prześwieciły naszą cempionkę Igę Świątek i okazało się, co się okazało, sensacyjnie niewiarygodne okoliczności kariery tenisistki wyszły na jaw.

Oto, proszę Pań i Panów, Kibicek i Kibiców, Polek i Polaków, po prostu: Iga Świątek czyta książki!

W czasach, w których czołowe postaci polskiego życia kulturalnego nie są w stanie ze zrozumieniem przeczytać posta na fejsie, wybitna sportowczyni mierzy się z „Zabić drozda”. Żeby było jasne: ani mi przez głowę nie przeleci, żeby się wyśmiewać z atletów, którzy mają mózg zajęty bezustannym przeliczaniem trajektorii ciał w przestrzeni. Jestem w stanie (teoretycznie, oczywiście) zrozumieć, że w jestestwie wycynowego cempiona nie pozostaje zbyt wiele miejsca na Pynchona. Sportowcy pracują głową, zajęta głowa rozproszy się Orwellem – dlatego nie dziwi mnie, że psycholożka Iga Świątek zasugerowała jej odłożenie „1984” na czas poturniejowy.

Mamy do czynienia z precedensem, osobą wszechstronnie wyjątkową, modelową w wielu wymiarach. Dekady temu niemiecki snajper Jürgen Klinsmann łączył owocną w gołe pracę w Interze Mediolan z rozkoszowaniem się wersami Petrarki w oryginale, nie zaginie również pamięć o fascynującej osobowości brazylijskiego Doktora Sokratesa, ale piłkarzy jest, było i będzie wielu, a Sokratesów jak na receptę. Trudno ustalić, przedstawiciele której dyscypliny sportu jawią się najbardziej czytany (siatkarze?), mam nadzieję, że naukowcy już to badają i lada dzień światu obwieszcza. Gdybym miał spekulować, pozwoliłbym sobie napisać, że jeśli chodzi o płeć tych, co skaczą i czytają – nie będzie niespodzianek.

W obecnym czasie podłym i turbulentnym, gdzie tyle niepewności i lęku, Iga jest Igą. Na zakończenie nie bez wysiłku przytoczę tytuł książki genialnego Andrei Pirlo: „Myśle, więc gram”. Myślenie, oczywiście, boli, ale ten ból jest siłą. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

KSIAŻKI W TYGODNIKU

specjalnie dla WYDAWCÓW i instytucji kultury!

Nadchodząca jesień w „Tygodniku Powszechnym” pełna będzie literackich odniesień. Kolejna edycja Festiwalu Conrada oraz jubileuszowe 25. Targi Książki w Krakowie to dwa ważne punkty w kalendarzu wszystkich miłośników dobrej książki, które zagospzczą na naszych łamach. W październiku wydamy obszerny **magazyn literacki**, w którym znajdą się m.in. zapowiedzi i recenzje nowości książkowych, wywiady z autorami, eseje o literaturze.



Zapraszamy wydawnictwa, księgarnie i organizatorów wydarzeń literackich do obecności na łamach „TP” oraz w serwisie TygodnikPowszechny.pl/ksiazki.

Kontakt: literacki@tygodnikpowszechny.pl
lub telefonicznie Anna Pietrzykowska 602 590 416.



„TP” 20/2022

Diagnoza dla bogatych

Cieszę się, że w „Tygodniku” ukazał się artykuł o kobietach w spektrum autyzmu („Taka grzeczna dziewczynka” Eweliny Burdy). Chciałabym odnieść się do wypowiedzi pani Ewy Furgał, która mówi, że „system diagnostyczny wciąż nie jest idealnie dopasowany”. Prawda wygląda znacznie gorzej: dorosłym jest bardzo trudno uzyskać diagnozę. W państwowym systemie ochrony zdrowia jest to w praktyce niemożliwe, ale nawet w sektorze prywatnym ledwie garstka psychiatrów ma wystarczającą wiedzę, by móc diagnozować autyzm u dorosłych. W dodatku trzeba mieć na taką diagnozę sporo pieniędzy – np. u jednej ze specjalistek konsultacje kosztują 300 zł za godzinę, a podejrzewam, że nie kończą się na jednym spotkaniu. By uzyskać diagnozę psychologiczną zespołu

Aspergera, musiałam wydać ponad tysiąc złotych, a jestem ubogą osobą. Na diagnozę psychiatryczną nie było mnie stać, a bez niej nie mogę się ubiegać np. o orzeczenie o niepełnosprawności. JT

„TP” 22/2022

Nestorzy na pomoc

Na okładowe pytanie dotyczące pomocy psychologicznej – „kto nam pomoże w trudnych czasach” – moja odpowiedź brzmi: nestorzy. Chodzi o odpowiednio przygotowanych ludzi na emeryturze, pełniących dyżury, na które każdy mógłby przyjść i porozmawiać o swoich problemach. Dlaczego emeryci? Bo mają czas i doświadczenie życiowe. Należałoby poprosić o zgłoszenie się chętnych, a następnie zorganizować dla nich szkolenie z podstaw komunikacji, poradnictwa psychologicznego, rozwiązywania konfliktów itp. Być może w ramach Szkół Nestorów, przeznaczonych dla osób powyżej 60. roku życia, które chcą wykorzystać swój wolny czas na rozwiązywanie problemów i wspomaganie rozwoju osób młodszych. Szkoła ta mobilizowałaby

seniorów do pracy nad sobą i zdobywania nowych kompetencji, zwłaszcza umiejętności empatycznego wysłuchania, udzielania pomocy oraz rozpoznania potrzeby skierowania do odpowiedniego specjalisty, np. psychologa lub psychoterapeuty – bo nestoring nie zastępowałby oczywiście fachowego wsparcia, a tylko je uzupełniał. Funkcję, o jakiej piszę, ludzie starsi pełnią od dawna w swoich rodzinach. W trudnych czasach warto ją może sformalizować i rozszerzyć.

TOMASZ

Tak łączy „Tygodnik”

Mieszkamy z żoną w Pile, jesteśmy czytelnikami „TP” od ośmiu lat. W naszej parafii kilka lat temu pojawił się emerytowany ksiądz, który odprawiał niekiedy msze w zastępstwie „etatowych” kapłanów. Bardzo nam się podobały jego kazania – były mądre, obrazowe, przemawiały do serc. Sam ks. Ryszard robił na nas bardzo dobre wrażenie – chcieliśmy się z nim jakoś zapoznać, ale długo nie było ku temu sposobności. Pewnego razu żona spotkała ks. Ryszarda na spacerze.

Wyraziła naszą sympatię dla niego, a także przypuszczenie, że... musi czytać „TP”. Potwierdził, nie dowierając: jest stałym czytelnikiem i prenumeratorem „Tygodnika”. Co więcej, od listonosza dowiedział się, że oprócz niego na osiedlu jest jeszcze jeden prenumeratorem. Od tamtej pory był bardzo ciekaw, kim jest ta osoba. Od przypadkowego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń. Widujemy się regularnie, zwykle dyskutując na różne tematy i omawiając bieżące wydarzenia oraz m.in. artykuły z „TP”. W ten sposób „Tygodnik” łączy ludzi i pokolenia.

ROBERT

To nie GUS

W artykule pt. „Bobrodziej” („TP” 22/22) Adam Robiński podaje w wątpliwość jakość publikowanych przez Główny Urząd Statystyczny danych dotyczących populacji bobra europejskiego (*Castor fiber*) w Polsce. Upriejmi informujemy, że źródłem tych danych nie są badania GUS, lecz szacunki dokonywane przez Generalną Dyрекcję Ochrony Środowiska.

WYDZIAŁ WSPÓŁPRACY
Z MEDIAMI GUS

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK
POWSZECHNY

audioteka



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



GDZIE DIABEŁ SIANO ROZTRZĄSA

PROF. ROCH SULIMA, KULTUROZNAWCA:

W naszej naturze leży chęć bycia „gdzie indziej”. To „gdzie indziej”, czyli prowincja, ma dziś standardy życia bliskie miastu. Przymiotnik „zacofany” stał się wieloznaczny.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

MARCIN ŻYŁA: Co to takiego sralabartek?

ROCH SULIMA: To wiatr, który wznosi z ziemi piasek, tworzy małe trąby powietrzne. Niebezpieczny w czasie żniw, wywraca mendle ze zbożem, roztrząsa suszone siano. Aby go zneutralizować, trzeba w wir rzucić coś ostrego – nóż lub sierp. Oczywiście, wieje tam, gdzie działa diabeł albo ktoś potępiony.

Zna Pan te złe miejsca?

Do Małomierzyc, wsi na granicy Mazowsza i ziemi świętokrzyskiej, sprowadziliśmy się z żoną 18 lat temu. Ale wciąż nie umiemy korzystać z map mentalnych, których używają ludzie bardziej tu osadzeni. Zewsząd słyszę, że do Małomierzyc przyjeżdżają z Iłży zbierać grzyby. My na grzyby jesteśmy ślepi, choć mamy las za płotem.

Te mentalne mapy to przede wszystkim topografia pól – wiadomo, gdzie ziemia rodzi, a gdzie wieje sralabartek, ale też, gdzie się ktoś w śródpolnym potoku utopił. Zna się miejsca, do których przychodzą jaszczurki i węże, gdzie zdarzają się wypadki samochodowe. Od sąsiada dowiedziałem się, że niebezpieczne burze są wtedy, gdy chmura przyjdzie „od Zawala”. Kiedyś mieszkał tu taki leśniczy. Prawie zawsze się sprawdza.

Chciałem kiedyś w gminie stworzyć mapę dobrych miejsc. W kontrze do martyrologii, żeby można było spacerować bez zadumy.

To ciekawe, ale raczej się nie przyjmie.

Bo codzienność jest przezroczysta?

Są dobre miejsca – też mam tu kawałek lasu, gdzie przychodzą mi do głowy najlepsze myśli. Ale taka mapa byłaby jak dzień dobrych wiadomości w telewizji, raczej niewypałem. Mentalne mapy złych miejsc, np. lokalnych strachów, tworzą się same, obejmują nie tylko najbliższą wieś, ale także teren parafii, gminy czy małego miasteczka.

Lokalny świat to właśnie gmina, parafia, miasteczko?

Miasteczka i gminy są „kotwicami” prowincji. Alexis de Tocqueville twierdził, że imperia zbudowali ludzie, a gmina pochodzi wprost od Boga. Ani premier, ani wojewoda nie powiedzą: „zbudujemy miasteczko”. Ono w potocznych wyobrażeniach istnieje od zawsze, jest przez nas dziedziczone. Na przestrzeni dziejów liczba gmin właściwie się nie zmienia.

To znaczy, że skala życia jest zawsze taka sama.

Właśnie tak. A to gminy i miasteczka są dla społeczności lokalnych zwornikami tego, co wspólne i jednostkowe, oraz tego, co niewyobrażalne i doświadczane.

Oprócz map mentalnych do niedawna wiązała te wspólnoty pamięć genealogiczna, w mniejszym zakresie też pamięć historyczna. W przekazach mówionych pamięć mogła sięgać aż do ósmego pokolenia wstecz – potwierdzają to badania z wielu



→ miejsc na świecie. Na Podhalu starsi ludzie wiedzą, kto komu i kiedy jaki brzyzek przekazał. Teraz to się zmienia, bo nawet na prowincji więzi z ziemią ulegają zerwaniu.

Lubi Pan słowo „prowincja”?

Używam go w sensie opisowym, nie wartościującym. Prowincja stała się modna, i to na całym świecie. Równocześnie doszło do czegoś, co nazywa się deterytorializacją zjawisk kulturowych. Dotąd, na określonym terytorium, istniała jakaś społeczność, która miała swoją kulturę, ta kultura wytwarzała określone symbole. Teraz się to wszystko rozjechało. Zamiast kultur etnicznych czy „lokalnych” pojawiają się ruchome krajobrazy kulturowe.

Przestrzeń ma inne znaczenie?

Dla opisu dynamiki zjawisk społecznych bardziej znaczące będą relacje przestrzenne niż czasowe. Proszę zauważyć, że przymiotnik „zacofany” stał się dziś wieloznaczny. Prowincji nie rozpatrujemy już jako „zapóźnionego” w rozwoju terytorium, raczej jako mozaikę „ruchomych” krajobrazów kulturowych o różnej genealogii społecznej i historycznej. W dobie tych wszystkich przemieszczeń – dojmującego wpływu popkultury – ważne jest coś, co określiłbym tradycyjnym mianem „okolicy”. To miejsce, w którym – jak radzi Heidegger – najpierw „zamieszkujemy”, a później „budujemy”.

Próbę zbudowania swojej „okolicy” – ze śladów, znaków, porzuconych rzeczy, ale też nastrojów i głosów „pustki”, w dramatycznie „opuszczonej” przez Łemków, Żydów i Romów przestrzeni Beskidu Niskiego – widać doskonale w książce Moniki Sznajderman „Pusty las”. Małe ojczyzny coraz rzadziej są dziedziczone, są do zbudowania.

Ale pan się znowu krzywi.

Bo nie znoszę sformułowania „mała ojczyzna”.

No, heroiczna ta pana polemika z językiem wartości. Na prowincję to pojęcie przyszło z zewnątrz i – zmartwię pana – mocno się ugruntowało także w lokalnych narracjach. Chłopi kiedyś nie wiedzieli, że mają małe ojczyzny ani że mają folklor. Dobrze to widać w „Na wysokiej połoninie” Stanisława Vincenza, gdzie istnieje niewzruszony dookołny horyzont, świat tradycji, które mają siłę sankcji. Dopiero w ten kulturowy kontekst wpisany jest dom, a pomyślność w nim gwarantuje magia zakładzinowa [czyli rytuały związane z budową nowego domostwa – red.].

I na polskiej wsi jest tak cały czas, mimo przemian?

Tak jeszcze bywa, choć zmienili się ci, którzy te domy budują. U nas struktura agrarna – w szerokim tego słowa znaczeniu – jest taka sama prawie od wieków. Zaczęła się zmieniać ostatnio, kiedy chłopi, nie mając następców, oddawali ziemię państwu albo ją sprzedawali. Na wsi usunął się spod nóg, nigdy dotąd niewzruszony, fundament świata. Badacze mówią o procesie dezagryzacji wsi. Teraz jest ostatni moment,

Wartość symboliczną zachował stół.

Z nim – i za nim – nie wszystko można robić. Nie powinno się na nim siadać, ale np. przy stole w kuchni można majsterkować.
Wiejska kuchnia zawsze była wielofunkcyjna,
dziś wciąż odbywają się tu rodzinne narady.

żeby dostrzec, jak działają te stare mapy mentalne.

Nie da się tego uratować?

Tak się czasem dzieje, gdy okolicą za interesuje się ktoś z zewnątrz. Strażnikami takich słów i porzuconej pamięci bywają ludzie, którzy przenoszą się tu z miasta. Niekiedy oddziałuje turystyka, a niekiedy wzorce z seriali „o prowincji”.

Coraz częściej też działają – nazwę ich tak: „źródłoznawcy” – ludzie poszukujący w znakach tradycji źródeł swojej tożsamości kulturowej, a także swojej rodzinnej genealogii. To zjawisko nabiera wyrazistości, dzięki nim „prowincja” coraz więcej wie o sobie, staje się atrakcyjną przestrzenią życia.

Na poziomie indywidualnym, wyprowadzając się z miast, faktycznie na potęgę szukamy ukrytych historii lokalnych. Wręcz samolubnie, żeby uzasadnić w okolicy siebie.

Kulturowe „samolubstwo”, podobnie jak snobizm, bywa czymś pozytywnym. Prowincja staje się przedmiotem namysłu w zglobalizowanym świecie, a to wzbogaca jej „samowiedzę”, umożliwia samostanowienie kulturowe prowincji, która wyzbywa się negatywnych konotacji.

Narasta dziś fala „ludowych historii Polski”, sędzę zresztą, że redagując przez ćwierć wieku z Wiesławem Myśliwskim kwartalnik „Regiony”, byliśmy tu prekursorami. Z bogatej już listy tych historii wymienię: „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego, „Siłę podporządkowanych” Michała Rauszera, „Ludową historię Polski” Adama Leszczyńskiego czy – pokazującą inny ważny wymiar tych historii – książkę Piotra Korczyńskiego „Zapomniani. Chłopi w Wojsku Polskim”. W tym zwrócić do prowincji można odczuć coś w rodzaju misji społecznej, spłacania długu wobec krzywdzonych. Oby tylko nie ześliznęło się to w jakąś nową ludomanię.

Ani w sytuacji, gdy za prowincję będą mówić inni.

Prowincja przestała się siebie wstydzić, ale oczywiście, głos za nią zabierają najczęściej inni. Pół biedy, jeśli to liderzy lokalnej opinii, animatorzy kultury czy badacze. Zazwyczaj jednak mówią o niej politycy i telewizje. Ludzie często posługują się kalkami. O tym, ile „Tusk nakradł”, nasłuchałem się i w Małomierzycach. Mam wrażenie, że jedyny dziś autentyczny głos stąd – to ten wrzucony do urny.

Zdarzają się jeszcze głosy, zapewne dziś ostatnie, które ocalają bogate dziedzictwo ludowych opowieści, pełnych przekory i humoru. Mam tu na myśli np. znakomite „Opowieści sołtysa” Stefana Szota z Iwkowej, wydane kilka lat temu przez Fundację na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa. Do tych barwnych „Opowieści” miałem przyjemność napisać wstęp pt. „W kręgu ludowej humorystyki, czyli Polska widziana »z dołu«”. Gdy się ma takich opowiadaaczy, jak wybierany przez dekady sołtys i zasiedziały w Iwkowej proboszcz Jan Piechota, autor zbiorów gawęd, to można

PROF. ROCH SULIMA

jest kulturoznawcą, antropologiem i historykiem kultury, folklorystą. Zajmuje się przemianami polskiego obyczaju, wpływem mediów na przeobrażenia wzorców kultury potocznej i popularnej oraz historią kultury polskiej i europejskiej. Wydał m.in. „Antropologię codzienności” (2000), w tym roku ukazał się zbiór esejów: „Powidoki codzienności”.

Na zdjęciach:
w Małomierzycach,
15 czerwca 2022 r.



być pewnym, że okolica „zna sama siebie” i znana jest innym.

Dlaczego prowincja, trzymajmy się już tego słowa, tak przyciąga? Według badań, poza miastem chciałaby żyć zdecydowana większość Polaków.

W naszej naturze leży chęć bycia „gdzie indziej”, a więc coś, co Kazimierz Wyka nazwał „przestawką geograficzną”. Dla mnie brzmi to jak hasło: „za dałą, dał”. To „gdzie indziej” ma dziś standardy życia bliskie miastu, np. porównywalny stopień nasycenia telefonami komórkowymi, internetem czy nowoczesnymi urządzeniami domowego użytku. Poza traktorami, które często liczą sobie kilkadziesiąt lat i ciągle są „na chodzie”. Ale parada zabytkowych traktorów na wiejskiej drodze nie jest jeszcze atrakcją turystyczną.

To na prowincji lokujemy swój wzorec integralnego sposobu życia, być może to odległy refleks wzorców renesansowych. Języka Jana Kochanowskiego mogłem dosłuchać się jeszcze w latach 60. XX w. w mówionej poezji niepiśmiennych chłopów z Doliny Wilkowskiej w Łysogórach.

Sycyna, miejsce urodzin Kochanowskiego, jest kilkanaście kilometrów stąd.

Norwid, który odwiedził Sycynę w 1841 r., pisał o Janie Kochanowskim tak: „Gminny, sielski, uczony, kmiecy i królewski// Ten kasztelański Jana język czarnoleski”. W tym stwierdzeniu mieści się wszystko, to najlepsza definicja „bezpzymiotnikowej” prowincji, na której można jeszcze dosłuchiwać się odległych tonów renesansowego świata.

A co ze stereotypem nietolerancyjnej wsi?

Zwierzęta są – jak dawniej – albo przeklętym bydłem, co słychać w czasie przegonu krów, albo dzikimi kotami, bezpańskimi lub łańcuchowymi psami. Są „na służbie” człowiekowi, nie do zabawy, nie do głaskania.

Natomiast przechodząc do świata ludzi, cenzura obyczajowa wyraźnie zelżała, np. konkubinaty są raczej

akceptowane, może jeszcze nie powszechnie. Cenzorki wymarły. Nie ma już tych staruszek, które siedziały na ławeczkach przy drodze albo przy oknie w izbie.

Myślałem, że to bardziej księża. Jeszcze przed dwustu laty w górskich wsiach pogranicza, zanim powstała gęsta sieć parafii, a Kościół wprowadził purytańskie, miejskie zasady moralne, wśród młodzieży panowała relatywna swoboda seksualna.

Kościół oczywiście odgrywa swoją rolę, ale na wsi istniała od zawsze przekora wobec wszelkiej władzy.

Istotną rolę w życiu prowincji pełnią opowieści o życiu parafialnym, o życiu nie tylko lokalnej władzy, o tym, co wiadać, i o tym, czego się nie zobaczyło. Powoli też, za sprawą mediów, wprowadzają się na wieś gwiazdorskie biografie idoli popkultury. Przeżywanie kłopotów i ekspresje radości są wciąż publiczne, słychać je przez płot, docierają do okolicznych posesji, wszyscy są na widoku wszystkich, a plotki nie mogą się „zmarnować”.

Czas i punktualność wciąż się tu nie liczą, choć o braku czasu stale się mówi. Na umówione spotkanie można spóźnić się nawet godzinę albo więcej. Choć nie zawsze tak jest, to mam poczucie, że wciąż doświadczam niespiesznego rytmu prowincji. Zazwyczaj „wpada się” do kogoś na pogawranki czy w interesach – bez zapowiedzi, to jest stary przywilej „gościa”, człowieka gościńca.

Od lat zajmuje się Pan badaniem codzienności, to jej poświęcona jest Pana ostatnia książka. Jak w porównaniu z miejską wygląda wiejska codzienność?

Na wsi rzadziej dzielimy się jej obrazem w internecie. Dalej jednak „pyskówki” przez płot, nawet najbardziej ekspresyjne, mają – ostatecznie – moc scalania wspólnoty. Przeżywanie „wspólnotowości” nie trafia do sieci.

Bo codzienność jest zawsze czyjaś, ma różne historie i swój własny wymiar historyczny. Życie codzienne i codzienność – to dwie różne rzeczy. Szerzej piszę o tym właśnie w „Powidokach codzienności”.



Codziennosc odslania sie wów-
czas, gdy podejmujemy nad nia namysl
albo gdy mamy drobny kłopot z egzy-
stencją, np. gdy zgubiliśmy klucze, mie-
liśmy stłuczkę lub remont w domu.
Wtedy ją zauważamy. Nie mówię
w tym momencie o czymś zasadni-
czym, o katastrofach, pandemiach, woj-
nach, które żywotnie nas dziś dotyczą.
Codziennosc pandemiczna, wojenna
wymaga innej narracji, gdyż jej porzą-
dek ulega gruntownemu załamaniu.
Najwyższą stawką staje się ludzkie ży-
cie. Wtedy codziennosc przybliża jego
nierodukowalny sens.

Codziennosc jest fizyczna?

Bez wymiaru cielesnego nie ma
co o niej mówić. Sama kategoria codziennosci jest tworem
miejskim, narodziła się, jak sądzę, w społeczeństwach pro-
testanckich. Ale gdybyśmy jej nie dostrzegali, nie mogliby-
śmy uczestniczyć w kulturze konsumpcyjnej, w kulturze
popularnej – bo punktem jej odniesienia jest codziennosc
„połączana”, właściwie magiczna, związana z ofertą lep-
szego życia. Z marzeniami.

Magia była jedną z praktyk kultury tradycyjnej. Dzisiaj
odbywa się jakby ponowne „zaczarowanie” świata. Można by
mówić o magii, której moc bierze się z „przebrania” różnych
praktyk wyrafinowanej racjonalności w kostiumy rzeczywi-
stości magicznej. Dlatego reklamę nazywam współczesną po-
ezją magiczną. To ona apeluje do tych sfer rzeczywistości, któ-
rych się nie da sprawdzić, a które wyglądają atrakcyjnie.

**Skoro bez odniesienia do popkultury trudno
o namysł nad codziennością, to co byłoby polskim
odpowiednikiem tych scen w amerykańskich
filmach, gdy przed pracą i szkołą, spiesząc się,**

Przy obecnym tempie życia
coraz trudniej bezwiednie
doświadczać codziennosci.

Powiedziałbym wręcz,
że nie daje ona dziś czasu
np. na tradycyjne biadolenie,
że kiedyś było lepiej.

Swoje robi też popkultura

**– sprawia, że z udrękami
nie jesteśmy sami.**

**a czasem kłócąc, domownicy jedzą
wspólne śniadanie? Gdzie by się
to u nas działo?**

Myślę, że też przy stole, choć przestał
być on domowym ołtarzykiem, a o jego
sakralnym znaczeniu przypominają
tylko ponawiane świąteczne rytuały.
Wspólne siadanie do stołu to potwier-
dzanie wyjątkowej chwili. Na wsi ra-
czej nie było codziennych spotkań przy
stole, często posiłki jadło się w biegu.

Pomimo zmian, stół zachował
wartość symboliczną. Ze stołem i za
stołem nie wszystko można robić.
Wciąż nie powinno się na nim siadać,
ale np. przy stole w kuchni wolno maj-
sterkować. Wiejska kuchnia zawsze
była wielofunkcyjna, obsługiwała in-
wentarz i ludzi, dziś wciąż odbywają się tu rodzinne narady.

Jaka jeszcze jest codziennosc na wsi?

Przy obecnym tempie życia coraz trudniej jej doświadczać
bezwiednie. Powiedziałbym wręcz, że codziennosc nie daje
dziś czasu np. na tradycyjne biadolenie, że kiedyś było le-
piej.

W klasycznym, pochodzącym z Wielkopolski, chłop-
skim pamiętniku z lat 30. XX w. można przeczytać zdanie:
„Dawniej było lepiej, wódka była tania”. Napisał to czło-
nek tzw. dozoru kościelnego w Starym Gostyniu – Tomasz
Skorupka. Ten człowiek na pewno nie pił, a jednak w ten
sposób pokazał swoje kłopoty. Tak właśnie ujawnia się co-
dziennosc – trzymają nas przy życiu pasma sukcesów i pa-
sma udręki.

Brak czasu to jedno, ale swoje robi też popkultura.
Ona sprawia, że z udrękami nie jesteśmy sami. Zawsze mo-
żemy się nimi z kimś podzielić na Facebooku czy oglądając
serial, który przedstawia sytuacje podobne do naszego życia.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● LUBLIN, czwartek 23 czerwca

Spotkanie z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz
i Markiem Radziwonem, „Rosja: czy fatalizm
wrogości?” / stacjonarne /

● TRÓJMIASTO, czwartek 23 czerwca

Spotkanie z Małgorzatą Gładysz,
Sławomirem Kosmuskim, Mikołajem Kujawą
oraz dr. Krzysztofem Stachurą,
„Polska wyborcza 1989-2023” / hybrydowe /

● ŁÓDŹ, sobota-niedziela, 25-26 czerwca

15-lecie Klubu „TP”.
Cykl spotkań o odpowiedzialności,
w tym m.in. z Piotrem Mucharskim,
redaktorem naczelnym „TP” / stacjonarne /

● RZESZÓW, poniedziałek 27 czerwca

Spotkanie z prof. Stefanem Chwinem, „Labirynt
polskiej pamięci. Nić ocalenia. Rozważania o historii
i literaturze” / stacjonarne /

REZERWUJ
CZAS!



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

Przeżywanie codzienności to dzisiaj konieczność bycia na widoku. Innej codzienności nie ma.

Narzeka się wciąż razem z sąsiadami?

Kłopot w tym, że przy dzisiejszym typie kultury spada znaczenie narzekania. Coraz trudniej usiąść na ławce i biadolić. Na Tuska jeszcze można, ale na los coraz trudniej.

I nie zmieniła tego pandemia? Wiem, zapomnieliśmy już o niej, ale był to jednak epizod epokowy, w dodatku niezawiniony przez nas – idealny temat do narzekań na los.

Socjologowie z Poznania stworzyli program badania pandemii. Potwierdzili, że nasze zachowania powróciły do form, które można uznać za tradycyjne. I faktycznie, nabrało znaczenia sąsiedztwo, małe wspólnoty i to, co blisko. Za sprawą pandemii odnowiła się podmiotowość życia, inna niż ta, której wzorce podsuwa nam popkultura.

Do przysiółka, w którym mieszkam latem, jest trudny dojazd komunikacją publiczną. Kiedy jednak wracam tu z miasta, zdarza się, że w ciągu 10 minut, niezależnie od siebie, dzwonią sąsiedzi z pytaniem, czy nie trzeba po mnie wyjechać. Tak jakby była jakaś „automatyczna” sieć, niemal intuicyjnie reagująca na dzieloną przez wszystkich niedolę.

Ma Pan podobne doświadczenia?

Muszę powiedzieć, że nie. Z prostego powodu. Małomiejszyce to już chyba moje dwunaste miejsce pod polskim niebem, dwunasty adres. To sprawiło, że jestem wyrzucony ze struktur sąsiedzkich.

W opowieściach ludowych sąsiadów nie zawsze przedstawia się dobrze.

To prawda. W humorystyce ludowej jest cały rozbudowany dział kawałów o głupich sąsiadach. Figura głupiego sąsiada to w zasadzie rodzaj amatorskiej, potocznej

personologii, to „domowego wyrobu” model stratyfikacji społecznej. Warszawa miała Grójec („coś pan z Grójca?”) i Mławę, Kraków miał Kłaj, a każda wieś przypinała łatkę wsi sąsiedniej. Pod koniec XX w. polska popkultura skoncentrowała to w serii dowcipów o Wąchocku.

Ale więzy sąsiedzkie polegają przecież na czymś innym. Mój ojciec opowiadał mi o swojej rodzinnej miejscowości, gdzie w czasie wojny organizował partyzantkę, że gdy tylko w okolicy pojawiali się Niemcy, sąsiedzi informowali sąsiadów i wszystko było tak zorganizowane, że we wsi mojego taty w czasie wojny nie zginął nikt.

Teraz wyczuwam w rozmowach, że to np. drożyzna zachęca ludzi do takich działań wspólnotowych – informują się, gdzie taniej, gdzie drożej, gdzie jaka promocja. Na wsi odnawia się sąsiedzka sieć elementarnego bezpieczeństwa, obejmuje ona obszar gminy, okoliczne miasteczko, a często szerszy region. Wysoki stopień telefonizacji wsi sprawia, że wiadomości o tym, gdzie są tańsze ziemniaki albo że teraz opłaca się sprzedać zboże, rozchodzą się najszybciej.

Taka sąsiedzka macierz.

Ona nie spełnia wyłącznie funkcji wspierającej. Ale to m.in. sąsiedzkie kłótnie i spory odnawiają istotę wspólnoty, reprodukuja jej zasadę. Gdyby nie kłótnie i spory, sąsiedzkie więzi na wsi nie byłyby tak bliskie. Nie ma już wspólnego żniwowania, jesiennych wykopków, sąsiedzkich wyjazdów do młyna, nie ma wspólnoty pastwiska. Wspólnota odnawia się w czasie niedzielnego nabożeństwa oraz na festynach i – wśród młodych – na potańcówkach w remizie. O tym, żeby – na dawną modłę – na zabawie wieś biła się z inną wsią, od dziesiątków lat nie słyszałem.

Ze zdziwieniem, a trochę z żalem odkrywam więc, że nie mam żadnej biografii sąsiedzkiej, nawet w Warszawie, gdzie mieszkalem przez lata. Kiedy niedawno przyjechalismy z żoną do naszego bloku – nie było nas tam tylko pół roku – jedna z sąsiadek przywitała nas słowami: „o, to państwo jeszcze żyją!”.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Łódzki Klub świętuje 15-lecie!

„ROZWÓJ KLUBÓW” odczytuję jako potwierdzenie misji „TP”. Ich moralna wrażliwość pomaga w zachowaniu wierności zasadom zostawionym „Tygodnikowi” przez ojców założycieli” – pisał o działalności klubów „TP” ks. Adam Boniecki.

Z okazji 15 lat działalności łódzkiego, pierwszego klubu „Tygodnika” chcemy podziękować za Waszą obecność w życiu publicznym, angażowanie się w ważne społecznie inicjatywy, realną pomoc, jaką niesiecie potrzebującym. Dziękujemy Wam nade wszystko za to, że tworzycie przestrzeń do spotkań i sprawiacie, że każdy czuje się w niej jak u siebie. Kolejnych owocnych lat!

„Tygodnik Powszechny”

STANISŁAW

Mancewicz:

Czterdzieści procent



GDY SIĘ CZŁOWIEK SZARY ROZGLĄDNIŁE WOKÓŁ, następnie zajrzy do swego wnętrza, a potem, przed snem, przed lustrem w łazience wyszczerzy się do samego siebie, zmarszczony rzecz jasna myśląc

czółko, dojdzie on do oczywistego wniosku: popatrzmy, że jak jeden mąż i jedna żona znajdujemy się wszyscy w stanie przejściowym.

Jakież to myśli, a może zdarzenia, skłoniły nas do tak znakomitego podsumowania? Tak błyskotliwej sumy rozważań nad czasem, przestrzenią i estetyką? Rzec trzeba, że mnóstwo i że także, niestety, nie bardzo jesteśmy w stanie ułożyć tych myśli i zdarzeń w porządku choćby alfabetycznym. Dlatego też symptomy totalnego stanu przejściowego będziemy teraz wymieniać wedle widzimisię, tzn. chaotycznie, bez ładu i składu. Gdy je tu wyliczymy, zobaczymy, czy złożą się w spójny obraz dzisiejszego świata.

Zacznijmy od badania, które zrobił Reuters do spółki z uniwersytetem oksfordzkim. Wynika z niego, że blisko 40 procent ludzi na planecie Ziemia unika wiadomości, czyli tzw. newsów. Motywem tej diety jest – jak czytamy – zły wpływ informacji na samopoczucie. Skąd więc – pytamy – ludzie ci wiedzą (bo wiedzą), co się dzieje? Odpowiedź brzmi: znikąd. Wiedzą i tyle. Każdy tu przyzna, że jeśli idzie o metodologię odpowiadania sobie na trudne pytania, to ta właśnie, przez nas *ad hoc* przyjęta, jest znakomita.

Skoro jesteśmy przy tak krągłej liczbie jak czterdzieśta, to wedle ostatnich sondaży niemal taki procent idących do wyborów w Polsce ma zamiar oddać swój głos na PiS. Nie będziemy się rozszarpać z powodu tego wyniku, nie będziemy płakać, bowiem nic nam do tych w ten sposób opi-

niujących rzeczywistość obywateli. Czy jednak – popatrzmy – te dwie grupy: tzn. głosujących na PiS i tych niejedzących owoców spadających z drzewa wiadomości dobrego i złego, to ludzie ci sami? Jest – mówiąc delikatnie – wiele symptomów, że tak być może. Plotka-nieplotka, że suma w programie 500 plus wzrośnie – uwaga – o 40 procent, to zaledwie drobny element tych równań, ale ich wynikiem jest ogólna teza, że PiS poprawia ludziom samopoczucie, a na pewno humoru im nie psuje. Ani wiadomościami, ani ich interpretacjami, ani niczym. Skromnym dodatkiem do listy czterdziestoprocentowych wyników jest ów sumujący Polaków niechętnych szczepieniom przeciw COVID-19.

Ktoś powie hardo, że przecież wszystkie przytoczone tu precyzyjnie dane świadczą raczej o czymś przeciwnym niż przejściowości. Że stan ten jest stały i beztrendowy. Tak mogą myśleć tylko ludzie z czterdziestopunktowym IQ, a tych, jak wiemy, nie brakuje. Otóż to pozór, że 40 procent jest dane raz na zawsze. Wie o tym najświetniej Jarosław Kaczyński i dlatego jeździ teraz po Polsce z wizytami gospodarskimi – ponoć ma ich odbyć czterdzieści, ale może to plotka. No więc śledzimy te podróże uważnie.

Od czasu, gdyśmy pierwszy raz w życiu obejrżeli w TVP relację z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, czyli w okolicach wczesnych lat 70. XX wieku, nie zaznaliśmy podobnej ekstazy wynikającej z optymistycznego obrazowania podłanego mistycyzmem. Świat przedstawiany w trasie przez Gospodarza jest spójny i rytmiczny w każdym sensie. Identyfikacja był opisywany w treściach utworów wykonywanych podczas wspomnianego festiwalu – rzecz jasna brakuje dziś w nim ówczesnie opiewanego heroizmu Armii Czerwonej, ale tę lukę nadrabia heroizm własny Gospodarza, marszowa melodia jego przemówień i nieco pogrubiona (by nie rzec: wytłuszczona) antyniemieckość. Dziś, w czasie okrutnej, niedalekiej od nas wojny, można by – pomyśleć głośno – przerobić te teksty, rytmy i klimaty. Owszem, to się robi: konstrukcja Tuska jako Rosjanina i Niemca w jednym ciele została opatentowana i jest uwielbiana przez sto procent ludzi dbających o samopoczucie. Czy to jest stan przejściowy? Odpowiemy enigmatycznie: wszystko zależy od cen chrustu.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – **i Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**RMF
CLASSIC+**

Zabierz RMF Classic *na wakacje!*

Zainstaluj nową wersję aplikacji z dostępem do RMF Classic+, by mieć **najpiękniejszą muzykę filmową** zawsze przy sobie.

Korzystaj z RMF Classic+ przez **2 miesiące za darmo i bez zobowiązań!**

AKTYWUJ KOD: **PLUSTP**
na rmfclassic.pl/plus/aktywuj

RMF Classic+ to jeszcze więcej muzyki zamiast reklam, bonusy dla subskrybentów i audycje z muzyką do wyboru.

Sprawdź wszystkie korzyści na:
www.rmfmusic.pl/plus

